

ROTKA HISTORIA PRYWATYZACJI: JAK (DOBRCZE LUB ZŁE) SPRZEDAWALI POLSKĘ >18

PRZEKROJ KRÓL

32/33 3346/3347 / 13 SIERPNIA 2009

CENA 5 ZŁ
W TYM 7% VAT



ORNO A ŻONĘ

POZATEK KOŃCA JAPONII

>28

TRIA RCHAT,
ZYLI POŻYTKI
WŁADZY KOBIET

>66

RADIOHEAD
NI ZIELONI MUZYCY

>54

DOJRZAŁY MŁODY STUHR >40

SZUKAJ

"PRZEKROJU"
Z 4. CZĘŚCIĄ KOLEKCJI
LEGENDY KINA
CLINT EASTWOOD
"RZĘKA TAJEMNIC"

CLINT
EASTWOOD
RZĘKA TAJEMNIC

INDEKS 371424

WWW.PRZEKROJ.PL

ISSN 0033-2488



9 770033 248908

„Les Marinades to nowa, wyjątkowa przyjemność. Zastanawiam się, co ich tak inspiruje”.



Smakowicie i delikatnie marynowane fileciki zatopione w ciemnym, wybornym sosie. Nawet najbardziej wysublimowane podniebienia nigdy nie doświadczyły tak wyjątkowej przyjemności. Gourmet, jak mógłbyś mu odmówić?



PURINA

Wszystko o marynatkach

Idźcie i śmieciecie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Koźła 11

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI; FOT. RADEK PASTERSKI/FOTORZEPA, WITOLD ROZBICKI/REPORTER



Więcej obrazków na www.przekroj.pl

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o Komitecie Miłośników Trójki założonym przez wiernego słuchacza, który zdobył nawet oficjalną zgodę MSWiA na publiczną zbiórnię pieniędzy w celu wsparcia radiowej Trójki i biedującej w czasach kryzysu i niepłacenia abonamentu. Bo powinniśmy przyklasnąć inicjatywie, zachęcić do uczestnictwa, ale coś nas tu niepokoi – czyżby wicepremier Schetyna uznał, że to jest najlepszy pomysł na media publiczne?

...o nieoczekiwanej komitywie PiS i SLD sformułowanej przez słynną owatkę Adama Lipińskiego

w celu zajęcia się porzucaną przez PO sierotą, czyli mediami publicznymi. Bo według polityków obu partii nic takiego nie miało miejsca i tylko Zbigniew Girzyński (PiS) gdzieś bąknął: „Bardzo mi przeszkadza nasza współpraca z SLD”. Ale co z niego za polityk?

...o kolejnej kampanii Benedykta XVI przeciw tzw. humanizmowi ateistycznemu. Zdaniem papieża także humanizm zbudował w XX wieku obozy zagłady, czyli: „piekło, które powstaje na ziemi, gdy człowiek zapomina o Bogu i usiłuje zająć jego miej-

sce, uzurpując sobie prawo do mówienia, co jest dobre, a co złe; do dawania życia i zadawania śmierci”. Bo jak na wybitnego teologa znów wyszło mu słabiutko, zważywszy, że to zdanie można bez trudu uznać za opis bogatej historii Kościoła katolickiego.

...o kampanii „Polska bez dymu”, którą przygotowuje stowarzyszenie Manko, chcąc nas przekonać do całkowitego zakazu palenia w miejscach publicznych i poinformować „o szkodliwości biernego palenia”. Bo choć Manko to trafna nazwa – rzeczywiście komuś tu czegoś brakuje – najpierw chcieli-

byśmy się dowiedzieć, skąd ta pewność o szkodliwości biernego palenia? Na pewno nie ze zweryfikowanych badań.

...o dobrym imieniu powódki Doroty Rabczewskiej, zwanej Dodą, która ma otrzymać od „Faktu” 70 tysięcy złotych zadośćuczynienia za naruszenie jej dóbr osobistych, czyli m.in. dobrego imienia i prywatności. Bo nam się zawsze zdawało, że najpierw coś trzeba mieć, żeby to mogło być naruszone. Ale rozumiemy, że sąd przyjął rzecz przez domniemanie i nie zapytał: Czy pani w ogóle ma dobre imię? A dobrą prywatność?

Przesadnie powiedziane

No, to trzeba będzie szukać innych rozwiązań



* Jarosław Kalinowski, europoseł PSL, gdy okazało się, że nie ma pod ręką niemalowanego drewna, w które mógłby odpukać po pytaniu, co się stanie, jeśli Polska nie dostanie zapłaty za stocznie

Przesadnie powiedziane

* Oszczędzamy, nasze siedziby nie są okazałe, nasze biura są bardzo skromne, nasze samochody służbowe też są bardzo niepozorne, nie rzucają się nigdzie w oczy



* Jolanta Szymanek-Deresz, wiceprezes SLD wyjaśniająca, że lewica jest biedna, bo nie współpracuje z biznesem

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

O głośnym koncercie: pobożny krytyk o tekstach Madonny – nie są to rymy częstochowskie.

ZOBACZ PRZEZ KROJ

ZAGRANICA

28

Z lalką nie trzeba rozmawiać, słuchać jej skarg, jak się znudzi – można wyrzucić. Dlatego Japończycy mają nawet trzy takie lalki do przytulania, ale na posiadanie żony nie mają ani czasu, ani ochoty



FOT. MICHAEL CAROMMA/REUTERS/FORUM; NA OKŁADCE: FOT. WOJCIECH KRZYWOWSKI, CAMERA PRESS/BULLS

PRZED WYSYTKIM

- 6 | **Komentarze**
Rafała Kostrzyńskiego
i Pawła Moskalewicza

PRZEKRÓJ TYGODNIA

- 8 | **Powiększenie:** Tajfun nad Tajwanem
12 | **Kraj**
14 | **Świat**
16 | **Biznes**

WYDARZENIA KRAJ

- 18 | **Krótką historia**
prywatyzacji – czyli kryminał na wakacje
26 | **Kategoria więźnia**
niebezpiecznego wyrzuca nasze państwo z ram zachodniej cywilizacji

WYDARZENIA ŚWIAT

- 28 | **Japońska demonstracja**
męskości w sklepie z zabawkami
32 | **Do katastrofy**
tylko 12 kroków.
Znów winni będą Chińczycy?

LUDZIE

- 36 | **Najstubszy pyta**
Chciałabym bardzo być jak najdłużej dyrektorem – mówi nowa dyrektorka TVP1 Iwona Schymalla
40 | **Poważna rozmowa**
z Maciejem Stuhrem
43 | **Teczki** osobowe

CYWILIZACJA

- 44 | **Spirytyzm** znów w modzie
48 | **Piracka** archeologia
50 | **Korzystaj** z iPhone'a

WAKACJE Z „PRZEKROJEM”

- 52 | **Wyprawa na Korsykę**
i pozdrowienia z Lanckorony

KULTURA

- 54 | **Zjawisko:** Ekomuzyka
58 | **Muzyka:** Sonic Youth „The Eternal”
60 | **Teatr:** Potrójne podsumowanie sezonu
62 | **Książki:** Wiktor Jerońfiejew „Świat diabła”
63 | **Film:** „Operacja Dunaj”

OTWÓRZ OCZY

- 66 | **Matriarchat** – raj utracony

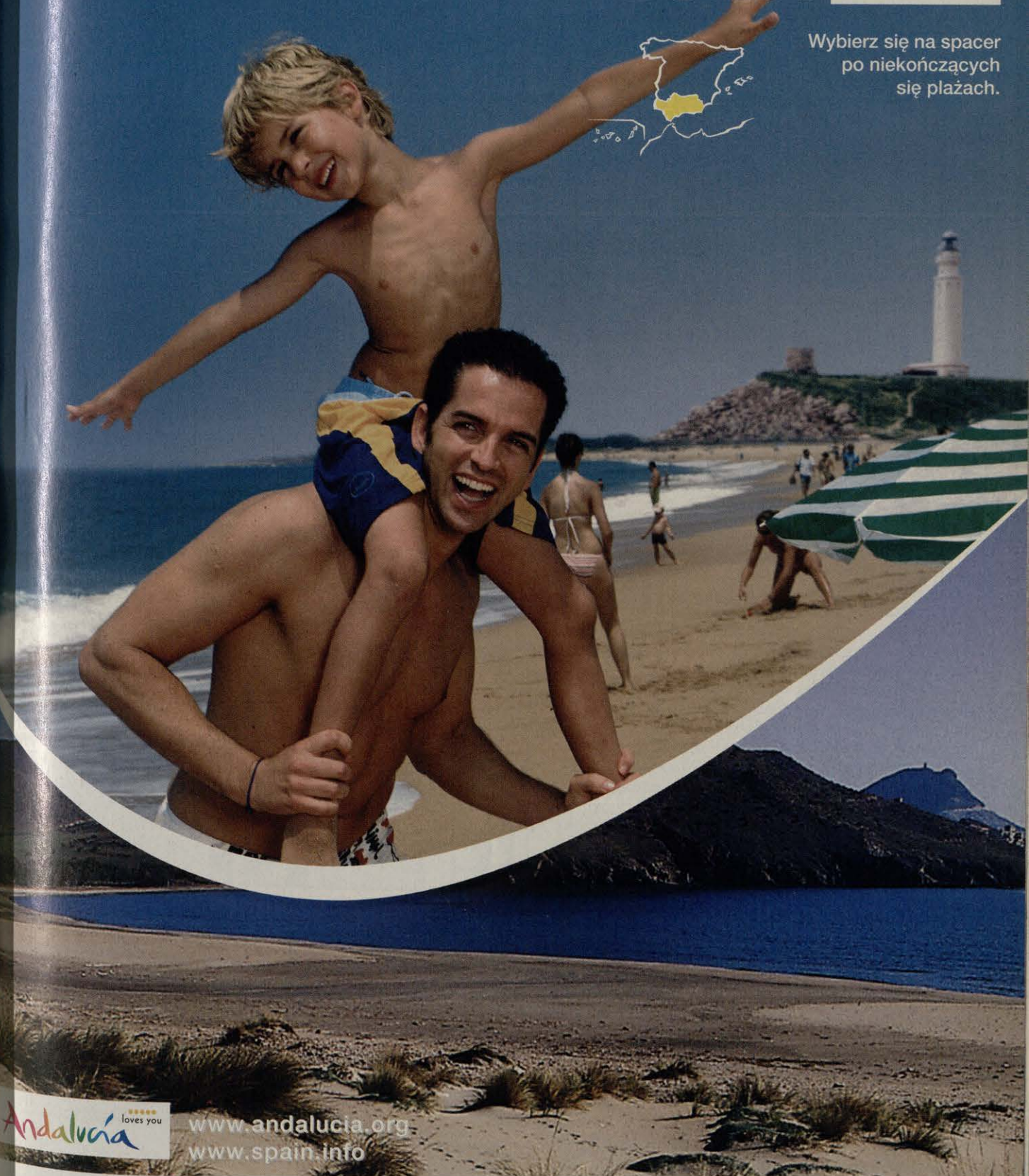
ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 3 | **W tym tygodniu** nie piszemy
57 | **Czwarta strona kultury**
– felieton Bartka Chacińskiego
72 | **Rozmaitości** z krzyżówką, jolką i felietonami
75 | **Stopklatka**
3, 6, 72, 74 | **Raczkowski:** Rysunki

UŚMIECHNIJ SIĘ! JESTEŚ W ANDALUZJI



Wybierz się na spacer po niekończących się plażach.



Andalucía loves you

www.andalucia.org
www.spain.info

AMBASADA HISZPANII - BIURO RADCY ds. TURYSTYKI Al. Jana Pawła II, 27 00-867 WARSZAWA
Tel.: (+48) 22 653 64 16 Fax: (+48) 22 653 64 15 warszawa@tourspain.es



Nadzieja w dziurze

Paweł Moskaiewicz

DOBRE, ŻE W BUDŻECIE ZIEJE WIELOMILIARDOWA DZIURA. DOBRZE, ŻE kryzys szczerzy kły. Dobrze, bo rząd stoi pod ścianą. Ministrowie obejrżeli już każdą złotówkę w swoich budżetach, minister finansów policzył wszystko trzy razy w każdą stronę i... nie dopina się. Dlatego gabinet Tuska stoi dziś przed fundamentalnym zadaniem: dokończyć prywatyzację. Zaletą dziury w budżecie jest, że nie „może”, tylko „musi”.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Przekroju”, stały komitet Rady Ministrów decydował o prywatyzacji KGHM, następnie miał zająć się tym rząd. Z przecieków wiemy, że przeciwnicy i zwolennicy prywatyzacji miedziowego giganta osiągnęli kompromis: na początek sprzedanych będzie 10 spośród ponad 40 procent akcji pozostających w ręku Skarbu Państwa.

Miejmy nadzieję, że premier tym razem się nie cofnie pomimo nacisku związków zawodowych i sceptycznej postawy koalicjanta z PSL. Choć doświadczenie uczy, że prywatyzacja w ciągu ostatnich 20 lat już wielokrotnie padała ofiarą politycznych rozgrywek z jednej i szantażu związków zawodowych z drugiej strony. Rozmaici politykerzy w rodzaju Andrzeja Leppera własną piersią zasłaniali „narodowy majątek” przed brudnymi łapami zagranicznych inwestorów, a rząd PiS na wszelki wypadek nie prywatyzował prawie niczego.

Oczywiście, historia prywatyzacji miała swoje blaski i cienie*. Ale generalnie zasada jest prosta: większość sprywatyzowanych firm poradziła sobie na wolnym rynku, spora zaś część niesprzedanych w porę – padła. I nie chodzi tu tylko o spektakularny przykład stoczni, ale też setek firm w całym kraju, które nie przeżyły bez zastrzyku kapitału i racjonalnego zarządzania.

Prywatyzacja największych firm, takich jak KGHM, to wojna nie tylko z opozycją, która nie zawaha się oskarżyć rządu o dowolne złodziejstwo, ale też z wszechwładnymi związkami, dla których pozostanie tych spółek pod kontrolą państwa to być albo nie być – bo na państwowym garnuszku zawsze można liczyć na więcej przywilejów niż u właściciela prywatnego.

Żaden rząd nie chce strajków, niepokojów społecznych, demonstracji i co za tym idzie – spadku sondażowej popularności.

Dlatego w normalnych warunkach stawałbym dolary przeciwko orzechom, że prywatyzacja (a zwłaszcza KGHM) rozejdzie się po kościach. Na szczęście mamy dziurę budżetową.

* Pikantna historia polskiej prywatyzacji na s. 18–25

RZĄD BAWARII, KTÓRY JEST WŁAŚCIELEŃEM praw autorskich do „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, robi wszystko, żeby ta szalona autobiografia nigdy nie ujrzała światła dziennego. Argumentuje, że książka propaguje nazizm. Centralna Rada Żydów – największa taka organizacja w Niemczech – domaga się natomiast jej publikacji wraz z komentarzami historyków. Argumentuje, że dzięki temu niemieckie społeczeństwo przekona się na własne oczy, jak chore podstawy miała dyktatura III Rzeszy.

Argumentacji rządu Bawarii nie podzielam. Podzielam za to stanowisko Centralnej Rady Żydów. Reglamentowanie słusznych stanowisk w dziedzinie historii nie ma najmniejszego sensu – choćby z tego powodu, że w większości przypadków (a nazizm czy komunizm mieszczą się w tej większości) osi sporu powinno być dociekanie faktów i ich naukowa interpretacja, a nie moralizowanie i wykorzystywanie ich do prywatnych czy

Głośniej nad tą trumną

Rafał Kostrzyński



David Irving (negował istnienie komór gazowych), Fred Leuchter (dowodził, że niemożliwe było masowe uśmiercanie ludzi za pomocą gazu cyklon B) czy Arthur Butz (w ogóle uważał Holocaust za wymysł propagandystów), powinni mieć prawo do głosu swoich tez. Nie należy ich za to karać więzieniem. „A po co? Głupoty się nie penalizuje, głupotę należy wyśmiewać” – powiedział mi kiedyś profesor Robert Pinker, który przez 13 lat jako członek Brytyjskiej Komisji Skarg na Prasę zajmował się między innymi donosami na rewizjonistów. Porządna polemika z takimi hitlerami, stalinami czy irvingami przyniesie więcej pożytku niż pancerne cenzurowanie ich poglądów.



WYMIŚL I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

PRZED WSZYSTKIM
Zakończył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elle

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 25 25, FAXS (0-22) 584 25 21, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY: Jacek Kowalczyk ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Bartek Chaciński, Paweł Moskaiewicz, Tomasz Piata SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Marcin Pieszczyk
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Myśluk SEKRETARIAT: Anna Grzywacz, tel. 584 25 25 KULTURA: kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, D. Salwa; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frackiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski; Marcel Andino Velez KRAJ: kraj@przekroj.pl, Paweł Moskaiewicz (szef), Agnieszka Fiedorowicz, Milena Rachid Chehab, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Judyta Sierakowska, Krzysztof Szczepaniak, Anna Szulc, Paweł Wiczeorek; stale współpracują Piotr Najstubb ZAGRANICA: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (szef), Marek Wójcik CYWILIZACJA: nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Wojciech Mikolusko, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemiński PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner, Piotr Gidlewski, Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski, Bartłomiej Frączyk (stale współpracują) FOTODZWIĘKI: foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krzela, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolke, Marcin Zegarek PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichonki KOREKTA: Dorota Dąbrowska
Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Dominika Bok, tel. 584 25 61 OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meat

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAXS (0-22) 584 22 01
PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała WICEPREZES WYDAWNICTWA: IZABELA BOCHENEC DYREKTOR WYDAWNICTWA: „PRZĘKROJU”: Ewa Redel-Bydlowska DYREKTOR FINANSOWY: Paweł Sattkowski DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Alicja Modzelewska ZASTĘPCA DYREKTORA ZARZĄDZAJĄCEGO: Izabela Bochenec DYREKTORZY ARTYSTYCZNI WYDAWNICTWA: Elżbieta Strzalecka-Zochowska i Bogdan Zochowski, Marek Knap PUBLIC RELATIONS: Ewa Siniarska DYREKTOR BIURA REKLAMY EDIPRESSE: Agnieszka Beniek Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY EDIPRESSE: Małgorzata Perzanowska i Mariola Chłabińska-Zieloniewicz PROMOCJA „PRZĘKROJU”: Ewa Siniarska DYREKTOR BIURA REKLAMY EDIPRESSE: Agnieszka Beniek Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY EDIPRESSE: Małgorzata Perzanowska i Mariola Chłabińska-Zieloniewicz
Małgorzata Colba – dyktor, tel. 584 23 11, Agnieszka Marcisz, tel. 584 21 72, Małgorzata Skorupa, tel. 584 22 05, Grzegorz Wilczek, tel. 584 25 94, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, faks (0-22) 584 25 92 DYREKTOR DYSTYBUCJI: Piotr Lech DYREKTOR PRODUKCJI: Danuta Kamińska KIEROWNIK PRZYGOTOWAŃ: Paweł Stypieł Druk: QuadWinkowski BIURO OBSŁUGI KLIENTA oraz PRENUMERATA – informacje, zamówienia, reklamacje, tel. (0-22) 584 22 22 (pn.–pt., godz. 8–18), faks (0-22) 584 22 32, bok@edipresse.pl PRZELI POCZTĄ PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE URZĘDY POCZTOWE W TERMINIE NA IV KWARTAŁ 2009 R. DO 25 SIERPNIA BR. A WŁAŚCICIE DO KOŃCA MIESIĄCA. WPŁATY NA PRENUMERATĘ SA PRZYJIMOWANE BEZ POBIERANIA DODATKOWYCH OPŁAT; MOŻNA RÓWNIEŻ ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ NA WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA. PRZELI RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 0 804-200-600, prenumerata zagraniczna – 022 53-28-816; 022 53-28-823

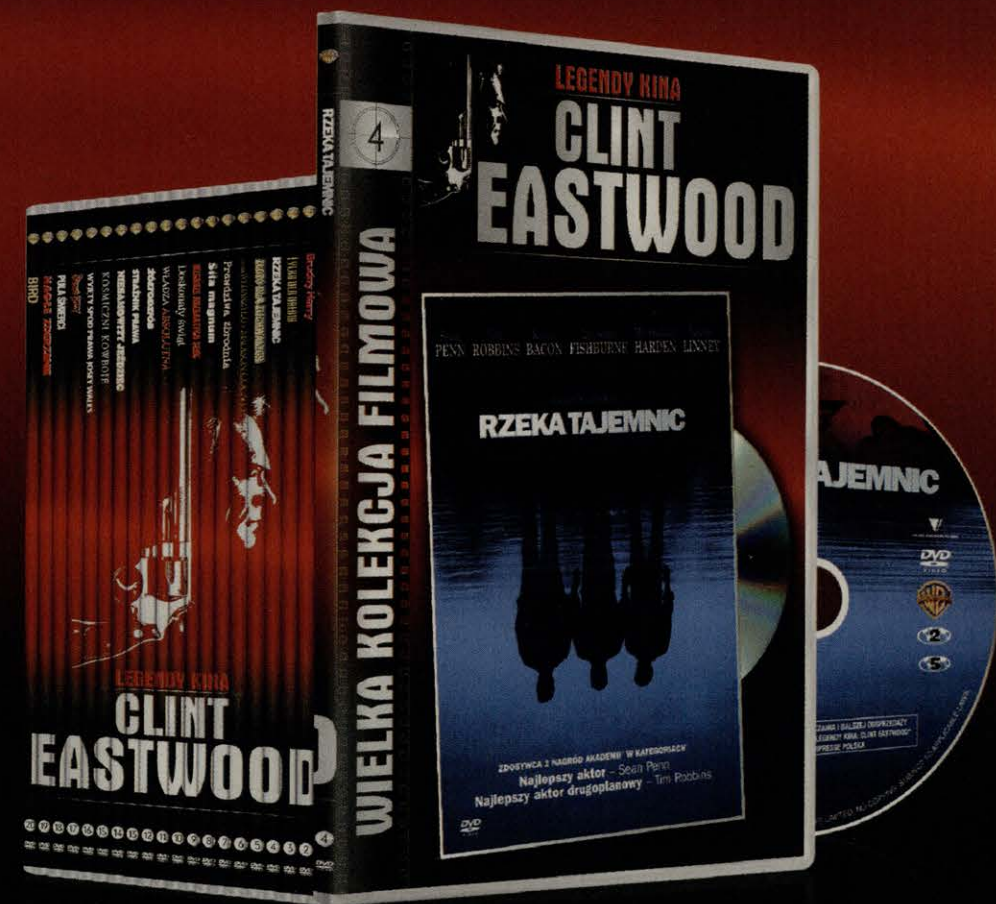
Nowości!

CLINT EASTWOOD

KOLEKCJA 20 FILMÓW CLINTA EASTWOODA
JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH AKTORÓW I REŻYSERÓW HOLLYWOODZKICH

4. część kolekcji **RZĘKA TAJEMNIC**
JUŻ W SPRZEDAŻY
tylko z tygodnikiem **PRZĘKROJ**

Widowiskowy, trzymający w napięciu thriller w reżyserii Clint Eastwooda o rodzinie, przyjaźni i utraconej niewinności. W rolach głównych: Sean Penn, Tim Robbins, Kevin Bacon, Laurence Fishburne, Marcia Gay Harden, Laura Linney.



Szczegóły i prenumerata na www.przekroj.pl

Powiększenie

Tajfuny na chińską skale

ZAWSZE JEST TAK SAMO: **ZRYWA SIĘ WICHURA,**
A NIEBO STAJE SIĘ CZARNE I LEJĄ SIĘ Z NIEGO
STRUGI WODY. RZĘKI WYSTĘPUJĄ Z BRZEGÓW
I PORYWAJĄ WSZYSTKO, CO ZNAJDĄ NA SWOJEJ
DRODZE. APOKALIPSA TRWA KILKANAŚCIE
GODZIN. SPRZĄTANIE PO NIEJ – CAŁE MIESIĄCE

Tajfun „Morakot”
spustoszył głównie
Chiny i Tajwan,
ale ulewy dotarły
również na Filipiny.
Na zdjęciu:
Wysypisko śmieci
w Manili

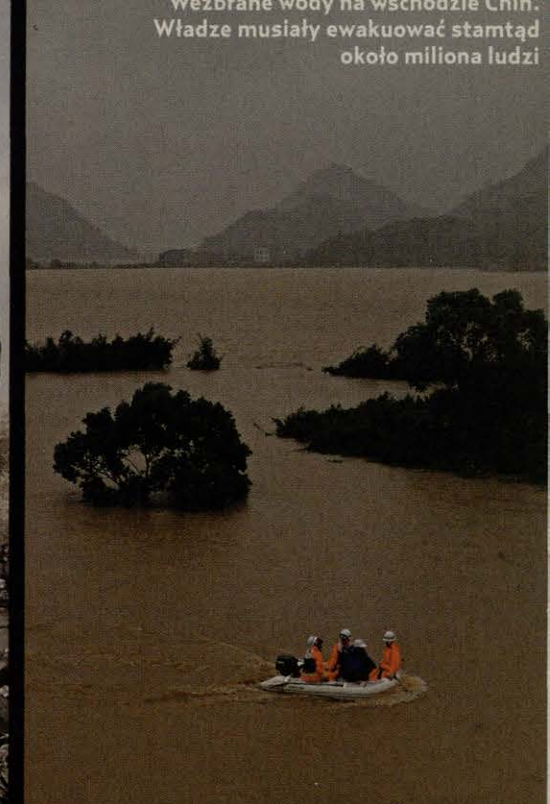




Tajwan. Gości tego hotelu na szczęście udało się w porę ewakuować



Miasto Wenling w chińskiej prowincji Zhejiang. Żołnierze ostrzegają mieszkańców przed falą powodziową



Wzburzone wody na wschodzie Chin. Władze musiały ewakuować stamtąd około miliona ludzi

W CIĄGU DWÓCH DNI NA TAJWAN SPADŁO TYLE WÓDY JAK W POLSCE PRZECZ CZTERY LATA

W okresie od sierpnia do października Ocean Spokojny u wybrzeży Azji Południowo-Wschodniej rokrocznie bierze rozbrat ze swoją nazwą i staje się wylegarnią tajfunów. W sierpniu powstaje ich tam średnio sześć i pół. W tym roku – niemal jednocześnie – narodziły się aż dwa. „Morakot” wziął kurs na Tajwan i wschodnie Chiny, a „Etau” skierował się w stronę Japonii. Oba przyniosły ze sobą wichury i gigantyczne ulewę.

W ciągu dwóch dni na Tajwan spadło dwa i pół metra wody (najwięcej od 50 lat i jednocześnie cztery razy więcej, niż wynoszą średnie roczne opady w Polsce). Wezbrane rzeki i lawiny błota pochłonęły co najmniej 15 ofiar śmiertelnych, ale ponad 400 osób uznaje się za zaginione. Woda zmyła ponad 200 zabudowań, w tym kilkupiętrowy hotel, który runął do rzeki z podmytego brzegu. Straty materialne są olbrzymie – prawdopodobnie trzeba będzie liczyć w setkach milionów dolarów.

Jeszcze większe szkody „Morakot” wyrządził w Chinach. W prowincji Fujian w powietrzu latały drzewa powyrywane z korzeniami. Władze Fujian i Zhejiang ewakuowały blisko milion osób. Fatalna pogoda (całkowite zachmurzenie i wiatr wiejący z prędkością grubo ponad stu kilometrów na godzinę) uniemożliwiała prowadzenie skutecznej akcji ratunkowej. W miejsca najbardziej dotknięte katastrofą można się było dostać tylko łódkami, a ci, którzy tam dotarli, mówili, że spod wody wystawały jedynie korony drzew. Poważnie ucierpiała również Japonia. Tajfun Etau wymusił ewakuację około



Uwięziony. Jeden z mieszkańców Tajwanu prosi ratowników o pomoc



50 tysięcy mieszkańców prefektur Hyogo i Okayama na wyspie Honsiu. W mieście Soyo pod wodą znalazło się prawie 500 budynków, a dwa tysiące osób trzeba było ewakuować. – Żyję tu od 70 lat, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem – relacjonował reporterom telewizji NHK jeden z mieszkańców. – Rzeka wzbierała z rykiem, to było przerażające.

W latach 1959–2009 w Azji Południowo-Wschodniej zanotowano prawie półtora tysiąca tajfunów. Najgorszy był rok 1962, kiedy żywioł pustoszył region równie intensywnie bez względu na porę roku, zabijając ponad półtora tysiąca osób. Ofiarami tajfunów najczęściej padają właśnie Chiny, Japonia i Tajwan, ale potrafią one dotrzeć nawet na Półwysep Koreański.

Rafał Kostrzyński



Botolan na Filipinach. Przeprowa przez wezbraną rzekę

KRAJ

Na Wiejskiej wciąż robią

Tu pracuje się od świtu do nocy

GŁÓWNA GALERIA Z WEJŚCIEM, którym do Sejmu wchodzi posłowie, owinięta jest folią. – Rusztowania postawiono w dwa dni, a prace trwają od świtu do nocy – słyszymy w Kancelarii Sejmu. Budynek ma bowiem lśnić czystością, zanim posłowie wrócą z urlopu i 26 sierpnia wznowią posiedzenie. Kończy się też inny ważny etap tegorocznych remontów w parlamencie – salę posiedzeń dostosowano do potrzeb posłów na wózkach inwalidzkich. Tam pozostało podłączenie foteli lewicy (obok stawiano zjazd dla wózków) do elektronicznego systemu głosowania. – *apa*



Oceń bez komentarzy

Śmierć serwisu tylko pozorna

W PORTALU OCEN.PL MOŻNA zrecenzować ponad 15 tysięcy wykładowców akademickich pod kątem na przykład ich urody, zrozumiałości zajęć, sprawiedliwości. Ale właściciel wyłączył możliwość dodawania komentarzy. Zdaniem internautów to zabójcze dla takiego serwisu. Twórca Ocen.pl, pracownik jednej z warszawskich uczelni niepublicznych, zapewnia jednak, że nie zrobił tego na żądanie wykładowców czy z powodu ochrony ich danych osobowych. Komentarze nie będą działać do momentu, gdy portal przejmie nowy właściciel – wydawca ogólnopolskiego pisma dla studentów. – *mil*

Świat znacznie zniszczony

Śledztwo w sprawie zniknięcia gołębi

CHORZOWSKA PROKURATURA wszczęła śledztwo w sprawie organizacji lotu śląskich gołębi z Niemiec w czerwcu tego roku, gdy w drodze, podczas nawałnic, zaginęło 30 tysięcy z 60 tysięcy wypuszczonych ptaków. Pisaliśmy o tym („P” 27-28/2009

HIGIENA AGATA JANKOWSKA

Nie łapcie się za kapcie

Na jednorazowych kapciach odwiedzający wnoszą ze szpitali tysiące bakterii. Ale placówki wołają kapcie niż sprzątanie, bo za to ostatnie płaciłby szpital



Stopy foliowane są na razie za darmo, bo szpital sprawdza, czy folia może zastąpić kapcie

OBOWIĄZEK UŻYWANIA w szpitalach ochraniaczy na buty przez odwiedzających nie ma merytorycznych podstaw ani nie przeciwdziała zagrożeniom epidemiologicznym – mówi Tomasz Mischczak z Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Negatywna ekspertyza GIS oparta jest na badaniach doktora Pawła Grzesiowskiego, szefa Zakładu Profilaktyki i Zakażeń Szpitalnych w Narodowym Instytucie Leków. Wykazał on, że razem z kapciami odwiedzający wnoszą ze szpitala niebezpieczne bakterie – by zaoszczędzić 1,50 zł, rodzina i przyjaciele zwykle zabierają jednorazowe ochraniacze do domu i używają ich wielokrotnie.

Najszybsze byłyby maty antybakteryjne wyłożone przed wejściem, ale są drogie, a szpitalom nie do końca chodzi o aseptyczność. – Okrywanie nóg pozwala na zachowanie czystości, szczególnie w śnieżne lub słotne dni – wyjaśnia Bogdan Tomaszewski, kierownik działu technicznego szpitala na Solcu w Warszawie. W placówce stanęła więc testowa maszyna (na zdjęciu), która foliuje wsuniętą do niej obutą stopę. Jeśli się sprawdzi, zastąpi automat do kapci.

Studiowanie

GDY LEGITYMACJA ZNIKA, ZOSTAJE ULGA

GWAŁTOWNY WZROST ZAGUBIEŃ legitymacji studenckich pod koniec roku akademickiego – oto efekt wprowadzenia na uczelniach systemu bolońskiego. Dokument ginał głównie tym, którzy skończyli studia licencjackie i będą kontynuować je na poziomie magisterskim. Takich osób jest ponad 150 tysięcy. Ich rocz-

Taka metoda najprawdopodobniej zapobiega wielokrotnemu użyciu folii, ale i tak budzi wątpliwości epidemiologów: folię trzeba zdjąć ręcznie. – Foliowanie ma sens, jeśli możliwe jest bezdotykowe zdejmowanie. Maszyna powinna więc także usuwać folię albo szpital powinien wydzielić miejsce na jej zdjęcie i odkażenie rąk – wyjaśnia doktor Piotr Leszczyński, szef zespołu do spraw zakażeń szpitalnych Szpitala Klinicznego Dzieciątka Jezus w Warszawie. Ponadto, choć folia na nodze będzie krótko (wizyty trwają średnio 30 minut), może wywołać nadmierną potliwość stopy, uczucie dyskomfortu, a czasem, w bezpośrednim kontakcie ze skórą, także alergię.

– Nie można narażać zdrowia kosztem oszczędności na detergentach. My zintensyfikowaliśmy sprzątanie – mówi pułkownik doktor Wojciech Lubiński z Wojskowego Instytutu Medycznego przy ulicy Szaserów w Warszawie. Szpital wycofał obowiązek noszenia ochraniaczy. To wyjątek. Większości placówek trudno zrezygnować z ubierania ludzi w „kondomy” (jak służba zdrowia nazywa kapcie), za które zapłaci przecież odwiedzający.

ci jako pierwszy studiował według systemu bolońskiego, który oblige do napisania pracy licencjackiej po trzech latach nauki. Ale by dostać dyplom i po wakacjach rozpocząć studia magisterskie, trzeba być absolwentem, czyli między innymi oddać legitymację. A ta ważna jest do października. Licen-

Edukacja

NA SZLAKU DWÓCH PAPIESKICH SZKÓŁ

W KAZANICACH KARDYNAŁA Stanisława Dziwisza nie było ani razu, bo okolice Ilawy to ani jego diecezja, ani rodzinne strony. Ale właśnie tam 536 osób (uczniowie i mieszkańcy) zdecydowało w ankiecie, by podstawówka i gimnazjum nosiły jako jedyne w Polsce imię krakowskiego metropolity. Zdobył więcej głosów niż biskup Jan Chrapek, Janusz Korczak, lekkoatleta Janusz Kusociński, Adam Mickiewicz i polscy olimpijczycy (razem wzięci). – Gdy byliśmy na audjencji w Krakowie, ksiądz kardynał przyjął tę propozycję z pewnym zakłopotaniem, ale się zgodził – wspomina (to rzecz działa się w 2007 roku) Teresa Borkowska z Zespołu Szkół imienia kardynała Dziwisza. Podkreśla, że dzięki takiemu patronowi uczniowie wyrobią w sobie jego najlepsze cechy: cierpliwość, pracowitość, pokorę i gotowość do służby w cieniu kogoś innego. Kardynał Dziwisz sugerował, że lepszy będzie patronat Jana Pawła II. Ale niecałe trzy kilometry dalej, w Roźentalu, jest szkoła jego imienia. W Kazanicach mają nadzieję, że kardynał Dziwisz przyjedzie w końcu na ten „papięski szlak szkół”. – Obiecał nam, że odwiedzi nas jeszcze za życia – mówi Teresa Borkowska. Na wizytę podczas tego rozpoczęcia roku nie mogą liczyć, bo patron szykuje w Krakowie światowy zjazd międzyreligijny. – *mil*

Odbić palmę

Za milion złotych?

WŁADZE STOLICY CHCĄ odkupić sztuczną palmę z ronda Charles'a de Gaulle'a od artystki Joanny Rajkowskiej. Co prawda Warszawa w 2007 roku kupiła już prawa autorskie, teraz jednak chce być właścicielem całości, co ma ułatwić odświeżanie drzewa. Dotąd autorka musiała sama wnioskować o dofinansowanie – na przykład zmiany liści – a procedury trwały długo. Mimo to Rajkowska nie wie, czy sprzeda palmę. Ceną wyjściową jest dla niej milion złotych – za tyle stolica chce kupić rzeźby od Magdaleny Abakanowicz. Urząd miasta ma nadzieję, że kwota sprzedaży będzie raczej symboliczna. – *kom*

Wizyty

TRÓJMIASTO W OGNIU

PREMIER I PREZYDENT PRZENOSZĄ STOLICĘ (ważnych wydarzeń) na Wybrzeże: w najbliższych tygodniach tam skierują się zagraniczni przywódcy. Obchody rocznicy Sierpnia '80 (31 sierpnia) i wybuchu II wojny światowej (1 września) to dla miasta rekompensata za przeniesienie w czerwcu do Krakowa uroczystości 20-lecia transformacji. Gdańsk rozważa transport gości autami, helikopterami i drogą morską. Wśród oczekiwanych gości są kanclerz Angela Merkel i premier Władimir Putin, dlatego Niemcy i Rosjanie ustaliły z BOR szczegóły ochrony. 10 dni później

REKLAMA

BeerFest 2009

Zapraszamy na największy piwny festiwal w Polsce!

28-30 sierpnia
Pola Marsowe w Parku Chorzowskim

W programie BeerFest:

- degustacje piw z całego świata
- giełda biophilów
- konkurs międzynarodowych orkiestr dętych
- gwiazdy: **Feel, Coma, Kayah, Sofa**

W Festiwalu wezmą udział browary z całego świata:

- Radegast
- Dreher
- Velkopopovický Kozel Černý
- Arany Ászok
- Gambrinus



TYSKIE

Tyskie - 2 Polski



Na Westerplatte przed obchodami rocznicy wybuchu wojny saperzy szukają niewybuchów i niewypalów

nawałnicę przeżyje Sopot, gdzie przywódców Czech, Słowacji i Węgier podejmie Lech Kaczyński w ramach szczytu Grupy Wyszehradzkiej. Na razie sopocki ratusz szykuje zamówione przez Kancelarię Prezydenta foldery informacyjne dla gości. – *apa*

W DUŻYM SKRÓCIE

Żydzi chcą „Mein Kampf”

Centralna Rada Żydów w Niemczech poparła propozycję wydania książki „Mein Kampf” Adolfa Hitlera. Uznała, że publikacja manifestu uzupełnionego o fachowe komentarze przyczyniłaby się do lepszego zrozumienia nazizmu. Właścicielem praw do „Mein Kampf” jest od 1945 roku rząd Bawarii.

Starość to jednak radość

Starzy ludzie są szczęśliwi – ustalili naukowcy. Badania przeprowadzone przez psychologów Uniwersytetu Stanforda na osobach w wieku 18–90 lat pokazały, że starsi ludzie lepiej zarządzają czasem, lepiej znoszą krytykę i skuteczniej unikają stresu. Cieszą się też najlepszym zdrowiem psychicznym.

Prawo dla zwierząt

Boliwia jako pierwsze państwo świata wprowadziła zakaz wykorzystywania jakichkolwiek zwierząt w cyrku. Podobne zakazy funkcjonujące w innych krajach dotyczą tylko dzikich zwierząt.

Droższe picie

Z kolei Oldham jako pierwsze miasto w Wielkiej Brytanii wprowadza przepisy, które mają ograniczyć picie. Bary muszą przestrzegać ceny minimalnej i zrezygnować z promocji. Jeśli rozwiązania z Oldham zmniejszą przestępczość, zostaną przejęte przez inne brytyjskie miasta.

Nabroili modlitwami

Mieszkańcy dwóch szwajcarskich wiosek Fieschertal i Fiesch przez ponad 400 lat modlili się o to, by znajdujący się w pobliżu lodowiec przestał się powiększać. Najpierw ślubowali żyć w cnocie, później zaczęli organizować procesje. Teraz, gdy z powodu ocieplenia klimatu lodowiec zaczął topnieć, chcą się modlić o jego ocalenie. Zamierzają nawet poprosić papieża o wstawiennictwo.



W Szanghaju ruszyła budowa pawilonu, który będzie promował Polskę na wystawie Expo 2010. Walczymy o wejście na najtrudniejszy, lecz najbardziej dynamicznie rozwijający się rynek na świecie. Ofensywa będzie skromna, ale ma nadrobić skutecznością

RAFAL KOSTRZYŃSKI, SZANGHAI

Kuszenie Chin

NASZYM PROBLEMEM JEST TO, ŻE CHIŃCZYCY NIE mają o nas ani dobrej, ani złej opinii – mówi komisarz generalny sekcji polskiej Expo Sławomir Majman. – Nie mają żadnej. Oni po prostu niczego o nas nie wiedzą.

Z badań przeprowadzonych w największych miastach Chin na ludziach młodych, dobrze wykształconych i dobrze zarabiających wyszło, że ich znajomość Polski sprowadza się do dwóch obiegowych formułek: sąsiaduje z Rosją, ale jest od niej biedniejsza. To fatalna rekomendacja. W Państwie Środka liczą się przede wszystkim znajomości i poparcie dygnitarzy partyjnych. Można by było dać sobie z nimi spokój, gdyby nie to, że chińska gospodarka – druga po amerykańskiej – rozwija się najszybciej na świecie. A jednocześnie jest to rynek skrajnie trudny do zdobycia. Chińczycy sami decydują o tym, z kim handlować. Nie rozmawiają z nieznanymi. Polska chce więc ładnie się im przedstawić. Dlatego po raz

pierwszy jedziemy na Expo ze starannie opracowaną strategią.

Nie ma już tematu Tybetańczyków, Ujgurów czy bojkotu igrzysk. Dziś polskie władze wolą mówić o tym, co łączy oba narody. Taka jest właśnie taktyka – podkreślamy podobieństwa. Jej najważniejszym elementem będzie polski pawilon, którego budowa rozpoczęła się 4 sierpnia od uroczystego wbicia łopaty. Dwa i pół tysiąca metrów powierzchni użytkowej wprowadzie nie sytuuje go wśród liczących się wystaw, ale za to wyróżniają go kształt i estetyka. Pod koniec grudnia w części przeznaczony dla Europy stanie konstrukcja przypominająca ludową wycinankę (a więc rękodzieło wciąż bardzo popularne w Chinach) i nawiązująca do Chopina (czyli jedyne Polaka, który w tym kraju bywa poprawnie kojarzony).

– Czerpaliliśmy z ludowej tradycji – opowiada Marcin Mostafa, architekt, który wspólnie z Natalią Paszkowską wygrał konkurs na pro-

jekt pawilonu. – Musieliśmy uwzględnić wątek Chopina, ale chcieliśmy uniknąć łopatologii: nut czy fortepianów.

Natalia Paszkowska: – Wyobraziłmy sobie wielokrotnie złożoną kartkę, wycięliśmy w niej wzór i rozłożyliśmy. Takie origami po polsku.

Także program polskiej wystawy będzie podkreślał podobieństwa między Polską a Chinami. To, że w rozwoju gospodarczym naszych krajów dużą rolę odegrała migracja ze wsi do miast. To, że my też, jak Chińczycy, wyszliśmy z systemu gospodarki planowej. A nawet to, że łączy nas także historia. – Chińskim politykom chcemy przypomnieć pewien epizod z października 1956 roku – mówi „Przekroju” Sławomir Majman. – Ostrą interwencję przewodniczącego Mao Zedonga, która powstrzymała radzieckie czołgi przed marszem na Warszawę. I że to Polska w 1949 roku otworzyła w ChRL pierwszą spółkę z kapitałem zagranicznym.

Rektemu w Saragossie polski pawilon zdobył trzecią nagrodę w konkursie atrakcyjności. W Szanghaju może być równie dobrze. Organizatorzy uroczystości wmurowania kamienia węgielnego spodziewali się kilku ekip chińskich mediów. Przyjechało około 30. Doniesienia z imprezy pojawiły się w miejscowej telewizji i radiu. Następnego dnia pisały o niej gazety. Wygląda na to, że w ciągu dwóch dni mieszkańcy Szanghaju dowiedzieli się o Polsce więcej niż przez ostatnich 30 lat.

Hou Yubo, reporter China Radio International: – Przekonuję mnie wasz projekt. Dla Chińczyków Polska nie jest ważnym krajem. Liczą się tylko USA, Japonia, Niemcy i Francja. Szukanie podobieństw to dobry pomysł. Ale to nie wystarczy.

Długo w ślad za szukaniem podobieństw idą rozmowy polityczne i gospodarcze. Od czasu igrzysk przedstawiciele polskiego rządu (w tym premier Donald Tusk) byli w Chinach kilkanaście razy. – Prowadzimy ofensywę, która ma przekonać Chińczyków, że takie przypadki jak bojkot otwarcia olimpiady w Pekinie nie zmieniają naszego pozytywnego stosunku do Chin – wyjaśnia Majman. – Pokazujemy tamtejszym władzom, że rozumiemy chińską rację stanu. Chcemy im wytłumaczyć, że jesteśmy krajem rozwiniętym gospodarczo, że możemy być dla chińskich przedsiębiorców bramą do Europy, bo nasze firmy, które potrafią handlować z krajami UE, są do ich dyspozycji.

Pozyskanie chińskiego biznesu nie będzie jednak łatwe. Nie udaje się to nawet UE, która nie może się doprosić, by Pekin przestał ograniczać swoje preferencje handlowe tylko do Niemiec i Francji. Wartość polskiego eksportu do Chin zaczęła

w ostatnich latach gwałtownie rosnąć (przekraczając miliard dolarów w 2006 roku), ale rośnie też ujemne saldo wynoszące dziś ponad 10,5 miliarda dolarów. – Musimy znaleźć w Chinach partnerów, którzy będą chcieli u nas kupować i inwestować – mówi wicemarszałek Senatu Marek Ziółkowski.

Tymczasem swoje ambitne cele organizatorzy Expo 2010, będą musieli realizować, mając budżet okrojony o 70 procent. – Mamy tyle, ile na Expo w Saragossie – przyznaje Sławomir Majman. – Pomijam, że Saragossa leży w Hiszpanii, a nie w Chinach, że wystawa tam trwała trzy miesiące, a nie sześć, i że tam wynajęliśmy gotowy obiekt.

Jest jeszcze jeden problem. Być może przeceniamy popularność Chopina w Chinach. „Shanghai Daily”, który polskiemu pawilonowi poświęcił całą stronę, przyznał, że Chopin jest znanym kompozytorem, ale zaraz potem przypisał mu autorstwo walc „Nad pięknym miodnym Dunajem”. Czyżby dobry omen dla Austrii? □



Polska wizytówka na Expo 2010 w Szanghaju – ażurowy pawilon przypominający ludową wycinankę. Już wzbudził zainteresowanie

FOT. RAFAL KOSTRZYŃSKI, MATERIAŁY PROMOCYJNE, AP(2)

REKLAMA

Portal WWW komórce

Sprawdź, jaka będzie jutro pogoda

mini.wp.pl



Twoja poczta e-mail / prognoza pogody / repertuar kin / najświeższe informacje / kursy walut / wszystko to po kilku kliknięciach na ekranie Twojej komórki / wpisz adres mini.wp.pl w przeglądarce swojej komórki i ciesz się mobilną stroną Wirtualnej Polski / pomoc znajdziesz na stronie: info.mini.wp.pl

BIZNES

Co mówią liczby

52 napady

na banki odnotowano w Polsce w tym roku. Od 2002 roku ich liczba malała. Zaczęła rosnąć w czwartym kwartale zeszłego roku. Bandyci najczęściej biorą na cel placówki PKO BP, SKOK i Millennium. Zgodnie z przepisami ochroniarzy muszą zatrudniać tylko te oddziały, które przechowują powyżej 570 tysięcy złotych. — *szczep*

1,03 mln zł

będzie kosztować najtańsza wersja auta Ferrari California, dostępna w pierwszym w Polsce salonie tej firmy, który zostanie otwarty w dawnym domu partii KC PZPR na przełomie października i listopada. Tyle w najdroższej wersji kosztują Porsche 911 i Bentley. Ferrari w najdroższej wersji będzie kosztować około 4 milionów złotych. Firma chce sprzedawać 10-15 aut rocznie. — *kom*

Podróżę warsem

JAK JESZ, NIE KLIKAJ

W WAGONACH RESTAURACYJNYCH [Wars] podróżujący nie mogą używać przenośnych komputerów. Tak mówi regulamin PKP, mimo że w żadnej innej spółce na świecie należącej do International Rail Catering Group, zrzeszenia firm zajmujących się obsługą restauracyjną w pociągach, taki zapis nie występuje. Zarząd Warsz przekazuje też, że zakaz jest wprowadzony dla dobra pasażera i bezpieczeństwa jego sprzętu, który na przykład może zostać zalany gorącą kawą. Dementuje natomiast, jakoby wynikał z mniejszej konsumpcyjności skomputeryzowanego klienta ani z tego, że zajmuje on dwa razy więcej miejsca niż na przykład podróżny czytający książkę. — *aj*

Spoko, to tylko SPOCS

Od przyszłego roku założysz firmę bez wychodzenia z domu. Jak to możliwe, skoro dopiero co wszedł w życie system pod hasłem „jedno okienko”? I działa fatalnie

WŁASNY BIZNES KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Do końca tego roku wszystkie państwa UE mają utworzyć punkty, w których będzie można założyć firmę przez Internet, tak by każdy przedsiębiorca obcokrajowiec chcący otworzyć firmę w obcym państwie nie musiał do niego przyjeżdżać. Projekt zapisany jest w unijnej dyrektywie o usługach. Komisja liczy, że w ten sposób na rynku unijnym zwiększy się konkurencyjność i liczba miejsc pracy.

Projekt rejestracji firm online (pod hasłem „zero okienka”) Ministerstwo Gospodarki zamierza uruchomić dopiero w 2011 roku, ale przyznaje, że nad otwarciem eurookienek (fachowo: punktów kontaktowych) również pracuje, by ruszyły punktualnie – nawet już pod koniec tego roku. Czy to oznacza, że obcokrajowcy będą przynajmniej przez rok traktowani lepiej niż Polacy? – Dokonać czynności zmierzających do zarejestrowania działalności przez tak zwane punkty kontaktowe będą mogli wszyscy, a nie tylko osoby z zagranicy – zapewnia Adam Szejnfeld, wiceminister gospodarki. Dlaczego w takim razie nie można od razu uruchomić projektu „zero okienka”? Przecież system spełniałby unijne wymogi. To niemożliwe, bo trzeba stworzyć ogólnopolską bazę zwaną Centralną Ewidencją Informacji o Działalności Gospodarczej, a to skomplikowane.

Od przyszłego roku będziemy więc zakładać firmy po staremu, czyli w jednym okienku. Albo – jeśli zechcemy – w internetowym punkcie kontaktowym. Jak? – Pan pyta o takie szczegóły, jakby one były oczywistym elementem nie czegoś, co się dopiero tworzy, lecz czegoś, co już

★ **Urzednicy przyjmujący** dokumenty w gminach często twierdzą, że oni są „tylko od przesłania dokumentów do właściwych urzędów”. Początkujący biznesmeni mają więc poważny problem, by dowiedzieć się, jak wypełnić druki rejestracyjne do ZUS czy urzędu skarbowego



Stworzenie punktów kontaktowych będzie dla nas ogromnym wyzwaniem

jest stworzone i od wczoraj stosowane – irytuje się. I obiecuje, że terminy rejestracji firm się nie zmieniają. Trudno w to uwierzyć, bo uruchomiony w kwietniu system jednego okienka, zamiast skrócić czas zakładania firm, niestety go wydłużył! Gminy, do których składa się wymagane dokumenty, przesyłają je pocztą do pozostałych urzędów. Wcześniej między urzędami chodził petent i ta droga – choć uciążliwa – była szybsza*.

W przypadku punktów kontaktowych system prawdopodobnie będzie funkcjonował podobnie. A być może jeszcze gorzej, bo prawdopodobnie powstanie tylko jeden punkt kontaktowy przy ministerstwie. I to on miałby zająć się rozsyłaniem dokumentów po całym kraju. Nie wiadomo też, czy będzie wymagany e-podpis. Na system zwany w unijnych dokumentach Simple Procedures Online for Cross-border Services (SPOCS) Komisja Europejska wyłożyła 14 milionów euro. Jeśli będzie fikcją, grożą nam kary za nieprzestrzeganie unijnego prawa.

Hit inwestycyjny

LOKATY DZIENNE

WPROWADZIŁO JE JUŻ OSIEM banków. Pozwalają uniknąć podatku Belki. Jak? Je-

śli dzienna wysokość odsetek z lokaty nie przekroczy 2,49 złote, podatek wyniesie mniej niż 50 groszy. A kwotę do 50 groszy zaakceptuje się do zera, w efekcie podatku nie płacimy. By odsetki nie przekraczały 2,49 złote, maksymalna lokata to około 15 tysięcy złotych. — *szczep*

gla się do zera, w efekcie podatku nie płacimy. By odsetki nie przekraczały 2,49 złote, maksymalna lokata to około 15 tysięcy złotych. — *szczep*

Bilans firm zakładanych do likwidowanych

2008 + 32,8 tys. 2009 - 8,6 tys.

★ **Dostaniesz paragon.** Od kwietnia 2010 roku lekarze i prawnicy będą musieli instalować kasy fiskalne.

Wakacyjne inwestycje

LOKALNE BANKNOTY WYPIERAJĄ DUKATY

RYNEK MONET LOKALNYCH zaczyna być przesycony. W tym roku po raz pierwszy liczba miast, które wyemitowały własne monety, przekroczyła setkę. W sumie od momentu, gdy w 2006 roku pierwszą lokalną monetę wprowadziła Jastarnia (3 merki), na rynku pojawiło się już 260 różnych dukatów. Niektóre z nich wciąż przynoszą spore zyski. Przykładowo: jastarniane merki z 2006 roku można kupić na Allegro po 60 złotych. Cena emisyjna wynosiła 3 złote. Kwartniki zamkowe z Będzina rozprowadzane po 75 złotych sprzedają się na aukcjach po 200 złotych (w pewnym momencie chodziły nawet po 750 złotych).

Jednak zwykle po kilku dniach zachwyty ceny spadają do kwot emisyjnych. Jak zatem szukać dukatów,

na których można by zarobić? – Niski nakład niekoniecznie jest cechą podnoszącą cenę. Ważny jest unikatowy projekt oraz rodzaj metalu, z którego moneta jest wybita – przestrzega Michał Gazda z serwisu Katalogmonet.pl. Zdaniem numizmatyków w najbliższym czasie warto zain-

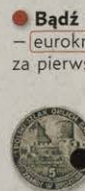
teresować się też lokalnymi banknotami – w maju pierwszy taki bon wyemitowała miejscowość Kcyń (na razie ceny wzrosły o 20 procent). 15 sierpnia w Ciechanowcu rozpocznie się emisja 10 nureców (cena emisyjna 10 złotych, wysyłka listowna: 15 złotych). — *szczep*

Jak kupować bony lokalne, by przynosiły zyski

★ **Szukaj unikatowych egzemplarzy** – na przykład nakład funda dominikańskiego rozprowadzanego w tym roku w Gdańsku wynosi 20 tysięcy, ale na tysiącu sztuk wygrawerowana będzie litera X.



★ **Wybieraj nietypowe metale** – 12 przemysłowych osin wykonano z alpaki, czyli mosiądzu przypominającego srebro, oraz dodano ozdobę z rubinu syntetycznego.



★ **Bądź pierwszy** – lokalne banknoty – eurokryncie i nure – mogą być premiowane za pierwszeństwo, tak jak jastarniane merki.



★ **Licz się nietypowe pomysły** – na kwartnikach z Będzina wybito wizerunek zamku, całość posrebrzono i naniesiono pieczęć lakową. Z kolei funt krakowski to jedyna w Polsce moneta będąca stopem trzech metali: mosiądzu, alpaki i miedzi.

SOLIDNA STOPA

TYŁE, ILE NA LOKACIE

5,06%
ZRÓB KROK W STRONĘ
ZYSKU

Polisa Solidna Stopa na 6 miesięcy:

- Jest grupowym ubezpieczeniem na życie i dożycie w PZU Życie SA z zyskiem w skali roku 4,1% bez podatku, co odpowiada zyskowi z lokaty oprocentowanej 5,06%*
- Minimalna wpłata 25 000 PLN
- Oferta ważna do 30 września 2009 r.**

www.pkobp.pl
infolinia: 0 801 302 302*** +48 (81) 535 65 65****



PKO BANK POLSKI
— 90 lat —

Szczegóły oferty, w tym ogólne warunki grupowego ubezpieczenia na życie i dożycie dla klientów PKO BP, dostępne są w oddziałach i na stronie www.pkobp.pl
* Podana wysokość oprocentowania lokaty przed opodatkowaniem podatkiem od dochodów kapitałowych w wysokości 19%. Oprocentowanie stałe, stan na dzień 3.08.2009 r. ** Okres oferowania polisy może zostać zmieniony.

Opłata jak za połączenie lokalne *Opłata zgodna z taryfą operatora

JAK SPRZEDAWANO POLSKĘ (MĄDRZE I GŁUPIO)

PIKANTNA HISTORIA
PRYWATYZACJI
PEŁNA INTRYG,
ZAWROTNYCH FORTUN
I BOLESNYCH UPADKÓW
OD MINISTRÓW
PO CIULAJĄCYCH
NA GIEŁDZIE OBYWATELI
MOŻE POMÓC
W ODPOWIEDZI
NA PYTANIE:
PRYWATYZACJA
CZY PODWYŻKA
PODATKÓW

PRYWATYZACJA ALEKSANDRA PAWLICKA, PAWEŁ MOSKALEWICZ

Czy podatki pójdą w górę? Wszyscy zadajemy sobie to pytanie od kilku miesięcy i niewielu uspokaja stanowcza deklaracja premiera, że nie ma o tym mowy. Światowy kryzys i gigantyczna dziura budżetowa od dawna przestały być zmartwieniem wąskiego grona ekonomistów, a stały się tematem rozmów przy polskich stołach. Bo kryzys widać także w skali mikro.

– Katastrofa, ludzie przestali jeździć, te parę kursów dziennie nie wystarcza nawet na utrzymanie auta – opowiadał mi ostatnio załamany stołeczny taksówkarz. A przecież w Warszawie kryzys jest stosunkowo najmniej odczuwalny. Dla wszystkich jest jasne – gospodarka naprawdę zwolniła, rząd nie ma pieniędzy i gdzieś musi je znaleźć. Pole do oszczędzania nie jest duże, bo i rządzący, i rządzeni potężnie zacisnęli już pasy. Każde kolejne cięcie w budżetowych wydatkach to dramatyczna decyzja o odebraniu pieniędzy najbardziej potrzebującym. A więc podatki? W przededniu podwójnych wyborów – prezydenckich i samorządowych – dla Tuska to polityczne samobójstwo.

I oto wydawało się, że ów diabelski supel rozwiązał minister skarbu. Niedawno Aleksander Grad publicznie ogłosił, że rząd piorunem dokończy prywatyzację, sprzedając udziały w spółkach warte prawie 40 miliardów złotych. Czy został narodowym bohaterem lub przynajmniej zbawcą rządu i Platformy? Bynajmniej. Związki zawodowe w KGHM ogłosiły pogotowie strajkowe, ministra natychmiast zdezawuował wicepremier Grzegorz Schetyna („kolega rzucił tylko taką ogólną myśl”), a kilka dni później premier Tusk powołał zespół do spraw prywatyzacji, do którego włączył jednego z jej głównych przeciwników, wicepremiera Waldemara Pawlaka z PSL.

Tak oto po raz kolejny prywatyzacja trafiła do szuflady. Czy nad rozpoczętą prawie 20 lat temu sprzedażą państwowego majątku wisi jakaś klątwa? Zawsze, gdy którykolwiek rząd próbował ją pchnąć do przodu, krajem wstrząsały protesty, a ze słowem „prywatyzacja” na dobre związał się przymiotnik „złodziejska”. Zaś niemal każdy aktywny minister spędzał potem lata w sądach i przed trybunałami, gdzie oskarżenia o narażanie państwowej kasy na straty i korupcję należały do najłagodniejszych.

(W PRL pomysł z kosmosu)

Połowa lat 80. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej prawie cała gospodarka (z wyjątkiem części rolnictwa i drobnego rzemiosła) znajduje się w ręku państwa. I nikt, łącznie z większością działaczy Solidarności, nie wyobraża sobie, że mogłoby być inaczej. Ale paru zapaleńców – Janusz Le-

wandowski, Leszek Balcerowicz oraz kilku innych ekonomistów z Warszawy i Trójmiasta – spotyka się regularnie, by wspólnie się zastanawiać, jak zreformować państwową gospodarkę.

W 1988 roku na seminarium na SGPiS (dziś SGH) Lewandowski z Janem Szomburkiem przedstawia kosmiczny w tamtych czasach projekt prywatyzacji. – Nawet pół roku później, już przy Okrągłym Stole, nikt nie brał naszych pomysłów serio – wspomina Lewandowski. – Stolik ekonomiczny skupił się prawie wyłącznie na kwestiach związkowych.

I rzeczywiście. Prywatyzacja wydawała się czymś dziwnym i niepotrzebnym nie tylko rządzącym komunistom, ale też tradycyjnej, solidarnościowej opozycji. Najlepszy dowód, że w rządzie Tadeusza Mazowieckiego w ogóle nie było ministra odpowiedzialnego za prywatyzację. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy rok później powstał zdominowany przez liberałów rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego. Powołano Ministerstwo Przekształceń Własnościowych, na czele którego stanął Lewandowski. W 1990 roku uchwalono pierwszą ustawę prywatyzacyjną – efekt z trudem wywalczonego kompromisu pomiędzy liberałami a niechętnymi prywatyzacji związkami zawodowymi. Nie było łatwo, bo Solidarność, choć antykomunistyczna, była jako związek zawodowy na wskroś socjalistyczna. A robotnicy czuli się niemalże właścicielami fabryk właśnie odwojowanych „komunie”. Zgodę osiągnięto, zapisując postanowienie, że większość państwowego majątku trafi do obywateli za pomocą tajemniczych wtedy świadectw udziałowych. Dla prywatyzacji zapaliło się zielone światło. Stąd był już tylko krok do otwarcia w Warszawie giełdy.

(Giełda zamiast cenzury)

Oto chichot historii. W 1991 roku dźwięk dzwonu rozpoczynający pierwszą sesję giełdową w powojennej Polsce rozbrzmiał w słynnym Domu Partii, czyli dawnym budynku Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Towarzyszy centralnie sterujących państwową gospodarką zastąpił kolorowy tłumek maklerów w czerwonych szelkach. Te zaś stały się symbolem – dla jednych nowej, rynkowej gospodarki, dla drugich – trwającej do dziś grabieży majątku narodowego.

Początki warszawskiej giełdy mogą dziś wywoływać uśmiech – na parkiecie handlowano akcjami zaledwie pięciu spółek (Tonsil, Próchnik, Krosno, Kable, Exbud), a sesje odbywały się raz w tygodniu. – Już wtedy zdawałem sobie sprawę, że dobór tych firm jest dość przypadkowy. Tak naprawdę tylko Exbud miał menedżerskie zarządzanie i nadawał się na giełdę. Od czegoś jednak trzeba było zacząć – wspomina Lewandowski. On →

Na prywatyzacji stoczni
potykają się kolejne rządy.
Raport NIK wykazał,
że tylko w latach 2005–2007
wznowiliśmy w stoczni
cztery miliardy złotych.
Teraz za ich nieudaną
sprzedaż może stracić głowę
minister skarbu

→ sam (to kolejny chichot historii) urzędował przy biurku głównego cenzora PRL, bo resort przekształcał własnościowych ulokowanych w dawnym urzędzie cenzury przy ulicy Mysiej w Warszawie.

Wraz z pojawianiem się na giełdzie nowych spółek jak grzyby po deszczu wyrastały nowe biura maklerskie. Na parkiecie zadebiutowały: Swarzędz, Wólczanka, Żywiec, Wedel... Tworzył się specyficzny, giełdowy świat. Ktoś odwiedza dziś nowy, sterylny budynek giełdy (zbudowany nieopodal pierwszej, historycznej siedziby) za nic na świecie nie poczucie atmosfery pionierskich lat. Podobnie jak dzisiejsi profesjonalni inwestorzy w niczym nie przypominają rozemocjonowanych graczy z wczesnych lat 90. Jaka giełda, tacy kapitaliści. Ton nadawała peerelowska inicjatywa prywatna – badylarze, rzemieślnicy, cinkciarze... W stołowie Domu Partii, gdzie gromadzili się pionierzy giełdowych inwestycji, dominował styl żywcem przeniesiony z bazaru w Rembertowie – słynne białe skarpetki frotte wystające z czarnego obuwia, konspiracyjne szepty, wymiana plotek i informacji oraz plastikowe reklamówki (rzadziej – nesery) po brzegi wypełnione gotówką, bo nikt nie był na tyle nienormalny, by zaufa państwowemu bankom.

Inwestowano, a tak naprawdę po prostu grano na wycucie. Większość graczy nie miała nawet elementarnego pojęcia o rynku kapitałowym i giełdzie, więc zabawa nieco przypominała totolotka – tyle że przynajmniej na początku z dużo większym prawdopodobieństwem wygranej. Praktycznie każda sprzedawana przez państwo spółka dawała sporo zarobić, jeszcze więcej, gdy posiadała się państwowe obligacje. Rząd bowiem, by zachęcić ludzi do udziału w prywatyzacji, przyznawał posiadaczom obligacji 20 procent bonifikaty przy zakupie akcji prywatyzowanych firm. Przedsięwzięcie reklamowano hasłem: „Chcesz mieć akcje? Kup obligacje!”.

Sprzedaż akcji obywatelom nie była jednak jedyną formą prywatyzacji. Możliwość zarobienia gigantycznych pieniędzy poprzez uwłaszczenie się „na państwowym” dostrzegła grupa peerelowskich menedżerów – szefów central handlu zagranicznego. Najślynniejszym z nich był Dariusz Przywieczerski, prezes Uniwersalu. Postać niezwykle barwna, zamieszana we wszystkie chyba afery pączkującego kapitalizmu (między innymi FOZZ). Już na początku lat 90. sprawnie przeprowadził prywatyzację swej firmy przy udziale pierwszego prywatnego banku BIG, w 1992 roku

wprowadził ją na giełdę, a potem wielokrotnie sprzedawał nieświadomym inwestorom swe akcje, kreując niebotyczne, acz papierowe zyski. Kilka lat później bankrutujący Universal, na którym nieliczni zbili fortuny, za to wielu je straciło, w niesławie wyrzucono z giełdy.



JANUSZ LEWANDOWSKI

Minister w rządach Jana Krzysztofa Bieleckiego i Hanny Suchockiej
Twórca warszawskiej giełdy, rozpoczął prywatyzację 8600 zakładów państwowych odzieżniczych po PRL, w tym 9 banków wydzielonych z NBP

(Pierwsza wielka afra)

Na razie jednak, na początku 1993 roku, Universal, podobnie jak inne notowane na giełdzie spółki, jest maszynką do robienia pieniędzy, która kręci się coraz szybciej. Powstają pierwsze giełdowe fortuny. Do punktów sprzedaży akcji, a potem do biur maklerskich i na giełdę ruszyli zwykli Polacy. Bo dla czego nie skorzystać z okazji, skoro w kilka tygodni można zarobić dużo więcej niż w banku przez rok? To wywołało pierwszą wielką hossę w 1993 roku. Chętnych na szybki zarobek było coraz więcej, a tymczasem rząd – z powodu politycznych tarć i nacisków – zwolnił tempo prywatyzacji. Akcji więc nie przybywało, za to pieniędzy – jak najbardziej. Rosły ceny praktycznie wszystkich spółek. Polacy dostali zbiorowej euforii giełdowej. W takiej atmosferze świeżo wybrany rząd koalicji SLD-PSL postanowił przeprowa-

dzić największą jak dotąd prywatyzację i publiczną ofertę akcji, czyli sprzedać Bank Śląski. I tak wybuchła pierwsza wielka afra prywatyzacyjna.

Na początku wszystko wyglądało pięknie. Na wieść o prywatyzacji Śląskiego do biur maklerskich ruszyły setki (!) tysięcy Polaków. Pamiętam jak dziś – bo sam uległem euforii – nocną kolejkę z listą społeczną pod nieistniejącym już prywatnym biurem maklerskim Arabski & Gawor. Rachunek inwestycyjny był dobrem tak pożądanym jak najbardziej niedostępnym dla komuny towarowej. A gdy kolejni szczęśliwcy zdobywali możliwość grania na giełdzie, w te pędy ustawiali się w jeszcze dłuższych kolejkach po akcje Śląskiego.

Widząc taki popyt, rząd ograniczył sprzedaż akcji do trzech na osobę (więc w kolejkach stały całe rodziny), każda po pół miliona złotych (jesteśmy jeszcze przed denominacją złotego). Gdy akcje trafiają na giełdę, osiąga zawrotną cenę 6 750 000 złotych, czyli 13-krotne przebicie! I wtedy wybuchła afra – zawiódł system i większość inwestorów nie

Ile można było zarobić na ofertach publicznych akcji państwowych firm?

cena w ofercie	debiut na giełdzie
PKO BP	
19,7 zł	→ +25% → 24,5 zł
PEKAO SA	
45 zł	→ +22% → 55 zł
PNK ORLEN	
19,5 zł	→ +14% → 22,2 zł
TP SA	
14,5 zł	→ +15% → 15,2 zł

mogła sprzedać akcje na pierwszych sesjach. Kokosy na Śląskim zrobiła tylko nieliczna grupa szczęśliwców (dla wrogów prywatyzacji: uprzywilejowanych członków złodziejskiego układu). Na dodatek premier Pawlak oskarżył odpowiedzialnych za prywatyzację ministrów o drastyczne niedoszacowanie wartości Śląskiego i wyprzedaż narodowego majątku za bezcen.

Pawlak zażądał głowy wiceministra finansów Stefana Kawalca, ale tak naprawdę atak wymierzony był w Marka Borowskiego (ówczesny minister finansów) i we mnie – opowiada Wiesław Kaczmarek, wtedy minister przekształceń własnościowych. I wspomina, że prywatyzacja od samego początku była kością niezgody wśród koalicjantów. Bo Paw-

WIESŁAW KACZMAREK

Minister w rządach Waldemara Pawlaka, Józefa Oleksego, Włodzimierza Cimoszewicza i Leszka Millera, twórca PPP
Uczestniczył w blisko dwóch tysiącach prywatyzacji, w tym w pierwszej wielkiej ofercie związanej ze sprzedażą Banku Śląskiego



lak do tego stopnia nie chciał w swym rządzie uważanych za liberalnych i przychylnych prywatyzacji Borowskiego i Kaczmarka, że w ostatniej chwili przed zaprzysiężeniem swego rządu u prezydenta Wałęsy skreślił ich z listy ministrów. Dopiero dramatyczna interwencja Aleksandra Kwaśniewskiego, który postawił sprawę na ostrzu noża, przywróciła obu panów i pozwoliła na zaprzysiężenie rządu. Do dziś wiadomo o tym niewiele osób.

Prywatyzacyjne tarcia polityków nie zniechęcały jednak Polaków. Przeciwnie, niebotyczne zyski na Śląskim rozbudzały zbiorową wyobraźnię. Od tej pory komitety kolejkowe i zakładane z wielotygodniowym wyprzedzeniem listy społeczne były stałym elemen-

tem pejzażu, gdy tylko państwo decydowało się sprzedać cokolwiek w ofercie publicznej. Nieraz dochodziło wręcz do ulicznych bijatyk, gdy w dniu sprzedaży do kolejki wdzielali się ogoleni na lyso ludzie z bejsbolami – bo także półświadek docenił możliwości płynące z prywatyzacji.

I nagle, czego nikt nie przewidział – bo na giełdzie chciwość zawsze wygrywa ze strachem – nastąpił krach. W marcu 1994 roku notowania wszystkich spółek się załamały, giełda poleciała w dół, a tysiące inwestorów straciło większość zainwestowanych pieniędzy. To na jakiś czas ostudziło prywatyzacyjne emocje. I pozwoliło giełdzie dojrzeć.

(Kłapa NFI i spryt Rydzyka)

Z politycznego punktu widzenia taki rozwój wypadków był jednak katastrofą. Na dodatek prywatyzacja okazała się życiodajną żyłą zasilającą budżet, nie można było dopuścić do jej zatkania. Dlatego pod koniec 1994 roku rząd Pawlaka zaczął realizować Program Powszechnej Prywatyzacji zmierzający do rozdania obywatelom części wciąż państwowych majątków.

Programem objęto ostatecznie 512 państwowych firm (około 10 procent mająt-

EMIL WĄSACZ

Minister w rządzie Jerzego Buzka

Na okres jego urzędowania przypada sześć z dziesięciu największych prywatyzacji 20-lecia, w tym największa prywatyzacyjna porażka – sprzedaż PZU



dziła sobie na wolnym rynku – czy to przez nieudolność, czy to przez nieuczciwość zarządzających. Niedługo potem część NFI padła, część

zaś stała się łatwym łupem spekulacyjnych „spółdzielni” bez najmniejszego kłopotu przejmujących pakiet kontrolny w pozabawionych dużego akcjonariusza funduszach.

To właśnie wokół NFI powstała – w mało przejrzysty sposób – większość giełdowych fortun. Smaku całej historii dodaje fakt, że w latach 1997–1998 na bliżej nieznaną liczbę PŚU rękę położył Tadeusz Rydzyk. Redemptorysta zaapelował bowiem do milionów słuchaczy Radia Maryja, by ci przekazywali mu swoje świadectwa jako datkę na ratowanie kolebki Solidarności, czyli Stoczni Gdańskiej. Rydzyk stoczni nie kupił, a z otrzymanych świadectw nigdy się nie rozliczył. Prawdopodobnie dały one początek dzisiejszej ekonomicznej potędze zakonnika z Torunia.

Założenia były szczerne: majątek trafiał do rąk obywateli, którzy zostali masowo wciągnięci w proces prywatyzacji. A firmy należące do NFI (zarządzanych przez wyłonione w przetargu konsorcja) miały zyskać dostęp do kapitału i szansę rozwoju. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Polacy szybko pozbyli się świadectw, zadowolając się niewielkim zyskiem, a większość funduszy nie pora-

ku pozostającego w rękach państwa). Każdy z 27 milionów dorosłych obywateli miał prawo odebrać tak zwane powszechne świadectwo udziałowe (PŚU), wnosząc niewielką opłatę administracyjną. Świadectwo można było sprzedać (na przykład na giełdzie) albo zamienić na akcje 15 Narodowych Funduszy Inwestycyjnych, pomiędzy które podzielono spółki biorące udział w Programie.

Po fiasku PPP władza raz jeszcze spróbowała wciągnąć obywateli do powszechnej prywatyzacji. Na początku 1996 roku odbyły się dwa konkurencyjne referenda prywatyzacyjne. Pierwsze – zarządzane jeszcze →

REKLAMA

wyślij SMS o treści **GPS** pod bezpłatny numer 8085

fotokody.pl

54192492830

OGŁOSZENIE

Promocja neostrada z nawigacją GPS rusza po raz kolejny. Jeśli do tej pory nie zdążyłeś skorzystać z oferty, teraz masz niepowtarzalną szansę!

Zamów lub przedłuż umowę na neostradę, a otrzymasz nawigację GPS. Nie zwlekaj!

neostrada z nawigacją GPS po raz drugi

www.tp.pl 19393

tp

→ przez ustępującego prezydenta Wałęsę – zawierało tylko jedno pytanie: „Czy jesteś za powszechnym uwłaszczeniem obywateli?”. W drugim, sejmowym, obywatele odpowiadali na cztery pytania, między innymi o to, czy rozdać pieniądze z prywatyzacji emerytom, rencistom i budżetowce oraz czy dołożyć nowe firmy do NFI. Polacy odpowiedzieli jasno – nogami – bo frekwencja ledwo przekroczyła 30 procent. Referenda były więc nieważne i tak zakończył się sen o powszechnej, obywatelskiej prywatyzacji. Może to i lepiej, bo prywatyzować zaczęto w sposób już nie „powszechny”, ale mniej lub bardziej biznesowy.

(Kulczyk i AWS – szaf prywatyzacji)

Prywatyzacyjny szczyt przypadł na lata rządów AWS i Jerzego Buzka (1997–2001). To ministrowie skarbu z ramienia AWS jako jedyni w historii po 1989 roku osiągnęli 200 procent normy prywatyzacyjnej (patrz wykres). I wywołali też najwięcej prywatyzacyjnych afer.

Emil Wąsacz, z wykształcenia inżynier elektryk, jest autorem najbardziej kontrowersyjnych prywatyzacji 20-lecia. Prywatyzował Domy Towarowe „Centrum”, Telekomunikację Polską i Powszechny Zakład Ubezpieczeń, za co Sejm w 2005 roku postanowił postawić go przed Trybunałem Stanu. Sprawa do dziś nie znalazła finału. W przypadku Domów Towarowych „Centrum” już w 1998 roku raport NIK alarmował o zaniżeniu wartości majątku co najmniej o 55,8 procent, i to bez uwzględnienia wartości gruntów, na których stoją 32 domy towarowe w centrach polskich miast.

O prywatyzacji TP SA fachowcy mówią, że została przeprowadzona z kłopotami na oczach. Warunkiem sprzedaży francuskiemu Telecomowi akcji TP SA był udział polskiego kapitału. Owym kapitałem okazał się Jan Kulczyk, który z zyskiem odsprzedał swoje akcje Francuzom po pięciu latach. Zagraniczni kontrahenci byli na tyle przekonani o intratności przedsięwzięcia, że na czas negocjacji prywatyzacyjnych z polskim rządem w 2000 roku wynajęli w całości na trzy miesiące jeden z najdroższych warszawskich hoteli.

Prywatyzacja TP SA nie była jedynym złotym interesem doktora Kulczyka zrobionym według, zdawałoby się, prostej recepty: kupić tanio od państwa i drogo sprzedać zagranicznemu inwestorowi. Po raz pierwszy scenariusz przeciwczył przy prywatyzacji browarów. 40 procent Lecha kupił preferencyjnie jako polski inwestor w 1993 roku za 20 milionów złotych (w przeliczeniu po de-



Kwiecień 1991 roku. Przy telefonie jeden z pierwszych maklerów Igor Chalupec, późniejszy prezes Orlenu

nominacji). Tyle że wkrótce zaprosił do spółki inwestora z RPA i Browary Wielkopolskie przeszły pod kontrolę zagranicznego kapitału. 10 lat później, za rządu Millera, Kulczyk próbował ten sam manewr wykonać z G-8 – grupą ośmiu wielkich dostawców energii w Polsce. Przy prywatyzacji Orlenu Kulczyk kupił pakiet mniejszościowy, który dawał mu spory wpływ na decyzje w spółce. Powołana w 2002 roku sejmowa komisja śledcza całymi miesiącami badała wpływ jego obecności na działania firmy. Zasiadający w komisji Roman Giertych ogłosił, że Kulczyk wspomagany przez prezydenta Kwaśniewskiego chciał przejąć kontrolę nad całym sektorem paliwowym w Polsce. Oficjalnie jednak żadnych zarzutów karnych mu nie postawiono.

(Wtopy 20-lecia)

Rządy AWS to jednak przede wszystkim początek największej prywatyzacyjnej wtopy 20-lecia. Chodzi oczywiście

o sprzedaż PZU Holendrom – konsorcjum Eureko i BIG Banku Gdańskiego. W sumie 30 procent akcji za przeszło 3 miliardy złotych. Tyle że, po pierwsze, wartość PZU wyceniono, gdy przynosił straty. Tymczasem w roku sprzedaży firma przynosiła już dwukrotnie większy niż Eureko. Po drugie, jak wykazała kontrola NIK, ówczesny minister skar-

bu Emil Wąsacz wybrał inwestora bez zgody rządu. I po trzecie wreszcie, umowę tak skonstruowano, że gwarantowała mniejszościowemu współnikowi kontrolę nad spółką. Wąsacz stracił ministerialny stołek. Jego następcą Andrzej Chładowski nie zdołał opanować konfliktu między Eureko a Skarbem Państwa. Przeciwnie, nastąpiło dodatkowe zapętlenie sytuacji, bo przeciwko Eureko wystąpił też zarząd firmy. Ówczesny prezes PZU Życie Grzegorz Wierczak (notabene jeden z pierwszych polskich maklerów) i prezes PZU Władysław Jamroz postanowili nie dopuścić do realizacji umowy z Eureko, aranżując wrogie przejęcie BIG Banku Gdańskiego przez Deutsche Bank. Co rzecz jasna doprowadziło Eureko do szewskiej pasji i zawoocowało żądaniem pozbawienia Wierczaka fotela prezesa. Stracił go za czasów kolejnego ministra w rządzie Buzka, Aldony Kameli-Sowińskiej, która podpisała dodatkowy aneks do umowy z Eureko. Zakładał sprzedaż Holendrom kolejnych 21 procent akcji PZU – ale pod pewnymi warunkami. Były to sprytne kruczki prawne, które pozwoliły rządowi Millera i jego czterem ministrom skarbu państwa bawić się z Eureko w kotka i myszkę. Bawić dość kosztownie, bo Eureko postanowiło w końcu dochodzić swych praw w Trybunale Arbitrażowym, który przyznał Holendrom rację. Tymczasem w Polsce powołano sejmową komisję śledczą mającą wyjaśnić nieprawidłowości przy prywatyzacji PZU. Ta wykazała 19 poważnych naruszeń prawa. Rząd PiS dodał do tego własne analizy prawne i stosując metodę odwracania kota ogonem, ogłosił odstąpienie od pierwotnej umowy prywatyzacyjnej PZU z 1999 roku. Tego Holendrom było za wiele. Wrócili do sądu, tym razem z za-

daniem odszkodowania w astronomicznej wysokości 35 miliardów złotych. Gdyby doszło do jego zasądzenia, pochłonęłoby cały planowany przez obecnego ministra Aleksandra Grada zysk z prywatyzacji. Ministerstwo Skarbu negocjuje więc warunki ugody. Ale prawda jest taka, że strat poniesionych w wyniku tej prywatyzacji uniknąć się już nie da.

(Wzloty i upadki lobbysty)

Podczas prac orlenowskiej komisji śledczej poza Kulczykiem wypłynął jeszcze jeden bohater, który szybko stał się symbolem ciemnych stron prywatyzacji. Mowa oczywiście o Marku Dochnału, najsłynniejszym polskim lobbysty. Podczas prac komisji ujawniona zostaje notka wywiadu, która mówi o tym, że odkupienie udziałów w Orlenu od Kulczyka negocjował właśnie Dochnał. Oczywiście nie dla siebie, lecz dla rosyjskiego koncernu Rao Jes, który chciał budować „most energetyczny” z Rosji przez Polskę do Niemiec. W obszarze jego zainteresowań była także prywatyzacja Rafinerii Gdańskiej (którą chciał połączyć rosyjski Lukoil) oraz elektrowni z grupy G-8. Tu starł się interesy Kulczyka i Dochnała działającego na rzecz Rao Jes. Prawicowi politycy (i część dokumentów polskiego kontrwywiadu) wska-

zywali, że Dochnał działa na polecenie rosyjskich służb. To nigdy nie zostało udowodnione, ale niesamowita kariera Dochnała już niedługo miała runąć w gruzy.



WOJCIECH JASIŃSKI

Minister w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego
Wstrzymał prywatyzację, choć był to czas rozkręconej koniunktury i spółki można było sprzedawać po wysokich cenach

Zanim jednak wybuchła „afera mercedesa”, Dochnał zdążył jeszcze zasłynąć skutecznym działaniem na rzecz swego kolejnego mocodawcy, hinduskiego potentata stalowego Lakshmi Mittala, gdy ten w latach 2002–2003 kupował od rządu Leszka Millera Polskie Huty Stali. Hindus zostawił wtedy w pobitym polu potężnego konkurenta – amerykański koncern stalowy US Steel, a Dochnał brylował na salonach. W 2004 roku prasę obiegło jego zdjęcie z brytyjską królową Elżbietą II. Skąd

ten zaszczyt? Firma Dochnała, Larchmont Capital, była sponsorem turnieju polo Royal Windsor Cup. Sam lobbysta jest zapalonym graczem, kilka miesięcy wcześniej jego drużyna wygrała prestiżowy turniej w St. Moritz, a Dochnał był królem życia. Miał piękną żonę, miliony dolarów na koncie, rezydencję w Monte Carlo oraz ranczo w Argentynie, gdzie hodował konie do gry w polo. I nagle to wszystko się wali. ABW aresztuje lobbystę pod zarzutem korupcji przy kolejnych prywatyzacjach (symbolem staje się mercedes przekazany Andrzejowi Pęczakowi, jednemu z baronów SLD), jego imperium rozpada się jak domek z kart. Do drzwi pukają wierzyciele, żona musi wyprzedawać majątek, a kolejni najlepsi adwokaci nie potrafią wyciągnąć go z więzienia. Koniec Dochnała to także koniec kolejnego etapu polskiej prywatyzacji.

(Zamrażarka PiS)

Korupcyjne skandale i niechęć do „wyprzedazy majątku narodowego” sprawiły, że ekipa PiS dała na prywatyzację szlaban. Premier Kazimierz Marcinkiewicz próbował wprowadzić własną politykę →

REKLAMA

TAKA JAK TY

Wszystko o modzie, urodzie i gwiazdach!

Lula.pl



→ prywatyzacyjną, ale po niespełna trzech miesiącach prezes Kaczyński wymusił zmianę ministra skarbu. Zwolnionego Andrzeja Mikosza zastąpił Wojciech Jasiński, minister, który działał według zasady: błędów nie popełnia ten, kto nic nie robi. Za jego kadencji prywatyzacja oscylowała w granicach 20 procent wykonania założeń. W 2006 roku zamiast planowanych 3 miliardów złotych z prywatyzacji wpłynęło 600 milionów. Raport Forum Obywatelskiego Rozwoju z 2007 roku wykazał, że jeśli utrzyma się takie tempo prywatyzacji, to jej dokończenie zajmie Polsce 171 lat. Co więcej, niewykonanie przez rząd PiS planu prywatyzacyjnego równało się konieczności zaciągania pożyczek w wysokości 5 miliardów złotych. I to w czasie najbardziej rozkręconej koniunktury światowej.

Inny raport, opublikowany w ostatnich tygodniach dokument Najwyższej Izby Kontroli, stwierdza wprost, że „sprzedaż akcji w czasie hossy trwającej do połowy 2007 roku gwarantowała wielokrotnie wyższe wpływy, nawet do 25 razy, niż kiedykolwiek później”.

Ten grzech zaniechania szczególnie dotknął firmy, w których Skarb Państwa ma tak zwane resztówki – czyli mniejszościowe pakiety akcji. NIK, badając prywatyzację na przestrzeni lat 2005–2007, doszedł do wniosku, że wśród 11 spółek, które w tym czasie upadły, w przypadku aż siedmiu sprzedaż akcji Skarbu Państwa mogła je uratować.

– W Ministerstwie Skarbu zwolniono większość dyrektorów – zauważa Wiesław Kaczmarek. – Na taką skalę nie robił tego żaden rząd wcześniej, bo są to ludzie zapewniający ciągłość pracy ministerstwa.

(Głowa ministra za stocznie)

Minister skarbu Aleksander Grad powinien wykorzystać zaniedbania poprzedniej eki-

py, by lansować własny plan przyspieszenia. Zwłaszcza żeby przekonać tych, którzy uważają, że kryzys nie jest właściwym czasem na sprzedaż narodowych sreber. Czasami lepiej sprzedać je ciut taniej i dobrze wykorzystać zarobione pieniądze, niż dziury budżetowe łątać za pomocą kredytów, których spłatą obarczy się następne pokolenia. Zgodnie z maksymą ekonomistów, że deficyt budżetowy to najdroższy pieniądz.

– W warunkach recesji, spowolnienia rozwoju gospodarczego, zmniejszenia tempa wzrostu PKB, zwiększenia potrzeb pożyczkowych państwa (w 2009 roku to już 163 miliardy złotych) każdy pieniądz ma podwójną wartość – uważa Grażyna Magdziak, ekspert BCC do spraw przekształceń własnościowych.

Dla profesora Stanisława Gomułki, także ekonomisty BCC i byłego wiceministra finansów w rządzie Donalda Tuska, obecna sytuacja finansowa wymaga nie tylko odblokowania prywatyzacji, ale wręcz jej przyspieszenia: „Od uzyskanej ceny za sprzedaż ważniejsze są przyszłe inwestycje, które może zaproponować inwestor”.

Jeśli ekonomiści stoją po stronie ministra Grada, to skąd nad jego głową tyle burzowych chmur? Dlaczego rząd nie bierze się do realizacji jego planu przyspieszenia prywatyzacji, skoro badania wykazują społeczne poparcie dla tej formy pozyskiwania kapitału? Według sondażu SMG/KRC przeprowadzonego dla TVN24 aż 61 procent Polaków uważa, że prywatyzacja to właściwa droga ratowania budżetu. Tymczasem cztery lata temu niemal połowa Polaków (44 procent) twierdziła (według sondażu CBOS), że prywatyzacja to tylko sposób pomnażania kapitału przez cwaniaków i kombinatorów.

Grad swój plan prywatyzacyjny na cztery lata ogłosił już w kwietniu 2008 roku. Teraz tylko, jak mówi, dokonał korekty, „by dać rządowi alternatywę dla podwyższania podatków”.

Poza łątaniem bieżącej dziury przed ekipą Tuska stoi trudniejsze zadanie – konstrukcja budżetu na rok 2010. Rok wciąż zagrożony kryzysem, a jednocześnie rok wyborów prezydenckich i samorządowych, kiedy decyzja o podniesieniu podatków byłaby wyborczym samobójstwem.

Plan przyspieszenia prywatyzacji nie wywołałby pewnie burzy, gdyby minister nie przerzucił na początek kolejki czegoś, co w założeniach z ubiegłego roku w ogóle do prywatyzacji nie było przeznaczone, czyli KGHM.

– W 36,7 miliarda złotych, które chcielibyśmy pozyskać z przyspieszonej prywatyza-

cji, zaproponowaliśmy zbyć tylko 10 procent akcji KGHM, a to wciąż zapewnia Skarbowi Państwa władztwo korporacyjne w tej spółce – tłumaczy minister. Tłumaczy jednak za późno. Mleko się wylało.

Bo przy okazji awantury wokół planu przyspieszenia prywatyzacji szef PSL nie ominiął wtrącić swoich trzech groszy. Ogłosił, że jeśli prywatyzować, to tylko na zasadzie menedżersko-pracowniczej. Czyli dając prawo wotum wotum pracownikom, jak było to na początku prywatyzacji. Myśl szczytna, mająca na celu zachowanie majątku narodowego w kieszeniach Polaków, ale czy pracowników rzeczywiście na to stać? (W przypadku KGHM średnio na akcje trzeba by wyłożyć 300 tysięcy złotych na osobę.) A nawet jeśli – to czy rozdrobiony kapitał zapewni inwestycje, technologie, know-how, bez których firmy nie mogą się rozwijać i konkurować na rynku?

Włączenie Pawlaka do planu nad planem Grada ma być wyrażeniem jego niezaspokojonych ambicji – przyznaje jeden z członków rządu. Koalicjanci z PO uważają, że szef ludowców uderza w sprawę prywatyzacji w wysokie C, choć tak naprawdę zależy mu nie na pracowniczego prywatyzacji wielkich zakładów energetycznych, chemicznych czy gieldy, a jedynie rynku okolorolniczego: zakładów przetwórstwa rolno-spożywczego, hurtowni, elewatorów zbożowych, stacji unasienniania zwierząt – by w tych firmach prywatyzacja przebiegała z uprzywilejowaniem polskich rolników i menedżerów. To mógłby być wspólny prezent ludowców dla wielkiego elektoratu przed wyborami samorządowymi, które dla tej partii są najważniejsze. Bo na prezydenta czy większość w Sejmie PSL nie ma co liczyć. Ale na obsadzenie wójtów i sołtysów w całej Polsce – jak najbardziej.

Pawlak zapytany, czy o taką właśnie strategię mu chodzi, odpowiada jak zawsze tajemniczo: „Nasza propozycja jest uniwersalna. Prywatyzacja menedżersko-pracownicza może obejmować różne obszary”. Co to oznacza? Że będzie kopanie pod stołem po kostkach koalicjanta, przed kamerami prężenie mięśni, by ostatecznie przewalkować kompromis, bez którego Grad nie może przyspieszyć prywatyzacji. I tu jest pies pogrzebany – w braku jednomyślności na wstępie. Grad, zamiast ujawniać plan, powinien najpierw mieć bezwzględne poparcie premiera i rządu.

Drugi błąd Grada popełniony w ostatnim czasie to stocznie. Sprzedanie ich tajemniczemu inwestorowi to pół biedy. Dobrze, że się znalazł i uwolnił nasze kieszenie od wpompo-



ALEKSANDER GRAD

Minister w rządzie Donalda Tuska
Chce dokończyć zaczęta w 1990 roku prywatyzację, lecz kłopoty ze sprzedażą stoczni i KGHM mogą zablokować proces, a tym samym pozbawić budżet życiodajnego zastrzyku gotówki

NAJWIĘKSZE PRYWATYZACJE 20-LECIA

Spółka	Data sprzedaży	Kraj inwestora	Sprzedane akcje (udziały w %)	Cena (w mln zł)
Telekomunikacja Polska SA	02.12.1998	Oferta publiczna	15	3146,6
	12.10.2000	Francja	35	18 620,0
PKO BP SA	09.11.2004	Oferta publiczna	37,7	7600,8
PEKAO SA	20.06.1998	Oferta publiczna	52	4240,0
	23.06.1999	Włochy – Niemcy	15	916,1
PZU SA	05.11.1999	Holandia – Polska	30	3018,0
Bank Zachodni SA	16.09.1999	Irlandia	80	2200,0
STOEN SA	23.12.2002	Niemcy	85	1500,0
POLMOS Białystok	09.05.2005	Oferta publiczna	32,14	303,7
	12.10.2005	Polska	61	1063,4
Bank Handlowy SA	23.06.1997	Oferta publiczna	19	1309,7
Elektrociepłownie Warszawskie SA	27.01.2000	Szwecja	55	959,5
Zespół Elektrociepłowni w Łodzi SA	11.08.2005	Polska	85	900,02

ŹRÓDŁO: MSP

wywania w nierentowne stocznie miliardów złotych. Rzecz w tym, że tajemniczy inwestor nie wypłacił na czas pieniędzy. Wszystko ponoć przez list Szczecińskiego Stowarzyszenia Obrony Stoczni sugerujący inwestorowi, że transakcja może być nieważna z powodu wad prawnych powstałych w minionych latach przy prywatyzowaniu stoczni. I cóż z tego, że minister Grad zapewnia: nie ma żadnych wad prawnych, co potwierdzają prawomocne wyroki sądu. W świat poszła wiadomość, że coś tu śmierdzi, a za nią jasna dekla-

racja premiera Tuska: jak nie będzie pieniędzy na czas, minister Grad zapłaci za to głową.

A głowa ministra Grada to nie tylko stocznia. Od początku zarządzania resortem skarbu minister realizuje strategiczne założenie ekipy Tuska – szukania inwestorów strategicznych na Bliskim Wschodzie: w Arabii Saudyjskiej, w Kuwejcie, w Katarze, w Emiratach Arabskich. Tylko w ostatnich miesiącach minister w tamtym regionie świata był siedem razy. Nie chodzi tylko o stocznie. Pieniądze szejków mają odegrać główną rolę także w prywatyzacji

LOT-u, energetyki, przemysłu chemicznego (na przykład zakładów azotowych) i sektora finansowego (gieldy).

Pytanie więc, czy granie prywatyzacją i głową ministra skarbu to tylko burza w szklance wody? Czy też rzeczywisty lęk premiera przed odpowiedzialnością za prywatyzację, przy której, jak historia pokazuje, od błędów nie sposób się ustrzec?

Sluchaj też „Wiadomości” w Radio 24

Tiffany's
Catering Events

Nadchodzi nowa jakość cateringu



W celi Perlak nie może mieć komputera ani maszyny do pisania. Dlaczego? Bo jest N i nie wiadomo, jak by z nich skorzystał

WIĘZIENICTWO ANNA SZULC

Skazany na N

Uznany za niebezpiecznego więźnia Radosław Perlak od wielu lat walczy z władzami zakładu karnego o prawo do maszyny do pisania. Bezskutecznie, bo w polskim więzieniu skazany niebezpieczny pozostaje na łasce niejasnych przepisów

Po raz pierwszy głos Perlaka w słuchawce telefonu usłyszałam dwa tygodnie temu. Dowiedziałam się, że jest byłym żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, że dekadę temu, gdy miał 20 lat, skazano go za jedno zabójstwo i trzy usiłowania zabójstwa. Później dowiedziałam się, że z zimną krwią, właściwie bez powodu zastrzelił nastoletniego chłopca, który w lesie zbierał jagody na swój urodzinowy tort.

Perlak powiedział mi, że ma dożywocie, a o zwolnienie może się starać, dopiero gdy będzie miał 55 lat. I że od 10 lat zaliczany jest do kategorii więźniów niebezpiecznych (N)*.

Przejaw bezradności

O więźniach N nie wiedziałam wiele. Że taką kategorię – najgorszą z możliwych, bo oznaczającą, że skazany stanowi poważne zagrożenie dla zakładu karnego – przyznano oprawcom Olewnika Sławomirowi Kościukowi i Robertowi Pazikowi. I że obaj więźniowie N popełnili samobójstwo.

– Nikt nie wie dużo o więźniach N. Oni sami skarżyć się nie będą w obawie, że zostaną N do końca życia – zapewnia mnie doktor Paweł Moczydłowski, były szef polskiego więziennictwa i socjolog. – Poza tym są zazwyczaj pod tak ścisłym nadzorem, że zewnętrzna kontrola tego, w jaki sposób są traktowani, praktycznie nie istnieje. Być może to zła wola służb więziennych, a być może przejaw bezradności. Wobec ludzi, których po zniesieniu kary śmierci nowy system pozostawił przy życiu, ale nie dorobił się odpowiedzi na pytanie, co z nimi, do cholery, robić?

Wiemy, że takich więźniów jak Perlak jest dziś w Polsce nieco ponad 300 (0,3 procent wszystkich). Odróżnić ich można po czerwonym, rzucającym się w oczy drelichu. W takim ubraniu od dekady pojawia się na sali sądowej aresztant Andrzej M., od 10 lat wciąż oskarżony o podwójne zabójstwo. Na sali siada obok dawnych kumpi oskarżonych w tej samej sprawie i o to samo. Oni nie mają drelichów, za to mają zupełnie inne prawa niż M. odsiadujący wyrok bez wyroku w zakładzie w Białolecie.

– W przypadku M. mamy do czynienia z takim małym polskim Guan-tánamo – uważa Piotr Rychłowski, obrońca aresztanta. – Przez pierwszy rok odsiadki nie miał nawet prawa do książki, o mało nie zwariował. Nie mówiąc już o rewizjach do naga przy każdym wyjściu z celi, ograniczonych do minimum paczek i wizytach rodziny, w tym dziecka.

– Zaczęliśmy badać tę sprawę – mówi Maria Ejchart, prawniczka z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – Widać, że w Polsce decyzje o utrzymywaniu statusu N więźniów na komisja penitencjarna podejmuje uznaniowo. W dodatku decyzje te nie są poddane odpowiedniej kontroli przez sądy penitencjarne.

Mecenas Rychłowski jest bardziej dosadny – sądy z automatu zatwierdzają opinię więźniów. O jakiegokolwiek szansie na odwołanie się przed sądem nie ma mowy.

– W przypadku więźniów N istnieje zaskakująca zbieżność stanowisk administracji więziennej i sądów penitencjarnych – mówi doktor Janusz Zagórski z Biura Rzecznika Praw Obywatelskich. – Być może należałoby pomyśleć o tym, by więźniów mógł odwołać się od negatywnej dla niego decyzji sądu jeszcze do wyższej instancji?

Co jeszcze oznacza dla więźnia kategoria N? Zazwyczaj pełną izolację. Bywa, że nawet kilkanaście lat. Izolację niezrozumiałą, o czym w swoich najnowszych badaniach nad więźniami N donoszą kryminolodzy Zbigniew Lasocik i Teodor Bulenda. Stawiając jednocześnie pytanie, czy można być niebezpiecznym przez ponad dekadę?

– Nie sądzę, a nawet jeśli, to powinno to być weryfikowane co dwa-trzy lata, choćby przez rzetelne testy psychologiczne – dodaje profesor Marek Konopczyński, rektor Wyższej Szkoły Pedagogiki Resocjalizacyjnej w Warszawie, autor książek o resocjalizacji więziennej. – Dlaczego nikt takich testów nie robi? Dlaczego tych ludzi nie resocjalizuje się przynajmniej tak jak innych więźniów? Zapewne z poczucia, że to odpady, że należy im się zakamuflowana kara śmierci za życia.

Żyj, ale morda w kuble

Ostatnie testy robiono Perlakowi osiem lat temu. Wychowawcę widzi przez kilka minut tygodniowo, o ile w ogóle go widzi. W tym czasie napisał ponad 200 skarg na sposób, w jaki oskarżuje się go w więzieniu. Niektóre dotarły do Rzecznika Praw Obywatelskich. Część z nich poskutkowało. To dzięki Perlakowi więźniowie N nie

są już dziś nękani głośną muzyką przez prawie całą dobę. Być może także jego skargi sprawiły, że w celach N przez całą dobę nie pali się już światło.

Radosław Perlak zadzwonił do mnie również dlatego, że chciał przekazać mi swoją książkę, w której zawarł projekt zmian w polskim systemie penitencjarnym. Na podstawie swego doświadczenia – więźnia ze statusem N – uważa bowiem, że w Polsce resocjalizacja jest fikcją.

– Wielokrotnie chciałem się zabić – mówi Perlak. – Sprawilibym radość więźniom.

Czy tylko więźniom? Przez chwilę mi tak – przeszło przez myśl, że człowiek, który dopuścił się takiej zbrodni, nie ma prawa do krytyki systemu, skoro ten mimo wszystko pozwolił mu żyć. Orzekający sędzia powiedział jasno, że Perlak ocalił głowę tylko dlatego, że w Polsce zniesiono karę śmierci.

– A jednak pozwoliliśmy mu istnieć – uważa profesor Konopczyński. – My, obywatele i nasze państwo, ukaraliśmy go karą najcięższą z możliwych, zabierając mu wolność najpewniej do końca życia. Czy w związku z tym powinniśmy go karać wielokrotnie?

W ubiegłym tygodniu Perlak znów do mnie zadzwonił. Rękopis jego książki został zarekwirowany. Zgodnie z prawem, bo pracownicy oddziału dla niebezpiecznych przestępców mają pełne prawo do cenzury korespondencji. To była jedyna wersja tekstu, w którym Perlak podał przykłady konkretnych – jego zdaniem – nadużyć ze strony służby więziennej. Z konkretnymi nazwiskami. – Nie miał pan kalki? – spytałam.

Perlak nie ma nie tylko kalki.

Cztery lata temu skazaniec wysłał list do znane go pisarza Andrzeja Stasiuka. Wybrał go, bo Stasiuk też kiedyś siedział w więzieniu. Napisał, że pisze opowiadania i wiersze, że posyła je do wydawców, ale ci w większości je odrzucają, bo dziś nikt nie czyta rękopisów. Napisał też, że od lat nie może się doprosić, by dyrektor więzienia wydał zgodę na posiadanie w celi maszyny lub komputera. Komputera kupiono za pieniądze jego rodziny i ograniczonego wyłącznie do edytora tekstów, ewentualnie do nauki języków, bo Perlak chciałby w więzieniu zdać maturę.

Dyrekcji jest znacznie wygodniej, gdy więźniowie piją czaj, robią sobie tatuaże oraz wspominają dawne i planują przyszłe skoki – oświecił go Stasiuk. – Urzędnicy niczego tak się nie boją jak zmian.

Podobnego zdania jest doktor Moczydłowski, który dziś reformuje więzienia w krajach Unii Europejskiej. – Niestety, w wielu polskich więzieniach wciąż panuje pogląd, że wymarzony skazaniec to skazaniec zakneblowany i zakuty w kajdanki – irytuje się Moczydłowski. – Więźniów, którzy chce się uczyć i rozwijać, to zmore,

bo narusza utarte zwyczaje. Ale jeśli więźnia, który ma spędzić za kratkami całe życie, pozbawimy pozytywnych bodźców, zamienimy go w końcu w bombę z opóźnionym zapłonem.

Kłopot polega również na tym, że takiemu traktowaniu osób ze statusem N sprzyjają niejasne przepisy kodeksu karnego wykonawczego, które nie dają klarownych wytycznych postępowania z tego typu skazańcami. To, że w więzieniach łamane są prawa człowieka, że więźniów N jest odczłowieczany, dostrzegł na łamach „Przeglądu Więziennictwa Polskiego” kryminolog, doktor Teodor Bulenda. Na podstawie własnych badań, jak też skarg osadzonych wyliczył nadużycia służby więziennej wobec niebezpiecznych skazańców – nie tylko izolację, ale też poniżanie, a nawet utrudnianie dostępu do świeżego powietrza.

Profesor Zbigniew Lasocik zbadał los 10 więźniów najdłużej odsiadujących wyroki ze statusem N. Rozmawiał między innymi z polskim Romem Robertem Kwiekiem będącym N od 15 lat!

– Brak powietrza i świecące się w nocy światła to nic w porównaniu z największą torturą, jaką jest dla tych ludzi brak kontaktów z innymi ludźmi – mówi profesor. – Wielu z nich zatraciło wręcz umiejętność normalnego posługiwania się językiem. Po prostu nie potrafią już mówić...

Profesor podkreśla, że w sprawie fatalnego traktowania polskich N już dwukrotnie interweniował u naszych władz Europejski Komitet do spraw Zapobiegania Torturom.

Formalnie groźny

Dyrektor poznańskiego aresztu, major Jacek Wiśniewski, w sprawie Perlaka nie ma sobie nic do zarzucenia. Choć nie potrafi podać jakiegokolwiek ekscesu, w którym on brałby udział, jest pewny, że ten akurat więzień powinien mieć nadal status niebezpiecznego. Perlak jest groźny... bo jest groźny. Komisja penitencjarna co trzy miesiące odnawia jego status na podstawie charakteru zbrodni, jakiej dokonał, a nie jego obecnego zachowania w izolacji. W związku z tym prawa do posiadania komputera mieć nie mo-

• Kodeks karny wykonawczy mówi, że **status N może zostać przyznany skazanemu**, którego właściwości, warunki osobiste, motywacje, sposób zachowania przy popełnieniu przestępstwa, sposób zachowania w kryminalu lub stopień demoralizacji stwarzają duże zagrożenie społeczne. W Polsce status N może – przy braku czytelnich kryteriów – cofnąć jedynie komisja penitencjarna

że. Dyrektor bowiem może nie wyrazić zgody na cokolwiek, jeśli w jego ocenie to „cokolwiek” narusza zasady bezpieczeństwa w areszcie. W jaki

sposób narusza je komputer? Obawy Wiśniewskiego wzbudzają możliwości nowych technologii, których, jak twierdzi, do końca nie znamy.

– Znamy doskonale – zapewnia doktor Piotr Ziobrowski, poznański biegły sądowy od informatyki.

Sprawę skazańca Perlaka Ziobrowski też zna doskonale. Na jego prośbę zadzwonił nawet do aresztu, by przekonać kierownictwo, że dzięki kilku prostym blokadom mógłby w celi zainstalować ska-

zańcowi absolutnie bezpieczny dla niego i dla jego otoczenia komputer. Bez skutku.

– Przepisy dotyczące więźniów N nie są doskonałe. Warto jednak pamiętać, że istnieje ogromne parcie ze strony polityków i części mediów, by tę kategorię rozszerzać, na przykład o potencjalnych samobójców – twierdzi Mikołaj Bańkowski z Centralnego Zarządu Służby Więziennej.

Na konkretne pytanie, dlaczego Perlakowi przez 10 lat bez przerwy utrzymuje się status N, choć ten zachowuje się spokojnie, Bańkowski odpowiada, że więźniowi można przedłużać kategorię „niebezpieczny” nawet z powodów... profilaktycznych.

Podobnie jak „profilaktyczna” jest cenzura, która może książkę Perlaka nie wypuścić z więzienia. Zapewne nie dowiemy się więc, jakie zmiany w systemie penitencjarnym proponuje Polska niebezpieczny więzień z dożywociem. A czy dowiemy się kiedykolwiek, jak naprawdę żyje się dziś w Polsce 300 więźniom najgorszej kategorii? □



Zwłoki chłopca zastrzelonego przez Perlaka odnaleziono w lesie koło Częstochowy

TOK

Pierwsze Radio Informacyjne

W czwartek 13 sierpnia po godzinie 16.45

o sytuacji więźniów niebezpiecznych

śluchaj w audycji „Popołudnie Radia TOK FM”

Zaprasza Grzegorz Chłosta



Japońska miłość
w czasach popkultury:
coraz bardziej
plastikowa, coraz
smutniejsza i coraz mniej
ludzka

JAPONIA: DUŻO SEKSU, MAŁO SENSU

OBYCZAJE MACIEJ JARKOWIEC

JAPONCZYCY, ZACZNIJCIE SIĘ WRESZCIE PIEPRZYĆ! TAKIM HASŁEM TYGODNIK „AERA” próbował przed kilku laty przywołać rodaków do porządku. Nie posłuchali. W ostatnim dorocznym raporcie producenta prezerwatyw, firmy Durex, Japonia po raz kolejny okazuje się państwem, gdzie seks uprawia się najrzadziej. Tylko 34 procent badanych kocha się tam co najmniej raz w tygodniu (w Grecji – 87 procent, w Polsce – 62). Nawet ci nieliczni Japończycy, którym raz na ruski rok zdarzy się z kimś przespać, nie mają z tego wielkiej uciechy. Spośród 26 krajów przebadanych przez Dureksa Japonia wypada najgorzej pod względem ogólnej pewności siebie w sprawach seksu, wiedzy na temat udanego pożytku i radzenia sobie z problemami w łóżku (najlepsi we wszystkich zestawieniach są Brazylijczycy; Polska – w drugiej połowie stawki).

Apele kolorowych magazynów są uzasadnione, a publikacje Dureksa śmiertelnie niepokojące, bo bez seksu Japonia zaczyna najwyraźniej wymierać. Dziś w kraju tym żyje 128 milionów osób. Ale już pięć lat z rzędu przyrost naturalny jest ujemny (w 2008 roku – 0,2 promila). Jeśli trend nie zostanie zatrzymany, czyli więcej ludzi będzie umierać, niż przychodzić na świat, a rząd nie zacznie masowo importować obywateli, wspierając imigrację – z końcem wieku populacja Japonii zmniejszy się o połowę. Dużo wcześniej państwu trudno będzie obrotować się przed katastrofą finansową, bo nie będzie komu zarabiać na miliony starców. Dziś na świadczenia jednego emeryta pracuje czterech Japończyków w wieku produkcyjnym. Za 40 lat stosunek utrzymujących do utrzymywanych może wynosić już tylko 2:1.

Starzejące się społeczeństwo i niedopięty budżet to jednak bolączki wielu krajów (również Polski). Specyfika Japonii polega na tym, że równocześnie zaczyna tam kielkować problem, który w przyszłości może okazać się o wiele poważniejszy. To, że Japończycy nie uprawiają seksu, nie oznacza bowiem, że go nie lubią. Wręcz przeciwnie – lubią, i to bardzo. Tyle że miłość po japońsku staje się coraz mniej realna. Japonia to pierwsze państwo świata, gdzie wirtualny kontakt z rzeczywistością – również w sferze miłości i seksu – staje się akceptowalnym społecznie stylem życia milionów obywateli.

Poszewka – moja miłość

Toru Taima sypia co noc z co najmniej trzema dziewczętami. Dwie po bokach, jedna na górze. Dziewczęta są bardzo młode, na oko nie więcej niż 12 lat, może nawet mniej. „Uprawiasz z nimi seks?” – pyta Taimę dziennikarka „The New York Timesa”. „Tak – odpowiada. – Są takie kochaniusie! Nie wytrzymam!”. 30-letni Taima ma w domu 150 nieletnich dziewcząt do wyboru. Zaznając z nimi nocnych rozkoszy, nie łamie prawa, bo żadna z nich nie jest prawdziwa. Wszystkie są rzeczywistych rozmiarów obrazkami nadrukowanymi na poduszkowej poszewce.

Casanowów (pedofilów?) takich jak Taima są w Japonii tysiące. To tak zwani *moe* – głównie mężczyźni, którzy obdarowują uczuciem małeletnie bohaterki japońskiej popkultury: postaci z filmów animowanych (anime), komiksów (manga) i gier komputerowych. Obiektem miłości może być lalka, ale w ostatnim czasie najpopularniejsze są żony i kochanki dwuwymiarowe – najlepiej właśnie w postaci obrazka na podłużnej poduszce. Niektórzy *moe* – jak bohater reportażu „The New York Timesa” – mają poszewek dziesiątki, często je zmie-

JAPONIA BIJE
NA ALARM:
MAMY SPOŁECZNĄ
KATASTROFĘ,
PORNO ZASTĄPIŁO
MIŁOŚĆ,
A PRZYROST
NATURALNY JEST
ZAGROŻONY

Japońska obsesja
na punkcie bohaterek
mangi i anime może
mieć wymiar religijny
i patriotyczny, twierdzą
niektórzy. Poduszka z lolitką
(na zdjęciu) pod głową
zamiast Matki Boskiej
w klapie?

niają i uprawiają z nimi fizyczną miłość. Inni są wierni jednej dziewczynie (ewentualnie w kilku egzemplarzach, żeby można było zmienić poszewkę, kiedy się wybrudzi, lub czasem ubrać partnerkę inaczej), a od łóżkowych igraszek wolą wspólne wycieczki za miasto, romantyczne kolacje przy świecach albo popołudnia na karuzeli. Prawie wszyscy – wielu z nich po czterdziestce – za nic w świecie nie zamieniliby swoich poszewek na prawdziwe, dorosłe kobiety. Nie chcą żon i dzieci. Oni już znaleźli miłość.

Moe to radykalna odmiana *otaku*, czyli japońskiej formy uwielbienia produktów popkultury – anime, mangi, gier wideo, filmów i powieści SF. *Otaku* znaczy w zasadzie „fan”, „hobbysta”, ale japońskich fanów wyróżnia to, że stanowią największą – liczoną w milionach – subkulturę w swoim kraju, a hobby, którym się obsesyjnie zajmują – najważniejszą składową ich tożsamości – decyduje o codziennym życiu nie tylko młodych, ale też całej rzeszy 30- i 40-latków.

Żeby zrozumieć ten fenomen, najlepiej wybrać się do tokijskiej dzielnicy Akihabara, która w ciągu kilku lat z nieciekawego dystryktu handlu elektroniką przetransformowała się w mekkę *otaku*. To największy i najdziwniejszy na świecie park rozrywki, sklep z zabawkami i gadżeciarnia w jednym. Sądząc po ofercie tysięcy miejscowych biznesów – lalki i laleczki, obrazki i obrazeczki, bajki i bajeczki (pod postacią filmów, książek →





→ i komiksów), gadżetki we wszystkich formach i kolorach, a do tego kafejki i kafejeczki z kelnerkami przypominającymi bohaterki kreskówek – można pomyśleć, że to raj dla dzieciaków. Ale przeciętny klient Akihabary ma około trzydziestki, a łysiejących 40-latków spotkać można w każdym sklepiu. Ci panowie na kolorowe książeczki i poduszeczki z dziewczynkami puszczają tu całe swoje pensje. Według cytowanego przez agencję The Associated Press ekonomisty Takuro Morinagi cały japoński rynek *otaku* generuje około 30 miliardów dolarów rocznie.

Szafa – mój dom

Moe – czyli miłość w 2D – wprowadza do *otaku* ideologię i próbuje usankcjonować styl życia zbudowany na emocjach skierowanych nie do ludzi, ale do obrazków jako – paradoksalnie – jedyny prawdziwy. Jak w swoich książkach przekonuje guru *moe* Toru Honda, miłość w realu została „skapitalizowana” – steruje nią konwenans kształtowany przez rynek, marketing, modę. Tylko uczucie do fikcyjnej postaci może być czyste i prawdziwe.

Wycyfrowanie się z realnej rzeczywistości dotyczy coraz większej części społeczeństwa. Japończycy kochają się w lalkach i poduszkach, prowadzą drugie (pierwsze?) życie w komputerowych „grach powieściach” (gracz wciela się w bohatera romantycznych, często pornograficznych, a z zachodniego punktu widzenia pedofilskich przygód), miesiącami, a często latami nie wychodzą z jednego pokoju lub nawet z szafy (szacuje się, że w kraju jest

około miliona tak zwanych *hikikomori* – młodych ludzi zamkniętych dobrowolnie w swoich sypialniach, żyjących w grach komputerowych i Internecie).

Postępujący rozkład realnych kontaktów między ludźmi widać najdosadniej w relacjach damsko-męskich. Połowa dorosłych Japończyków przyznaje, że nie ma znajomych płci przeciwnej. Co dziesiąty Japończyk po czterdziestce i co czwarty po trzydziestce nie stracił jeszcze dziewictwa. Dramatycznie spada liczba zawieranych małżeństw, a rośnie liczba rozwodów. Bez żony pozostaje trzy czwarte Japończyków w wieku 25–29 lat, a niezamężnych Japońców w tym wieku jest prawie 60 procent.

Profesor Masahiro Yamada, socjolog z Uniwersytetu Chuo w Tokio, szacuje, że w kraju jest około 10 milionów – jak to nazywa – „singli pasożytów”, czyli dorosłych ludzi około trzydziestki mieszkających z rodzicami. Część



Pedofilia jest w Japonii nielegalna, ale nie ma zakazu posiadania dziecięcej pornografii

Nastoletnia służąca obsługuje klienta w kawiarni dla otaku. Niestety, nie można zabrać jej do domu, ale...



...nie straconego. Po drugiej stronie ulicy jest sklep z takim towarem

Typowy *otaku* w swoim pokoju: wszystko, co kocha i czego pragnie, ma w zasięgu wzroku i ręki

z nich znajdzie w końcu partnerów (choćby odpłatnie, z pomocą licznych firm specjalizujących się w swataniu) i założy rodzinę, ale coraz większy procent dorosłych ludzi życie na garnuszku rodziców, przepuszczanie własnej pensji na wirtualne uciechy i brak zainteresowania płcią przeciwną uważa za naturalny stan rzeczy.

Wiele małżeństw też jest dalekie od intymnych kontaktów. Dorota Barańska z Katedry Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego opowiada „Przekrojowi”: – W japońskim społeczeństwie nadal zdecydowanie dominuje model, w którym mężczyzna ma być silnym opiekunem, a kobieta zaradną matką i gospodynią. To się nie zmieniło od XII wieku, kiedy córki straciły prawo dziedziczenia ziemi. Potem, w epoce samurajskiej, utrwalił się etos mężczyzny, który nie tylko jest silny i opiekuńczy, ale potrafi te cechy demonstrować.

W dzisiejszym społeczeństwie sprawdza się to do słynnego japońskiego praochizmu. Dla mężczyzn skutecznie przygotowanych przez system edukacji do pełnienia roli korporacyjnych trybów praca jest najważniejsza, bo to ona zapewnia środki na opiekę nad rodziną. To ona daje siłę. – Ważne jest nie tylko – ciągnie Barańska – żeby być dobrym pracownikiem, ale też żeby w pracy jak najwięcej się pokazywać, spędzać czas z kolegami po godzinach, bo w ten sposób demonstruje się zaangażowanie, czyli – w japońskim ujęciu – męskość.

Porno – moja żona

Na seks z żoną czasu nie staje, co nie oznacza, że Japończycy nie mają cielesnych potrzeb. Ale o te lepiej od małżonki zadba największy na świecie, wart więcej niż budżet obronny przemysł pornograficzny. Z żoną trzeba porozmawiać, wysłuchać jej skarg, przytulić. Wizyta w klubie go-go, DVD z dobrą porno-anime albo wynajęcie pokoju w jednym z popularnych hoteli miłości załatwia kwestię biologicznych potrzeb bez zbędnego wydatkowania oszczędzanej na pracę energii. Japońska



Dzielnica Akihabara nie obsługuje dzieciaków, tylko poważnych, dorosłych panów. Na zdjęciu: Oferta poszewek z lolitkami w jednym ze sklepów

pornografia – historycznie akceptowana i rozwijana już przed wiekami w epoce Edo (rządy szogunów w latach 1603–1868) – w bogactwie swej oferty i dostosowaniu się do każdej, najbardziej nawet niewyobrażalnej potrzeby nie ma sobie równych. Hermetycznie zapakowane cudze majtki z zapachem i śladami tygodniowego noszenia wcale nie należą do najbardziej wyuzdanych gadżetów z sex-shopowej półki.

Japonki też mają swoje potrzeby i część z nich nie czeka, aż mąż raz na kilka tygodni raczy je zadowolić. „Kliniki” organizujące paniom schadzki z obcymi mężczyznami w hotelach miłości obsługują setki klientek. Prostytucja jest w Japonii nielegalna, ale świadczący usługi panowie formalnie się nie prostytuują, bo pokry-

wają część randkowych kosztów. Przyczyną poszerzającej się międzypłciowej przepaści i postępującej wirtualizacji społecznych zachowań są różnorakie. Niektórzy badacze – jak Azuma Hiroki, jeden z najbardziej wpływowych eseistów i filozofów młodego pokolenia (rocznik 1971) – w fenomenie *otaku* widzą zmaganie się powojennej Japonii z trudnymi kwestiami winy i narodowej tożsamości. Zacerpnięta z kultury amerykańskiego okupanta fascynacja animacją, komiksem, fantastyką – wyklada Hiroki – została przerobiona na sposób



Pracowici i sterylni. Przygotowanie do korporacyjnej kariery zaczyna się na etapie przedszkola

Powyżej: Przerwa obiadowa w korporacji, Tokio. A po pracy... patrz zdjęcie obok

japoński, a jej obsesyjność i skrajna wyrazistość mają być czymś w rodzaju nowego japońskiego nacjonalizmu.

Ale większość socjologów proponuje prostsze wyjaśnienia. Wskazują palcem na bezduszne szkolnictwo produkujące kolejne pokolenia ludzi robotów i naturalny dla Japończyków konserwyzm, przez który model rodziny pozostaje niezmieniony od stuleci. Większość japońskich kobiet nie chce się emancypować. Chcą znaleźć dobrego męża, który zapewni im opiekę. A o takiego coraz trudniej, bo w obawie, że nie podołają zadaniu, Japończycy na partnerki coraz częściej biorą namalowane na poduszkach lolitki. Te łatwo zadowolić, bo ich potrzeby istnieją tylko w wyobraźni niedoszłych samurajów. □

REKLAMA

KULTOWA KOLEKCJA SZKOLNYCH NAKLEJEK Z RYSUNKAMI MARKA RACZKOWSKIEGO



W SPRZEDAŻY OD 27 SIERPNIA – TYLKO Z „PRZEKROJEM”

Tygodnika „Przekrój” z naklejkami autorstwa Marka Raczkowskiego szukaj w najlepszych punktach sprzedaży na terenie całej Polski.

PRZEKROJ

najlepszy w środku

www.przekroj.pl

KRYZYS TEKST ŁUKASZ WÓJCIK
RYSUNKI MAREK RACZKOWSKI

Świat na bani

Światowa gospodarka przypomina dziś operę mydlaną – co rusz pękają nam jakieś bańki. Ale to tylko zapowiedź wielkiego finału – pęknięcia superbani długu publicznego. Oto 12 kroków prowadzących do katastrofy, której skutki odczujemy wszyscy

KROK PIERWSZY

– **polityka uszczęśliwia** – politycy na całym świecie w końcu poczuli się potrzebni – ratują nas przed kryzysem gospodarczym, który sami wywołali. Gdy George W. Bush w 2001 roku został prezydentem USA, od razu spełnił obietnicę wyborczą i obniżył Amerykanom podatki. Ale kilka miesięcy później nastąpiły ataki 11 września, a potem dwie wojny w Afganistanie i w Iraku – wydatki państwa poszybowały. Żeby załatać dziurę budżetową, potrzebny był szybki wzrost gospodarczy. Z pomocą Białemu Domowi przyszedł przychylny Republikański bank centralny, który radykalnie obniżył oprocentowanie kredytów. Efektem tej decyzji była fatalna „kariera” kredytów mieszkaniowych „subprime”.

KROK DRUGI

– **kredyty mieszkaniowe „subprime”** – były jedynym kredytem w historii USA rozdawanym bezrobotnym. W normalnych warunkach przed udzieleniem kredytu banki zastanawiają, czy kredytobiorca będzie w stanie spłacić pożyczkę albo czy wartość jej zabezpieczenia zapewni bankowi zwrot kosztów. No, chyba że bank centralny (FED) za wszelką cenę chce pobudzić gospodarkę i, jak to było w latach 2001–2005, 12 razy obniża stopy procentowe, czyli koszt (oprocentowanie) kredytów. W takich warunkach banki były w stanie wcisnąć kredyt każdemu, byleby podpisał papierkę (co zwiększa aktywa banku, czyli jego wartość). Ten „każdy” też go chętnie podpisywał, bo wiedział, że ceny mieszkań rosną, więc nawet jeśli nie będzie w stanie spłacić kredytu, to sprzeda dom i jeszcze zarobi. Tak rząd i społeczeństwo wspólnym wysiłkiem dmuchały bańkę.



KROK TRZECI

– **bańka pęka** – (nie mylić z banią) – ich powstawanie to ostatnio jeden z najpopularniejszych trendów w gospodarce. Mielimy już bańkę internetową. Teraz przeżywamy skutki bańki na rynku kredytów mieszkaniowych. Mechanizm jest zawsze ten sam – ktoś (najczęściej politycy swoimi decyzjami) tworzy sztuczny popyt na produkty, które w innym wypadku nigdy nie zaistniałyby na rynku (kredyt mieszkaniowy „subprime”). Sztuczny popyt sprawia, że w te produkty inwestują gracze giełdowi, co jeszcze podnosi ich wartość. Dzieje się tak aż do momentu, gdy wszyscy zdadzą sobie sprawę, że ich ceny mają się nijak do rzeczywistej wartości rynkowej (kształtowanej przez popyt i podaż). Ten moment nadszedł latem ubiegłego roku – bańka kredytów mieszkaniowych pękła i pozostawiła toksyczne aktywa.

KROK CZWARTY

– **toksyczne aktywa** – po pęknięciu bańki okazało się, że banki udzielające kredytów „subprime” nie były takie bezmyślne, jak się mogło wydawać, i wykupiły ubezpieczenia na wypadek niewypłacalności kredytobiorców. Towarzystwa ubezpieczeniowe, zmiękczone cenami mieszkań na lewo i prawo ubezpieczenia te sprzedawały. Gdy okazało się, że większość kredytów „subprime” przestała być spłacana, banki wystąpiły o odszkodowania do ubezpieczycieli. Ci oczywiście nie byli w stanie jednocześnie zrealizować tysięcy toksycznych umów ubezpieczeniowych. I ogłosiliby bankructwo. Gdyby nie bailout.



KROK PIĄTY

– **bailout** – czyli zrzutka wszystkich podatników na pokrycie kosztów błędnych decyzji rekinów finansjery. Usprawiedliwiona najczęściej „koniecznością utrzymania płynności na rynkach finansowych” lub „uratowaniem tysięcy (nierentownych) miejsc pracy”, lub... (tu każdy polityk może wpisać dowolne uzasadnienie, „no bo przecież jest kryzys”). Mimo że bailout przeprowadzany jest z mniej lub bardziej realnych pobudek, to niesie za sobą realne koszty, które oczywiście powiększają deficyt budżetowy.

KROK ÓSMY

– **dług publiczny** – przymiotnik „publiczny” może sugerować, że jest to jakiś specjalny rodzaj długu, ale określa on tylko instytucję zadłużoną, czyli państwo. Jego wartość podaje się w stosunku do rocznego PKB dłużnika. I tak na przykład polski dług publiczny wynosi obecnie około 55 procent polskiego PKB. Międzynarodowy Fundusz Walutowy alarmuje, że ten dług w przypadku 10 najbardziej rozwiniętych gospodarek świata średnio przekroczył już sto procent ich PKB. Za pięć lat ma to już być 114 procent PKB najbogatszych. Jest się czym przejmować? Do kluczowego momentu dochodzi, gdy obsługa (koszt, czyli oprocentowanie wszystkich nasyconych pożyczek) skumulowanego

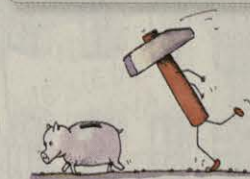
długu publicznego przekracza dochody państwa. Wtedy musi ono zaciągnąć nowy kredyt już nie na spłatę, ale na obsługę tego starego. A to już początek korkociągu, który w przypadku normalnego dłużnika kończy się bankructwem. Problem z państwem polega na tym, że ono nie może tak po prostu zbankrutować. Bank centralny może zawsze dodrukować pieniądze i spłacić nim długi, a w ostateczności ogłosić niewypłacalność, czyli wypiąć się na zagraniczne instytucje, które udzieliły mu pożyczki. Przecież nie wypowiedzą mu wojny. Tylko że po takim geście wierzyciele nie pożyczą już temu państwu więcej pieniędzy, co oznacza dalsze staczanie się w przepaść.

KROK SZÓSTY

– **rynk finansowe** – to one ostatecznie utwierdzają rządy, że przeprowadzając bailout, podjęły właściwą decyzję. Według kryzysowej nowomowy są one najważniejszą częścią gospodarki. W rzeczywistości nic takiego jak „rynk finansowe” nie istnieje. Sformułowania w stylu „według rynków finansowych...” albo „rynk finansowe zareagowały na...” są tylko wirtualną maczugą, którą okłada się każdego, kto podważa potrzebę ratowania z kryzysu potężnych grup inwestycyjnych. Rynek ma to do siebie, że handluje się na nim realnym towarem. Na „rynkach finansowych” handluje się pieniądzem, który sam w sobie nie ma wartości. Jest tylko jej nośnikiem.

KROK SIÓDMY

– **deficyt budżetowy** – w pełni już akceptowany, a nawet pożądanym elementem finansów niemal każdego państwa na świecie. Powstaje, gdy roczny poziom wydatków państwa przekracza poziom jego przychodów. Dziś już w wielu krajach rozdęty do granic możliwości za pomocą bailoutów („No bo mamy kryzys”). Unia Europejska za bezpieczny uważa deficyt, którego wartość nie przekracza trzech procent produktu krajowego brutto (PKB) danego kraju. Trudno dziś w Unii znaleźć kraj, który spełniałby ten warunek. Zwolennicy rozbudowanego deficytu tłumaczą, że wysokie wydatki napędzają popyt, co zapewnia firmom obroty, a ludziom miejsca pracy. Ale sam rząd nie tworzy wartości. On tylko transferuje ją według swojego uznania. Aby budżetowymi pieniędzmi nakręcić obroty jednej firmie, musi najpierw te pieniądze zabrać w innej formie podatków. Chyba że je pożyczą. Tak co roku robi większość państw, które w ten sposób powiększają swój dług publiczny.



KROK DZIEWIĄTY

– **wierzyciele jeszcze wierzą** – trzeba ich chronić, bo to gatunek na wymarcie. Tylko dzięki ich nadwyżkom reszta świata wciąż żyje na kredyt. Takie państwa, jak Japonia, Arabia Saudyjska i przede wszystkim Chiny, finansują deficyty najbogatszych państw świata, kupując ich obligacje. Najsłynniejsza taka symbioza istnieje między Chinami a USA. W amerykańskim budżecie co roku jest dziura, którą trzeba załatać, emitując rządowe obligacje. Waszyngton musi to robić za granicą, bo Amerykanie, zachęceni do konsumpcji ponad stan, praktycznie nie

mają już oszczędności. Obligacje te kupuje chiński rząd za dolary zarobione ze sprzedaży swoich produktów w USA. Pekin wciąż jeszcze nie chce wydawać ich w siebie, bo musiałby wymienić je na juany. To skończyłoby się skokiem wartości chińskiej waluty, co z kolei zlikwidowałoby atrakcyjność chińskiego eksportu – czyli spadek produkcji, niższy wzrost gospodarczy i niezadowolone społeczeństwo. A tego Pekin chce uniknąć. Dlatego wciąż poświęca materialny dobrobyt swoich obywateli na rzecz wygodniejszego życia Amerykanów.

KROK DZIESIĄTY

— poświęcenie — jak długo jeszcze Chińczycy będą w stanie znieść jego trudy? Zwłaszcza że Barack Obama zupełnie ich nie docenia. Ogłaszając swój 800-miliardowy pakiet stymulacyjny, amerykański prezydent zapowiedział Amerykanom, że będą musieli się poświęcić i wiele lat żyć z wywołanym w ten sposób deficytem. Ale ten amerykański deficyt sfinansują chińskie rodziny. Bo dochód z wyprodukowanych przez nie produktów, które trafiały do USA, pójdzie w całości na zakup nowych amerykańskich obligacji. Chyba że Pekin zmieni zdanie i walutę, w której trzyma 40 procent swoich rezerw. W marcu o takiej ewentualności wspominał chiński premier*. Mogłoby się to skończyć potężnymi niepokojami w Chinach, ale dla Amerykanów oznaczałoby to prawdopodobnie największy krach w historii.



KROK JEDENASTY

— świat na bani — chińsko-amerykańska symbioza to tylko jeden z wielu współczesnych przykładów takiej zależności. Teoretycznie są one w interesie obu stron. Ale czy są nierozważalne? Rosnące ceny mieszkań w USA też były w interesie obu stron: banki udzielały kolejnych kredytów, a ich klientów stać było na kredyty, których normalnie by nie dostali. Mechanizm w przypadku rosnącego długu publicznego jest niebezpiecznie podobny. Przez lata wzrost wartości gospodarek rozwiniętego świata był sztucznie napędzany zadłużeniem — zagranicznymi pieniędzmi uzyskiwanymi ze sprzedaży obligacji. Gospodarki te przez lata były sty-

mulowane przez wysokie (wyższe od przychodów) wydatki budżetowe, napędzające popyt na towary i usługi, które w przeciwnym wypadku nie utrzymałyby się na rynku. Wciąż się zapożyczając, pompujemy nie kolejną bankę, tylko prawdziwą banie, którą stała się gospodarka rozwiniętego świata. Jej obecna wycena ma niewiele wspólnego z jej wartością rynkową. Taką poznałibyśmy, gdyby kraje rozwinięte zwróciły wszystkie swoje długi. Ale na taki ruch z ich strony nie ma co liczyć. Pesymiści przewidują, że w 2040 roku dług publiczny USA znacznie przekroczy dwuletni PKB tego kraju. Chyba że wcześniej bania pęknie.

KROK DWUNASTY

— pompujemy dalej — a bania w końcu pęknie. Wcześniej czy później w państwach, kredytujących rozwinięte gospodarki, przeważa opinia, że obligacje tych gospodarek są już niewiele warte, bo państwa je sprzedające nie będą miały za co ich wykupić. Obecny kryzys był doskonałą okazją, by upuścić nieco powietrza z globalnej bani, czyli po prostu pozwolić upaść najbardziej nierentownym firmom. Ale rządy posłuchały „rynków finansowych” i postanowiły uciec do przodu — przygotowały idące w setki miliardów dolarów programy stymulujące. Żeby je sfinansować, nadal się zapożyczają. I dalej pompują banie.

Takie słowa to silna groźba

— w 1956 roku Wielka Brytania i Francja napadły na Egipt. Do inwazji doszło, bo egipski prezydent Gamal Abdel Naser znacjonalizował Kanał Sueski, w którym miały udziały francuskie i brytyjskie firmy. Stany Zjednoczone natychmiast zażądały od Londynu i Paryża wycofania wojsk — kryzys nad Nilem groził wybuchem III wojny światowej, bo po stronie Nasera opowiedział się Związek Radziecki. Gdy amerykańskie noty dyplomatyczne nie dały rezultatu, Waszyngton zagroził, że natychmiast pozbędzie się wszystkich posiadanych przez siebie funtów. Ponieważ Amerykanie mieli wówczas największe na świecie rezerwy funta, taki ruch oznaczałby gwałtowny spadek wartości brytyjskiej waluty i pewny kryzys gospodarczy na Wyspach. Brytyjczycy wycofali się z Egiptu w ciągu tygodnia.

Trzynastego kroku nie znamy. Pęknięcie banki kredytów mieszkaniowych dość przypadkowo przewidziało kilku finansistów. Teraz media dopisują im przed nazwiskiem słowo „prorok”. Świadomość pęczniejącej bani długu publicznego jest bardziej powszechna, ale wyznaczenie godziny zero jest o tyle trudniejsze, o ile globalny rynek jest bardziej skomplikowany od amerykańskiego rynku kredytów mieszkaniowych. Ponieważ jednak godzina zero raczej nie nastąpi w najbliższych latach, politycy cynicznie udają, że nie ma problemu. Jak już pęknie, to najmniej ucierpią ci, którzy nic nie mają. Więc wtedy rzućcie wszystko i uciekajcie na wzgórze. Tam przynajmniej potop was nie dosięgnie.

KRYZYS

Marek Raczkowski

Rysunki



Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego w Warszawie
30.06. – 13.09.2009 r.

Muzeum czynne dla publiczności:
wtorek – niedziela 11 – 18
czwartek 11 – 20
w soboty wstęp wolny

Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego
ul. Kozia 11, 00-070 Warszawa
tel./faks: (22) 827 88 95
www.muzeumkarykatury.pl
muzeumkarykatury@poczta.wp.pl



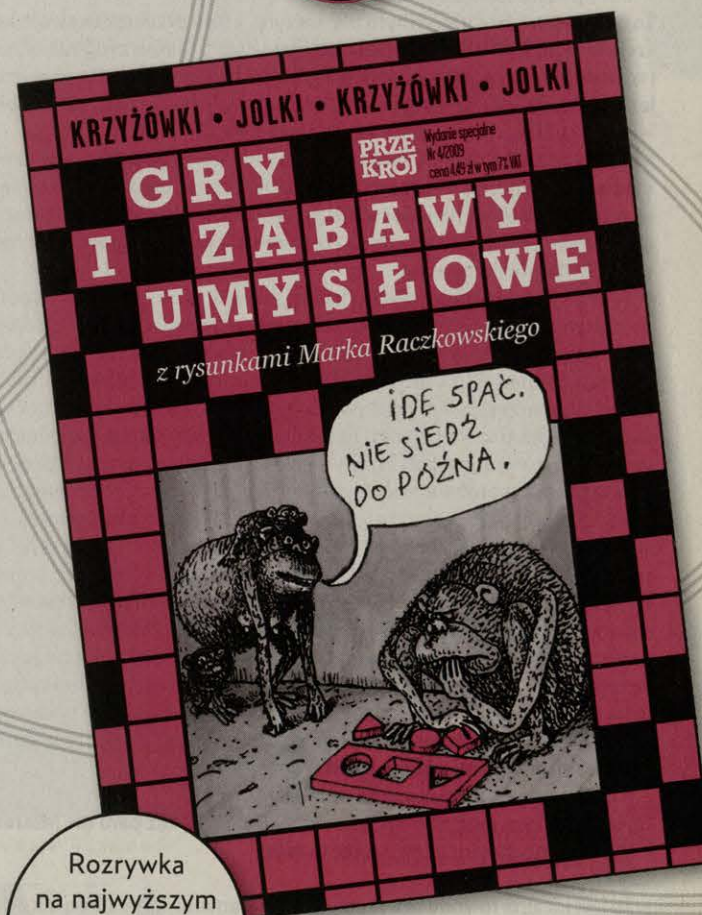
PRZEKROJ

Wydanie specjalne **PRZEKROJ**

GRY I ZABAWY UMYSŁOWE

18 KRZYŻÓWEK

18 JOLEK



Rozrywka
na najwyższym
poziomie
na długie letnie
wieczory

Wydania specjalnego „GRY I ZABAWY UMYSŁOWE”
szukaj w punktach sprzedaży na terenie całej Polski.

www.przekroj.pl



Co pani strzeliło do głowy?

– O co pan pyta?

Strzeliło i została pani dyrektorem Jedyńki TVP.

– Ale to jest świetna rzecz!

W normalnych czasach tak, ale w sytuacji, kiedy są dwa zarządy, półżywa rada nadzorcza i fruwające ustawy, które i tak nie przesadzają, czym ma być telewizja publiczna?

– Pracuję w telewizji publicznej 17 lat, robiłam programy, bywałam gwiazdą, bywałam na trzecim planie... Pomyślałam sobie, że mogę zostać dyrektorem anteny, którą ogląda najwięcej ludzi w Polsce, mieć wpływ na kształt programu: A gdyby pan dostał taką propozycję, toby pan ją odrzucił?

Oczywiście.

– Może pan nie ma kwalifikacji do tego stanowiska?

To na pewno. Choć nie byłbym pierwszym, który przekracza swoje kompetencje. :) Raczej dlatego, że TVP jest w fazie „zwijania się”. Tempo zwijania określi prezes Farfał i to będzie chaotyczne zwijanie programowo-biznesowe. Bo pani przełożony chyba nie jest osobą, która ma wizję prawdziwej telewizji publicznej, oprócz biznesowej, więc...

– Prezes spółki odpowiada za wyniki finansowe.

Między innymi. Z drugiej strony politycy nie mogą ustalić, po co nam – nie im – są media publiczne. To wszystko pozwala mi nazwać panią „rzeźbiarką w lodzie”. Dziwi mnie, że osoba z pani doświadczeniem, sprawdzająca się w samodzielnych realizacjach telewizyjnych, które nie są rzeźbami z lodu, postanowiła jednak wyrzeźbić coś, co za chwilę się rozpułnie.

– Tak nie jest. Jak tutaj przychodziłam, mówiono mi: jesienna ramówka już gotowa, nie do ruszenia. A okazuje się, że po tych czterech kolegiach, które miałam, sporo rzeczy udało się zmienić. Na przykład wprowadziłam zasadę, że każda sobota będzie sobotą tematyczną, będzie szansą dla twórców, artystów, tych, którzy piszą książki, robią filmy, akcje charytatywne, komponują, żeby na żywo, w kilku odsłonach, być między 13 a 17 w Jedyńce oglądanej przez bardzo wielu ludzi. To kosmetyczna niby-zmiana, a jednak okazuje się, że można coś takiego wprowadzić. Wprowadziłam też zasadę otwartych drzwi, każdy do mnie może przyjść, coś zaproponować. Myślę o wewnętrznych twórcach programów, ale i zewnętrznych. I jest tylu ludzi, którzy mają fajne projekty! Przychodzą z superpomysłami ludzie z doświadczeniem, z charyzmą, a ja mam wrażenie, że ten potencjał był przez lata niewykorzystany. Po tych czterech tygodniach mam całe biurko zasłane projektami. Tylko muszę wypośredkować – pieniądze, które mam na realizację programów, zobowiązania, które zostały wcześniej podjęte, i pewne pasma programowe, które są już wdrukowane w świadomość widzów, na przykład ludzie są przyzwyczajeni, że o konkretnej godzinie oglądają „Modę na sukces”. Być może, gdybym nagle wprowadziła o tej godzinie program publicystyczny, to na początku nie byłby oglądany, a za pół roku tak. Ale czy ja mogę takie ryzyko ponieść?

Panią w ogóle nie interesuje to, kim jest prezes, jaki się toczy spór między różnymi pa-pierowymi władzami spółki, KRRiT, politykami?

– Nie, zajmuję się zarządzaniem programem Jedyńki.

Spór o to, czym powinna być telewizja publiczna, też pani nie interesuje?

– Wiem, czym powinna być, i robię to tutaj.

Czyli?

– To jest idealna równowaga pomiędzy programami, które niosą tak zwaną misję, bo trudno jest ją zdefiniować, a rozrywką. Wiem, że powinny być programy kulturalne, programy reżyserowane przez młodych twórców, relacje z wydarzeń kulturalnych, i dlatego wprowadzi-lśmy studio festiwalowe w Gdyni. Będzie prowadzone przez Jacka Rakowieckiego, redaktora naczelnego „Filmu”, rozmawiamy też z panem Zbigniewem Pietrasikiem i wstępnie się zgodził. Studio będzie codziennie, począwszy od 14 września. Wprowadziliśmy pasmo doku-mentalne, dwa razy dokument historyczny i dwa razy inny, między 23 a 23.45, więc w porze „dla ludzi”. Ale misją jest też pokazywanie nowych polskich seriali, po to żeby ludzie sobie pooglądali gwiazdy takie jak Joanna Brodzik w „Domu nad rozlewiskiem”, ekranizacji po-wieści, nie analizując jej walorów literackich, świetnie czytanej, głównie przez kobiety.

To literatura popularna.

– Popularna, czyli?

Iwona Schymalla, nowa szefowa programu pierwszego TVP, wierzy, że porządzi długo. Polityką i prezesem Farfałem się nie przejmuje i zdradza nam kilka swoich pomysłów na dobrą telewizję publiczną

Mało misyjna.

– Ale warto ją pokazać. Misja to też poradnictwo o po-ranku w „Kawie czy herbacie” i serial wieczorem, któ-ry bazuje na naszych popularnych gustach, i coś am-bitnego pomiędzy.

Pani opowiada o takich kwiatuskach misji, które można by jeszcze dołożyć mimo sztywnej ramówki, a istota misyjności polega na innych niż w telewi-żjach komercyjnych proporcjach rozrywki i poważ-nych rzeczy, że jest innego rodzaju dziennikarstwo informacyjne, że stale prowadzi się debatę publicz-ną na tematy polityczne, ekonomiczne, społeczne, której wysoki standard powoduje, że media komer-cyjne muszą się do niej dostosowywać. Tego nie ma i nie będzie za rządów tego prezesa, o ile kie-dykolwiek uda się ustalić sensownie, czym ma być publiczna telewizja. Trochę zepsułem pani samo-zadowolenie?

– Mogę tylko rozmawiać o tym, czym zajmuję się tutaj, naprawdę jestem rzemieślnikiem. Nie zajmuję się glo-balnym spojrzeniem na media publiczne ani polityką. Dlatego mówię, że bez tego – jak pani mówi – glo-balnego spojrzenia to pani tu rzeźbi w lodzie. Nie przeszkadza pani, że ma takiego przełożonego jak prezes Farfał?

– Mam pełną autonomię w podejmowaniu decyzji do-tyczących programów.

Jest pani dyrektorką programu pierwszego Tele-wizji Polskiej SA, a jej prezesem jest prezes Far-fał, z taką, a nie inną przeszłością, tak, a nie ina-czej uwikłany w polityków jednej partii – LPR. Czy to pani nie przeszkadza?

– Pracuję tutaj z ludźmi, których znam od wielu lat. Zmieniają się postaci na górze, zmieniają się dyrekto-rzy, a ci ludzie tutaj robili dokumenty 10 lat temu i dziś, bo robią dobre dokumenty. Redakcja Repertuaru Fil-mowego to też doskonali specjaliści.

Chciałbym napomknąć tylko, że trafiła pani teraz do tej grupy postaci, które się ciągle zmieniają...

– Dlatego mówię, że chciałabym bardzo być jak naj-dłuż dyrektorem, żeby była jakaś ciągłość.



Rozmowa odbyła się 5 sierpnia 2009 w Warszawie

KRÓLOWA SNIEGU RZEZBI W LODZIE

Iwona Schymalla:

Pracuję tutaj z ludźmi, których znam od wielu lat. Zmieniają się postaci na górze, zmieniają się dyrektorzy, a ci ludzie tutaj robili dokumenty 10 lat temu i dziś, bo robią dobre dokumenty.

Piotr Najsztab:

Teraz trafiła pani do tej grupy, która się ciągle zmienia...



→ Nie wróżę pani tego, ale...
– Ale życzy pan, prawda?
Jeszcze nie wiem,

bo prawie pani nie znam.

– Kiedyś odbieraliśmy wspólnie Wiktora. :)

To prawda, ale to trochę przelotna znajomość. :)

Odwołam się więc w sprawie prezesa Farfała do pani przedtelewizyjnego zawodu. Ukończyła pani Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji. Wiedząc o prezesie Farfale, że w młodym wieku zauroczył się neofaszystowską ideologią i przeżył parę lat czy parędziesiąt miesięcy w obszarze tej ideologii, i nigdy potem nie dokonał rachunku sumienia, nie odciał się publicznie od tego, nie powiedział: „Zbłądziłem, rozumiem, co robiłem, i myślałem wtedy źle”, pani magister nie powinna uznać, że taki człowiek jest już wewnętrznie zakłamany, a więc złamany, i lepiej nie mieć takiego szefa?

– Ustalmy: albo pan się odwołuje do mojej wiedzy związanej z umiejętnościami pedagogicznymi i resocjalizacyjnymi, albo pan się odwołuje do tego, że prowadzę programy katolickie, bo dużo pan mówi o rachunku sumienia...

Sumienie nie dotyczy wyłącznie katolików...

– Ale to są prywatne sprawy, rachunek sumienia każdy robi sam ze sobą, z Panem Bogiem.

Więc odwołuję się do pani doświadczenia resocjalizacyjnego.

– To jest prawie żadne, bo skończyłam studia, a zaraz po nich pracowałam w Instytucie Badań Problemów Młodzieży i zajmowałam się czysto teoretycznie prowadzeniem badań socjologicznych wśród młodzieży zagrożonej różnymi patologiami.

O tym właśnie mówię...

– Potem pracowałam w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej, byłam nauczycielem akademickim i uczyłam socjologii, a potem zaczęłam pracować w telewizji. Wobec tego zawsze byłam teoretykiem.

To spójrzmy z teoretycznego punktu widzenia.

– Tak poważny dziennikarz poważnego tytułu musi się odwołać do poważniejszych autorytetów w tej dziedzinie niż do człowieka, który skończył pięcioletnie studia i nigdy więcej nie miał z tym do czynienia! A jeśli chodzi o postać pana prezesa Farfała, to proszę rozmawiać z nim na ten temat, to są tak osobiste kwestie, że...

To w ogóle nie są kwestie osobiste, a pani jest jego podwładną.

– Możemy rozmawiać o programie, a nie o sprawach dotyczących innych ludzi. Jestem rzemieślnikiem, fachowcem i zajmuję się fachem.

No dobrze. Pani rzemieślnik podjęła więc ryzykowną osobistą decyzję, zostając dyrektorem. Jak sama pani wspominała, była pani i gwiazdą, i prowadzącym, i autorem programów. Drzwi do takiego dyrektora mogą być zamknięte przez ten epizod bycia dyrektorem. Po co pani ryzykowała?

– Prowadziłam programy 17 lat, wymyślałam je czy wprowadzałam na antenę, jak poranną „Kawę czy herbatę”, z którą się pożegnałam niedawno.

Ze Izami zresztą.

– Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się zachować tak nieprofesjonalnie, na wizji poryczałam się okrutnie. Ale chyba już nie powinnam prowadzić programów.

Bo?

– Na pewno nie w takim rytmie: codziennie rano, po południu dyżur, niedziela, gotowość...

Bo się pani zrutyinizowała?

Po co ja mam mieć na antenie przez pół roku program publicystyczny, którego nikt nie ogląda?

IWONA
SCHYMALLA

– Troszeczkę czułam, że to już jest rutyna, czułam się zmęczona, jakaś jednakowa, powtarzalna.

Pani jest w ogóle mało ekspresyjna...

– Tak?!

Takie mam odczucie, że jest pani spokojna, zdystansowana, chłodna.

– Ta metafora lodu będzie nam towarzyszyć do końca... :)

„Królowa śniegu rzeźbi w lodzie”

– to brzmi nieźle.

– Jestem na wizji spokojna. A pomyślałam sobie, że już jakiś etap jest za mną.

Ale jeżeli ten epizod dyrektorowania potrwa raczej krócej niż dłużej, to znajdzie się pani na lodzie.

– Nie, znajduję się w szkole filmowej w Łodzi, gdzie skończyłam właśnie pierwszy rok podyplomowych studiów producenckich, i będę w przyszłości producentem filmowym, telewizyjnym. Za rok skończę studia.

Ale zanim... Pani dyrektor, publicystyka jest bardzo ważna dla programu pierwszego telewizji publicznej?

– Tak.

Publicystyka w Jedynce ostatnimi laty spisała, z jednej strony poszła w kierunku politycznej sensacji, śledztw, często pustych, posługujących się propagandowymi oskarżeniami. Z drugiej poszła w kierunku tego, co jest wszędzie, czyli polityków szczekających na siebie w studiu. Bo ludność generalnie lubi, jak szczekają... Czy coś się z tą publicystyką zmieni?

– Tak. Od końca września nowy program będzie prowadził Kukiz i Horodniczy. Po pierwsze, bardzo różnią się temperamentami, a po drugie, Kukiz jest osobowością kontrowersyjną, a ja go lubię, cenię nawet czasami jego ostre wypowiedzi. Program nie będzie dotyczyć polityki, to będzie taka debata społeczno-obyczajowo-cywilizacyjna w metaforycznej scenografii czarno-białej szachownicy. Gdybym miała się posłużyć

Zostałam dobrze przyjęta, nie budzę agresji, złości, niepokoju, nie kojarzę się z jakąś opcją polityczną

jakimś przykładem tematu, no to powiedzmy, że byłby to fenomen szaleństwa wokół życia i śmierci Michaela Jacksona. Drugi program, który wchodzi, będą robili młodzi ludzie, w konwencji reportażowej. Będą śledzić najważniejsze wydarzenia, niepolityczne, z pierwszych stron gazet i będą ich tropem, szukać przyczyny jakiejś sprawy, problemu, ludzi, którzy mogliby wyjaśnić: „O co chodzi?”. No i jest „Bronisław Wildstein przedstawia” po lekkiej zmianie scenografii i dramaturgii, ale najistotniejszą zmianą jest to, że będzie na żywo. Odpadnie problem pretensji gości, że ich wypowiedzi zostały zmanipulowane, źle przycięte.

Jaka jest według pani zaleta tego ostatniego programu?

– Bronisław Wildstein jest bardzo silną osobowością, człowiekiem, który potrafi bronić swojego zdania i jest ideowy. Możemy z nim dyskutować, może nam się nie podobać, ale trudno go zbagatelizować. Goście, którzy przyjmują jego zaproszenie, muszą się mocno nagimnastykować, żeby obronić swoje racje. To są te trzy nowe propozycje. Liczę też na to, że w październiku pojawi się w piątek wieczorem, pomiędzy dwoma filmami, pasmo programów portretów artystów typu Sasnał, Masłowska, Agata Duda-Graczy, młodych twórców, ale bardzo wyrazistych.

Czyli głównym i jedynym gwoździem publicystyki politycznej będzie Bronisław Wildstein, który ma swoje wyraziste poglądy. Świat mediów w tej chwili w Polsce jest tak skonstruowany, że są media – staromodnie mówiąc – prawicowe, liberalne i lewicowe. Bronisław Wildstein to guru świata prawicowego. Czy to jest świadomy wybór?

– Szukanie balansu wymaga czasu i pomysłu, na razie jestem tu cztery tygodnie. Muszę o tym rozmawiać z ludźmi, którzy mają doświadczenie, stworzyć grupę twórczą, która się nad tym zastanowi.

Od dawna wiemy, że Anglików w Polsce nie ma, nawet wśród dziennikarzy, więc BBC jest u nas niemożliwe. W związku z tym postawiliśmy na model, w którym niektórzy dziennikarze mają wyraziste poglądy i tłumaczą świat według tych poglądów. Nic w tym złego, tyle że sam Bronisław Wildstein w Jedynce to jest pokazanie i tłumaczenie świata w jeden sposób. Inne nie istnieją.

– Dlaczego nie istnieją? Przecież on ma gości, goście mają poglądy, są też silnymi osobowościami, prezentują różne wizje świata. A poza tym niech pan da mi szansę, są takie projekty, w których występują i są nawet podpisani ci, którzy reprezentują te inne wizje świata, i te projekty są tutaj. I myślimy o tym, żeby je wprowadzić na antenę.

Tylko trzeba będzie im miejsce zrobić. Czy pani jest gotowa „zejść” z rozrywki, żeby oddać im trochę miejsca w prime time?

– Nie z rozrywki, ale na przykład z programu, który wystartował, ale nie zdobył udziałów, na przykład 20 procent, na których nam zależy, albo zdobył 15 procent, czyli za mało. Po co ja mam mieć na antenie przez pół roku program publicystyczny, którego nikt nie ogląda?

Co to znaczy nikt? Kilkaset tysięcy, jak w „Bronisław Wildstein przedstawia”, i pani to wystarcza, to może jednak jest „ktoś”?

– Oczywiście, Teatr Telewizji ma swoją siłą widownię, ale nie tak liczną jak widownia seriali. Jednak twórcy muszą tak przygotowywać scenariusz programu, żeby wciągać też masowego widza. A jaka jest inna forma zweryfikowania sukcesu programu? Nie mogę arbitralnie stwierdzić: panowie, ten program mi się nie podoba, więc spada z anteny.

Ale arbitralnie może pani stwierdzić: rozrywki, do której zaliczam telenowe, serie, teleturnie, jest za dużo, telewizja publiczna to nie jest miejsce, gdzie rozrywka wypełnia cały prime time, chcę w tych samych godzinach zaproponować ludziom oczywiście coś żywego, ale coś, co ma sens.

– Zgadza się z panem, też uważam, że telenowel i seriali jest za dużo.

I kolejne się kręcą.

– Kręcą się kolejne, ale zastępują te, które były. Są nowoczesniej realizowane od strony filmowej, nie sprzedają „ciemnoty dialogowej” i grają w nich fajni aktorzy, lubiani i ceniieni przez publiczność.

Brakuje mi w polskich serialach telewizji publicznej przemycania po-

żądanych, a nowych wzorców społecznych, przełamywania tabu, pokazywania innych niż tradycyjne, ale pozytywnych modeli rodzin, przyjaźni.

– Teraz będzie taki serial „Przystań”, grają w nim młodzi ratownicy. Tam będzie się mówiło między innymi o bezpieczeństwie, opowiadając w fabularnej formie historie, które naprawdę się zdarzyły. A przecież w „Klanie” też udaje się poruszyć problemy związane z chorobami i wyzwaniami cywilizacyjnymi, choćby problem dzieci z zespołem Downa, bo jeden z bohaterów jest takim dzieckiem. Zgadza się, że można więcej wprowadzać tego typu społecznych rzeczy w dialogi, w formułę serialową. Ale to jest mozolna robota, bo najpierw scenariusz jest omawiany w Agencji Filmowej, potem Redakcja Repertuaru Filmowego TVP 1 też się nad tym zastanawia, sporo szczebli trzeba przejść, zanim ruszy produkcja.

A strach kolejnych decydentów na kolejnych szczeblach powoduje, że te scenariusze się wyplaszczają.

– Zgadza się, że tych szczebli i strachu jest za dużo.

Pani jest związana z Redakcją Programów Katolickich TVP SA. Prowadzi pani katolicki program. W nowej ustawie, którą prezydent ma na swoim biurku, jest wpisany paragraf mówiący, że telewizja publiczna musi propagować wartości chrześcijańskie. To się pani podoba?

– Musi?

Do tej pory miała szanować, teraz musi.

– Burzę się przed wszelkim przymusem. Na antenie Jedynki jest bardzo dużo tego typu treści, redakcja

katolicka ma swoje pasmo, ma swoje programy, nie bardzo sobie wyobrażam, jak realizacja tego zapisu miałaby wyglądać.

Gdyby traktować literalnie ten zapis, to na przykład nie można byłoby propagować czy pokazywać na antenie dobrych stron innych religii, jak i ateizmu, zachęcać do nich ani namawiać.

– To jest niemożliwe.

Tylko jeśli ustawa w tym kształcie nie wejdzie w życie. Mnie zawsze zastanawiało, dlaczego na antenie TVP nie ma programu o ateizmie, jaki jest fantastyczny, że pomaga żyć. Pani nie brakuje takiego programu?

– Nie, absolutnie nie.

Pani swoje dyrektorowanie przewiduje na ile tygodni, miesięcy, lat?

– Myślę, że bardzo, bardzo długo.

Bo? Nie wadzę nikomu i nie jestem polityczna?

– Nie jestem polityczna, moja nominacja została dobrze przyjęta przez pracowników.

Ze stołka wyrzuca tamten świat, a nie tutejszy świat.

– Ale sporo mam też dobrych odgłosów ze środowisk artystycznych, publicystycznych, to znaczy, że nie budzę agresji, złości, niepokoju, nie kojarzę się z jakąś opcją polityczną.

A spotkała się pani też z takimi odruchami politywania, „Dziecko...”

– Tak. Ale to jest po prostu nieeleganckie – przyjęcie do kogoś gratulować, a potem powiedzieć: „Nie wiem, czy powinnaś się cieszyć, czy martwić...” □

REKLAMA

APARTAMENTY NA SPRZEDAŻ

Ostatnie lokale!

Imperial Company

www.rysulowka.pl



0 790 89 89 89



ROZMOWA „PRZEKROJU”

SZCZĘŚCIARZ

Właśnie wchodzi na ekrany „Operacja Dunaj” z kolejną rolą **Macieja Stuhra**. Korzystamy z okazji, by pokazać nieco inny portret Macieja S. niż te, do których jesteście przyzwyczajeni. W akcji Dwoje na Jednego wzięli udział Ola Salwa i Tadeusz Nyczek

Park warszawski. W parku kawiarenka. W kawiarence nasza trójka. Maciej Stuhra, przez niektórych z nas, znających go od dziecka, zwany po prostu Maćkiem, właśnie przed chwilą wbiegł, zdejmując gustowną czapeczkę. Akcję zaczyna po starszeństwie Tadeusz Nyczek, stwierdzając podchwytliwie:

T.N.: Wracasz do komedii, w dodatku występując razem z mistrzami w tej robocie, braćmi Czechami. To dziwnie brzmi, bo przecież długo byłeś utożsamiany głównie z rozrywką. Tu kabaret, tam idol młodego kina. Ale dzisiaj już jesteś w całkiem innym miejscu. Zamiast wesołego chłopca szukającego miejsca w ży-

ciu – poważny facet z coraz grubszym pakietem ról dramatycznych, nawet tragicznych. Komedie zaczyna być dla ciebie czymś niemal nietypowym.

M.S.: Kabaretowy czy komediowy początek dał mi, po pierwsze, zaistnieć. Po drugie, nauczyć się czegoś, stanąć na swoich nogach. Dość szybko wypłynąłem na szerokie wody, bo ludzie po prostu lubią się śmiać. Jak się umie do nich dotrzeć i ich rozbawić, natychmiast to nagradzają. W sumie nie najgorzej mieć taki początek.

T.N.: Trafiłeś poza tym na kolorową falę zachodniej kultury masowej, która po socjalistycznej szarości...

M.S.: ...na podatny grunt padła.

T.N.: Parę lat się przejechałeś na tej fali.

M.S.: Ludzie wreszcie bez skrępowania mogli się śmiać z byle czego, nie zawracając sobie głowy dziejową odpowiedzialnością.

T.N.: Wyszedłeś jednak z domu o zupełnie innej tradycji, właśnie tym wszystkim silnie obciążonej. Miałeś poczucie, że zderzasz się z taką ścianą?

M.S.: Oj, miałem. Moc tego zderzenia czułem, widząc zwłaszcza minę mojego ojca po niektórych moich filmach. (Tu nasz bohater roześmiał się już na samo wspomnienie tej miny, bo przy całej swojej nierzadkiej rozrywkowości w życiu i w sztuce Stuhra senior potrafi być niesłychanie pryncypialny). Ale cały czas miałem pewien azymut w głowie i wydało mi się, że nie zachłysnąłem się tą falą, która mnie niosła. W końcu umiałem z niej zejść w stronę innych rzeczy, choć mogłem dalej z nią płynąć. Przecież jak zdawałem do szkoły teatralnej, byłem już po swoich pierwszych głównych rolach komediowych, kabaret hulał pełną parą. Oprócz mojego ojca i paru moich krewnych i znajomych wszyscy pukali się w głowę, co ja robię. Po co mi ta szkoła, jak już gram w filmach, jestem znany, rozpoznawalny? A to było właśnie zejście z tej fali. Mogłem na niej zostać, ale może dziś nie siedzielibyśmy tutaj razem i nie rozmawiali dla „Przekroju”. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Tu pozwolimy sobie na wtręt informacyjny. Kiedy Maciej S. w 1999 zdawał do krakowskiej PWST, na ekrany wchodziły „Fuks” i „Chłopaki nie płaczą”, a jego autorski kabaret Po Żarcie zdobywał nagrodę za nagrodą i rozbierał lud do łez.

O.S.: „Poranek kojota” i „Chłopaki nie płaczą” wyrażały stan duchowy pewnej grupy społecznej. Ale czy zaraz pokolenia? Ostatnim naprawdę pokoleniowym kinem było kino moralnego niepokoju pańskiego ojca.

M.S.: Tę grupę społeczną ktoś złośliwy nazwałby Polską B, choć nie chciałbym, żeby to źle zabrzmiało. Do dzisiaj spotykam ludzi, którzy do kina chodzą raz na parę lat i widzieli akurat te dwie komedie. Słyszę od nich, że film był zajębisty, że jak jechali autokarem na wybieżkę do Chorwacji, to mieli „superpolew”. Dużo takim ludziom w życiu zawdzięczam. Te filmy jakoś trafiły dokładnie w ich potrzeby, posługiwały się ich językiem, poczuciem humoru. Znam też kilku inteligentów, którym się podobały.

W tym miejscu Maciej S. opowiada, jak ten wizerunek popularnego dzięki takim filmom aktora przydał się w sensie marketingowym innym, o wiele poważniejszym i trudniejszym filmom, na przykład „33 scenom z życia” M. Szumowskiej. Podobnie jak pewnej dziewczynce w wieku jego własnej córki niedawno przydał się Maćkowy szpik kostny, którego dawcą aktor stał się spontanicznie i dobrowolnie, co dodajemy już od siebie, nie chcąc zawstydzać rozmówcy.

O.S.: Dla jednych filmem pokoleniowym jest „Poranek kojota”, dla innych „33 sceny z życia”. Czy jest w ogóle możliwa jakaś wspólnota pokoleniowa?

M.S.: Akurat w tej kwestii teatr miał więcej szczęścia. Nawiazał dialog ze swoją publicznością i jakoś ją dla siebie wychował. Są teatry i przedstawienia, na które chodzi bardzo wierna publiczność. Porozumiewa się tym samym językiem, odczytuje w mig znaki teatralne. Filmowcy mogą tylko zazdrościć reżyserom teatralnym, że mają pełne sale swoich widzów. Oczywiście na teatralną skalę, znacznie mniejszą.

T.N.: Nie załapałeś się na tę pokoleniową rewolucję teatralną, którą zaczął Jarzyna z kolegami. Robiłeś wtedy kabaret albo filmy z Lubaszenką.

M.S.: Poszedłem do PWST między innymi po to, aby rozpocząć ten rozdział.

T.N.: Ale pierwszym twoim teatrem po studiach był warszawski Dramatyczny, typowy konwencjonalny teatr mieszczański...

M.S.: Wciąż dość mocno ciążył na mnie wizerunek krakowskiego Starego Teatru, w którym i na którym się wychowałem. To był dla mnie model „prawdziwego teatru”, z jego podejściem do sztuki, sposobem ekspresji, repertuarem. (Tym, którzy nie wiedzą albo nie pamiętają, przypominamy, że ojcem chrzestnym Macieja S. jest przewyborny aktor Jan Nowicki, wieloletni artysta Starego Teatru, a jeśli ktoś ma za ojca chrzestnego kogoś takiego, ten wie prawie wszystko o życiu i teatrze). To był →

→ punkt wyjścia. Jeżeli za punkt dojścia będziemy traktować Nowy Teatr, to jednak musiałem sobie trochę po-przestawiać te klocki, żeby się w tym wszystkim połączyć. To zresztą nadal u mnie trwa.

T.N.: Dzięki szybkiemu zwrotowi akcji, typowemu skądinąd dla twojego życiorysu, znaleźliśmy się w warszawskim Nowym Warlikowskiego, najważniejszym w tej chwili dla ciebie miejscu. Sam tu przyszedłeś czy zostałeś wciągnięty?

M.S.: Dostałem zaproszenie. Trudno jest wejść w tę grupę, bo Krzysztof pracuje od lat z tymi samymi aktorami i strasznie się boi, jak jest zmuszony zaangażować kogoś nowego. Będąc trzy lata temu na wakacjach, zostałem zaproszony, skrzętnie skorzystałem i bardzo się oddałem całej tej sprawie.

O.S.: Łatwo panu przyszło zaadaptowanie się w tej grupie?

M.S.: O tyle łatwiej, że duża jej część to moi dobrzy koledzy, nawet przyjaciele. Zresztą szybko poczułem, że jestem na swoim miejscu. Co prawda publicznie zaistniałem w komercyjnym, kabaretowo-komediowym wydaniu, ale wiedziałem, że nie tylko to chcę robić. Choć... kabaret nadal sprawia mi ogromną frajdę. Rozśmieszanie ludzi jest trudną sztuką i trochę niedocenianą w Polsce. Jak się powie coś poważnego albo mądrego, to to ma zaraz większą wartość, niż jak się kogoś rozśmieszysz.

T.N.: No to jesteś w dobrym towarzystwie, bo taki na przykład świętej pamięci Zapisiewicz bardziej lubił swoje role komediowe niż dramatyczne.

M.S.: Uciekłem z szufladki komediowo-kabaretowej, ale wcale nie na zawsze. Z czasem poczułem, że potrzebuję poważniejszej drugiej nogi i muszę uważać, żeby nie było za późno, bo po przekroczeniu pewnej granicy kojarzylibym się ludziom już tylko z błazeństwem. Wtedy na pewno Warlikowski ani Szumowska by nie zadzwonili.

T.N.: Ale zadzwonili.

M.S.: Trzeba to wreszcie powiedzieć: jestem strasznie rozpieszczony przez los. Nigdy się o żadną pracę w życiu nie starałem, zawsze ona starała się o mnie. Najwyżej odmawiałem pewnych rzeczy. W efekcie musiałem tylko dobrze sterować, żeby się znaleźć na tej czy innej drodze.

T.N.: Szczęściarz.

M.S.: Tak wyszło.

T.N.: Jeszcze w szkole zagrałeś u Wajdy. Potem kultowe filmy, wreszcie Warlikowski... A z jakiej szufladki wyciągnęła cię Szumowska?

M.S.: Zaproponowała mi rolę po obejrzeniu „Aniołów w Ameryce”.



T.N.: Więc dalej szczęściarz, bo mogłeś nie trafić na Krzysztofa i taki teatr.

Kim jest Krzysztof Warlikowski, nie musimy czytelnikom akurat tej rozmowy mówić. Od trzech lat jest ojcem dyrektorem Nowego Teatru w Warszawie, który ma tę właściwość, że choć jego spektakle podbijają teatralny świat, on sam praktycznie nie istnieje i własną siedzibę w Warszawie przy ul. Madalińskiego 10/16 ma na razie tylko na papierze.

M.S.: Można to rozpatrywać w kategoriach jeśli nie cudu, to niezwykłego wydarzenia. Facet, który biega w Opolu i rozśmiesza ludzi, nagle znajduje się w jednym z najbardziej awangardowych zespołów teatralnych. Tu muszę nadmienić w nawiasie, że ja mam muzyczne ucho i stąd małą zdolność do parodii. To ma swoje dobre i złe strony. Zła jest ta, że ja dość szybko potrafię przeczytać tekst bez fałszowania. I to jest mylące. Większość reżyserów, zwłaszcza filmowych, ma tyle spraw na głowie do ogarnięcia, że jak słyszy niefałszującego aktora, to mówi: super, jedziemy dalej. I ja przeważnie na takich reżyserów w życiu trafiałem. A Warlikowskiego taki rodzaj naturalnego niefałszowania kompletnie nie interesuje. U niego robi się sztukę miesiącami, do bólu, aż się zedrze te wszystkie łatwe mówienia tekścików. Dopiero po sześciu miesiącach prób i po butelce wina prawdziwie wywrzeszczałem w „Aniołach” Staszce Celińskiej, że jej syn, czyli ja, jest homoseksualistą. Na początku scenka była letnia, udawana. Taka pewnie znalazłaby się w filmie.

O.S.: Warlikowski pierwszy zmusił pana do porządnej pracy?

M.S.: Pierwszy wybił mi z głowy myślenie, że wszystko jest OK. Idę na próbę i nagle jestem kompletnie wyrzucony ze swoich torów.

O.S.: To odświeżające?

M.S.: W „Aniołach” czy w „(A)pollonii” zagrałem rzeczy, o które siebie nie podejrzewałem. Mamy z Krzysztofem bardzo różny sposób patrzenia na świat, moja intuicja podsuwa mi czasem inne rozwiązania, ale ufam mu i rezygnuję ze swoich pomysłów, nawet jeśli początkowo nie rozumiem jego intencji.

O.S.: Czy praca z Warlikowskim dała coś panu w filmie?

M.S.: Małgosia Szumowska na planie miała główną uwagę: „Maciek, tak jak u Krzyśka!”. Ale poważnie. Bywam leniem, choć nie dlatego, że mi się nie chce, tylko z założenia. Kino, zwłaszcza współczesne, wymaga, żebyś był jak dziecko: reagował naturalnie i intuicyjnie. Wielkość aktorstwa nie polega na stopniu przygotowań. Widza nie obchodzi, czy ktoś zamknął się na półtora roku w więzieniu, żeby zagrać więźnia. Choćby nie wiadomo ile tam siedział, to się więźniem nie stanie, bo zawsze może wyjść. Więc ja raczej bym się nie zamykał w więzieniu. Dobre aktorstwo filmowe polega na tym, żeby aktor tu i teraz potrafił uwierzyć w okoliczności, w które go autor scenariusza wpakował. Poza wszystkim odkąd wiem o sobie więcej dzięki Krzyśkowi, moje role filmowe są bogatsze.

O.S.: To, czy artysta jest dobry, czy zły, też zależy od okoliczności?

M.S.: Przeczytałem w jednym z ostatnich wywiadów Zapisiewicza, że artystą jest się wtedy, kiedy się zostanie uznanym za artystę. Więc war-

to grać nawet dla trzech osób, jeśli jesteś dla nich kimś takim. Dla kilku blockersów po „Poranku kojota” byłem artystą. Dla was obojga pewnie mniej.

O.S.: A własne zdanie się nie liczy? Czujesz się pan artystą czy nie?

M.S.: Co w takiej sytuacji powiedzieć?

O.S.: Prawdę.

M.S.: To wyjdę na nieskromnego. Chyba że powiem nieprawdę i będzie skromnie.

T.N.: Już lepiej nic nie mów. I tak wszystko powiedziałeś.

Zapada chwila kłopotliwego milczenia, bo co tu mówić, skoro trzeba się domyślać, co się powiedziało albo czego nie powiedziało. Ponieważ jednak trzeba iść dalej, bo w końcu mamy rozmawiać, Tadeusz N. zbiera siły i zadaje straszne w swojej potęgę pytanie.

T.N.: U Warlikowskiego grasz postaci mroczne, połamane, czasem groźne, jak Agamemnon w „(A)pollonii”. Masz poczucie, że Krzysztof dotknął w tobie jakąś ciemnej strony?

M.S.: (po małej chwili wahania) Nie, nie. On jest zbyt delikatnym człowiekiem, żeby móc takie rzeczy wykorzystywać.

T.N.: Aktor nie zagra przekonująco postać, jeśli go trochę w sobie nie ma. Musi zrozumieć własne mroczne instynkty...

M.S.: Mało tego: umieć je wytłumaczyć. Kiedyś Jan Peszek mi powiedział, szykując się do „Uroczystości”, że rozumiał, dlaczego jego bohater popełniał kazirodztwo: bo tak bardzo kochał swoje dzieci. Debiutując jeszcze jako student rolą Raskolnikowa w „Zbrodni i karze”, starałem się zrozumieć powody, dla których facet łupie w staruszkę siekierą. Nie wystarczy powiedzieć sobie, że nigdy byś tego nie zrobił. Aktorstwo jest ciekawe dlatego, że właśnie mógłbyś.

T.N.: Wygląda, że Maciej Stuhr Anno 2009 jest już daleko od siebie samego sprzed paru lat. (W tym miejscu w Tadeuszu N. odzywa się krytyk teatralny i przez dłuższą chwilę z nadzwyczajną satysfakcją komentuje obie dotąd zagrane u Warlikowskiego role Macieja S. Co czyni tym chętniej, że swego czasu bynajmniej nie był entuzjastą paru innych scenicznych postaci młodego aktora). Co w tym kontekście robisz choćby u Jandy w „Boskiej”?

M.S.: Przyszedłem tam po próbach u Warlikowskiego. Dwa skrajne, można powiedzieć, teatry. Tu drzemy szaty, tam odbijamy pięć-kę tak, że ludzie po dwóch godzinach śmiechu wychodzą zapłakani. Ale tu i tu na końcu wstają do owacji. Wojciech Młynarski powiedział kiedyś, że cechą każdej awangardy jest pogarda dla reszty. Ja tak nie mam.

Maciej S. wstaje, nakłada czapeczkę i ucho-dzi w siną dał, gdzie już za chwilę czeka na niego premiera „Operacji Dunaj” (w Nowej Rudzie) oraz ćwiczenia jeździeckie do najnowsze-go filmu Filipa Bajona według „Ślubów pa-nieńskich” Fredry, gdzie nasz rozmówca gra, jakżeby inaczej, Gustawa.

FOT. WOJCIECH KRZYWKOWSKI (2)

BYWA, ŻE MARZENIA O RYCERZU NA BIAŁYM KONIU PRZEKREŚLA ROMANS ZE STAJENNĄ (LIDIA JASIŃSKA)

TECZKI

➤ **Ken Loach** podkreślał, że protest jest wymierzony w rząd Izraela, a nie w artystów z tego kraju



Reżyserski bojkot

Artyści wycofują swoje filmy z festiwalu

PLANETARIUM OLA SALWA

NIESTETY, NIE JEST TO NAGŁY PRZYPŁYW SAMOKRYTYCZYZMU, O KTÓRY MODŁĄ SIĘ widzowie festiwalu, wierząc się w niewygodnych krzeselkach podczas oglądania kolejnego wątpliwego arcydzieła. Dla twórców jest to forma politycznego protestu. Gdy Brytyjczyk Ken Loach dowiedział się, że do organizacji festiwalu w Melbourne dorzuca się izraelski rząd, wycofał z programu swój film „Looking for Eric”. Artysta, który był zawsze czuły na sprawy społeczne, chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko „nielegalnej okupacji Palestyny”. Z kolei w bardzo lokalnej sprawie głos zabrał Łukasz Barczyk, bojkotując zeszłoroczny festiwal w Gdyni. Chciał w ten sposób wyrazić swoje niezadowolenie z kształtu imprezy. To popieramy, podobnie jak decyzję niepokazywania „Nieruchomego poruszy-cielu”, jednego z najgorszych filmów ostatnich lat.

➤ **Jamil Rostami** wycofał film „Requiem of Snow” z festiwalu w Kopenhadze, gdy duńska gazeta śmiała się z proroka Mahometa



➤ **Łukasz Barczyk** zrobił nieoczekiwaną przysługę gdyńskim widzom, którzy nie musieli oglądać jego filmu

SYNOWIE JEDNEGO PANA

DĘTE NIENADĘTE

PHILA COHRANA, TRĘBACZA Z CHICAGO, KTÓRY sławę zdobył w szeregach Sun Ra Arkestra (choć grał w niej w latach 1959–1961), pasjonuje nie tylko jazz. Równie dużo czasu co na scenie musiał spędzać na łonie rodziny, bo nie tylko zdążył spłodzić gromadkę pociech, ale też zdążył się zająć swymi ośmioma synami.

Zamiast klocków czy pluszaków sprezentował im instrumenty dęte blaszane, a zamiast zabaw w chowanego urządzał rodzinne jam session. Udało się, zaraził ich miłością do muzyki. Wszyscy dmą! Gabriel Hubert, Amal Baji Hubert, Jafar Baji Graves i Tarrick Graves w trąbkę, Seba Graves i Saiph Graves w puzon, Tycho Cochrane



w tubę, a Uttama Hubert w sakshorn barytonowy. A skoro już dobry los i jeszcze lepszy ojciec uformowali ich w słusznych rozmiarów orkiestrę dętą, potomkowie Cohrana postanowili nie szukać przygód poza rodziną i założyli własny zespół Hypnotic Brass Ensemble, którego skład uzupełnia perkusista Christopher Anderson. O ile mi wiadomo, niespokrewniony...

Hypnotic Brass Ensemble rychło awansował z kapeli ulicznej do najgorętszej nowinki jazzowej dla jazzowi obojętnych fanów alternatywy. To ostatnie osiągnięcie przypieczętowały wspólne koncerty z reaktywowanym Blur. Chociaż wspólne nagrania z Erykah Badu i Maxwellem i występy z Mos Defem to też nie w kij dmuchał.

Jarek Szubrycht

18 sierpnia **Hypnotic Brass Ensemble** wystąpi w warszawskim Hard Rock Café

CYWILIZACJA

W tym tygodniu:
ZASTANAWIAMY SIĘ NAD LUDZKĄ
POTRZEBĄ IRRACJONALNOŚCI
I TROPIMY PIRATÓW, KTÓRZY PODAJĄ SIĘ
ZA ARCHEOLOGÓW



Nie, nie
przekonujemy,
że duchy istnieją.
Dlaczego jednak
na kilkadziesiąt
lat świat
ogarnęła
prawdziwa
spirytystyczna
obsesja?
— pytamy
socjologa,
profesor Annę
Mikolejko

ROZMOWA OLGA WOŹNIAK

Duchy na trudne czasy

Czy ktoś jeszcze dzisiaj wierzy w duchy?

— Zdziwiłaby się pani.

Mamy XXI wiek — czas klonowania, in vitro, promów kosmicznych...

— Ale to właśnie bezgraniczna wiara w osiągnięcia nauki stoi u podstaw XX-wiecznego ruchu spirytystycznego, czyli — jak go nazywano — duchownictwa.

Czyli dziwactwa. Spirytyści kojarzą się raczej z lewitującymi stolikami albo grupą nawiedzonych wywołujących duchy.

— Zaskoczyłoby panią, jak powszechne było niegdyś to dziwactwo i jak wiele z niego przetrwało do dziś.

Gdyby w jakiś cudowny sposób teleportowano panią do Warszawy sprzed stu lat, nie spotkałaby pani nikogo, kto by nie wiedział, czym jest spirytyzm. Zainteresowanie nim było wtedy tak

powszechne jak dzisiaj portalem Nasza-klasa. Miliony brały w tym udział. Największa wówczas gazeta — krakowski „Czas” — oddała temu tematowi swoje łamy na blisko pół roku. Jaki fenomen społeczny byłby dziś na tyle interesujący, by „Gazeta Wyborcza” pisała o tym tak długo w każdym wydaniu?

A więc: moda. Ale nadal nie widzę związku między spirytyzmem a nauką.

— Kiedy w połowie XIX wieku francuski badacz Allan Kardec tworzył podwaliny spirytyzmu, zarzekał się: „Spirytyzm będzie naukowy albo nie będzie go wcale”. Poszukiwaniem życia po życiu i seansami z mediami zajmowało się wiele naukowych sław. Powoływano instytucje naukowe, które miały podjąć rzetelne studia metapsychiczne. Obywatele amerykańscy zażądali od Kongresu powołania komisji uczonych dla zbadania pojawiających się na seansach spirytystycznych „objawów”. Pod petycją podpisało się 14 tysięcy osób.

Skąd takie nagłe zainteresowanie zjawiskami parapsychicznymi?

— Bo ludzie nagle stanęli wobec trudnych pytań. Pod koniec XIX wieku coraz głośniej mówiło się o tym, że istnieje tylko świat materialny, a wszelkie idee są tylko wytworem psychiki człowieka. To czas wielkich odkryć naukowych, rozwoju technologii. Kapitalizm przynosi zmianę norm etycznych. Nieważny sposób, ważne, by osiągnąć majątek. To jak żyć w takim świecie? Czy człowiek sam nie zmienia się w bezduszną maszynę?

Kościół nie odpowiadał na to pytanie?

— Na Soborze Watykańskim I doszło do starcia między tak zwanymi większościami i mniejszościami w Kościele. Mniejszościowcy chcieli, żeby prawdy wiary uzgodnić z prawdami nauki. Większościowcy powiedzieli „nie”. A ludzie chcieli takiego uzgodnienia, bo im się świat rozpadał. Kościół mówił co innego, nauka co innego. Komu wierzyć? Spirytyzm chciał to scalić. Stąd jego popularność.

Nowa religia?

— Raczej system etyczny. Spirytyzm w czystej postaci nie ma form ani miejsc kultu, nie posiada kleru, nie nawraca, nie objawia „prawdy absolutnej”, nie wymaga dla siebie wyłączności, stałego członkostwa ani regularnego uczestnictwa w spotkaniach.

To czego chce?

— Poważnego traktowania duchowej sfery człowieka. Staje się odpowiedzią na materializm. Do tego mówi językiem epoki — był to język pozytywizmu, badań przyrodniczych, eksperymentu. Allan Kardec — główny europejski ideolog spirytyzmu — zakładał, że nauka musi wejść w przestrzeń, w której nie sprawdziła się religia. Twierdził, że można dowieść doświadczalnie istnienia życia po śmierci. Dlatego spirytyzm uważał, że wspiera Kościół, że potwierdza prawdy wiary — empirycznymi narzędziami dowodzi, że istnieje tamten świat, istnieją dusze, a jeżeli możliwe są kontakty z duszami, to oczywiście istnieje też Bóg. Tym bardziej że te dusze są w świecie pięknym, wspinał się, dojrzał, w raju. W każdym człowieku — mówił Kardec — istnieje tak zwany czynnik myślący, który po śmierci odłącza się od ciała fizycznego i wciela przez reinkarnację w kolejne istoty. Zmarli, ale jeszcze niereinkarnowani ludzie mogą się porozumiewać z żywymi, dzięki nim można zajrzeć na drugą stronę i ją opisać. Droga do tego miały być media.

Kto mógł być medium?

— Wszyscy wtedy organizowali seanse spirytystyczne: jedne się udawały, inne nie. Często udawały się tylko w towarzystwie określonej osoby. Po tym, kto miał łączność z tamtym światem, widać było rodzaj transu. A jak już odkryto medium, to go nie puszczano. Taka osoba stawała się kimś na wzór dzisiejszego celebryty: wszyscy chcieli z nią kontaktu — żeby pomogła im się spotkać ze swoimi zmarłymi. Uczestnictwo w seansie ze znanym medium było sposobem na towarzyski awans.

Bycie medium bardzo się chyba opłacało?

— Chyba tak, skoro już w 1851 roku w Nowym Jorku działało około stu mediów. Siostry Fox brały pięć gwinej od każdego uczestnika. W Wielkiej Brytanii medium płaciło się jedną gwineę od seansu. Tych monet już nie bito, ale przeliczano na nie wartość usług i towarów luksusowych. To było nieco powyżej jednego funta. Robotnik rolny zarabiał 20–25 funtów rocznie.

Kim były najsławniejsze media?

— W Polsce to Teofil Modrzejewski, który występował pod pseu-

Medium Franek Kluski, czyli Teofil Modrzejewski. Tego ektoplazmicznego sokoła sam sobie ściągął na głowę



Uszkodzone zdjęcie z seansu z Teofilem Modrzejewskim. Za medium widmo. Rysy na zdjęciu to ponoć jego sprawa

donimem Franek Kluski. „Cywilnie” był poetą i dziennikarzem, pracował w jednej redakcji z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim. Zdolności Modrzejewskiego odkryto przypadkiem. Pod koniec 1918 roku był jednym z uczestników seansu spirytystycznego z udziałem innego sławnego medium — Jana Guzika. Guzik się spieszył, musiał szybko kończyć, więc uczestnicy spotkania postanowili kontynuować bez niego i — o dziwo — udało się! Odkryto, że to dzięki Modrzejewskiemu.

Trzeba przyznać, że Modrzejewski, już jako Kluski, był oddany sprawie — nie brał pieniędzy za seanse i chętnie współpracował z najwybitniejszymi w tym czasie badaczami zjawisk paranormalnych. A było co badać — na seansach z jego udziałem materializowały się zjawy, wiele z nich sfotografowano. Znakiem firmowym Kluskiego były odlewy parafinowe fragmentów zjaw — głównie ich dłoni i stóp.

Duchy robiły odlewy?

— Podczas seansu stawiano na stole miseczkę z wodą i drugą — z rozgrza-

ną parafiną. Po seansie w misce z wodą nieraz pływała parafinowa skorpka — tak jakby ktoś zanurzył dłoń w parafinie, a potem ją jakoś ze środka wyjął.

Wspominała pani, że spirytyzm był naukową metodą poznania niematerialnej strony rzeczywistości. Czy wykorzystywano go do badań — na przykład nad przeszłością?

— Kluski materializował na przykład zjawę humanoida zwanego „pitekantropusem”. Inne polskie medium — Stefan Ossowiecki — jako jasnovidz współpracowało z astrofizykiem Jeremim Wasiutyńskim, który na podstawie jego przekazów przygotowywał monografię o Koperniku. Sam Ossowiecki, sięgając umysłem w przeszłość, wygłaszał w Instytucie Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego odczyty na temat prehistorycznych form życia.

Z usług spirytystów w owym czasie korzystała też często policja przy rozwiązywaniu zagadek kryminalnych. Ba, w seansach Ossowieckiego uczestniczył sam marszałek Piłsudski! →



Postaci w prześcieradłach to zjawy przywołane przez medium Stefkę Banasiuk



→ A czym zajmowali się badacze zjawisk metapsychicznych?

– Wielu z nich to byli poważni naukowcy. Na przykład Julian Ochorowicz był psychologiem, badaczem hipnozy, a także wynalazcą w dziedzinie elektroakustyki, telefonii. Eksperymentował z wieloma mediami: z Jadwigą Domańską znaną z kontaktów z duchem Juliusza Słowackiego, ze Stanisławą Tomczykową, która poruszała na odległość przedmiotami i miała sobowótora astralnego, tak zwaną Małą Stasię. Ochorowicz badał też Eusapię Palladino – włoską chłopkę, która na przełomie XIX i XX wieku była najgłośniejszym europejskim medium. W urządzanych z nią seansach uczestniczyli między innymi filozof Henri Bergson, lekarz noblista Charles Richet czy Maria i Piotr Curie. Ochorowicz w 1893 roku przywiózł ją do Warszawy, gdzie z jej udziałem odbyło się kilkadziesiąt sesji. W 1910 roku Palladino została zdemaskowana w USA: z pomocą iluzjonistów rozpracowano jej sztuczki. To podważyło naukowy autorytet Ochorowicza. Zaprzysiężniony z nim Bolesław Prus uwiecznił go w „Lalce” jako inżyniera Juliana Ochockiego.

Jak wiele osób żyło ze spirytyzmu?

– Było mnóstwo mniej lub bardziej uzdolnionych iluzjonistów, stoliki do seansów spirytystycznych to był cały przemysł, specjalne tabliczki z alfabetem, ekrany samoświetlające się, fosforyzujące. Była też fotografia funeralna – w wyspecjalizowanych zakładach robiono zdjęcie, na którym w tle, za panią materializował się duch bliskiej pani zmarłej osoby. Piękna pamiątka. Na emocjach ludzi da się dobrze zarobić, a spirytyzm budził wielkie emocje.

Te negatywne chyba też?

– Oczywiście. Cyprian Norwid napisał: „udziału w tem brać nie godzi się. To jest pieniądz niesprawiedliwości”. Było wielu sceptyków. Pojawiały się teksty wyśmiewające zjawisko, chociażby Józefa Korzeniowskiego „Odezwa stolików mahoniowych” czy Stanisława Bogusławskiego, syna Wojciecha, krotchwila „Stoliki magnetyczne”. Krytyka dosięgała też samych badaczy. Na zjeździe polskich neurologów, psychiatrów i psychologów we Lwowie w 1909 roku Julian Ochorowicz wygłosił referat na temat odkrytych przez siebie promieni sztywnych – jak nazywał wydzielaną przez media ekto plazmę, z której formowały się duchy. Po tym referacie doktor Bychowski z Warszawy i psycholog Władysław Heinrich z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zgłosili wnioszek o zamknięcie dyskusji. Gdy wniosek upadł, wyszli z częścią uczestników zjazdu.

Właściwie to nie pytałam jeszcze, od czego zaczął się ten duchowy szal?



Profesor **Anna Mikołajko** jest socjologiem religii i kultury, historykiem idei. Pracuje w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego i Wyższej Szkole Dziennikarskiej im. Melchiora Wańkowicza w Warszawie. Zajmuje się między innymi kontrkulturą młodzieżową, sektami apokaliptycznymi i satanizmem oraz przemianami religijności i kultury religijnej. Pracuje nad opisaniem polskiej tradycji ezoterycznej w XIX i XX wieku.



FOT. HULTON-DEUTSCH/CORBIS, ADAM ARCHIWUM KATARZYNY BORUN-JAGODZIŃSKIEJ (3), ABBAS/MAGNUM PHOTOS/EK PICTURES, BOGDAN KRETEL

– Przekonanie o istnieniu duchów jest najstarszym wierzeniem ludzkości, ale epoka nowożytnego spirytyzmu zaczęła w 1848 roku w Hydesville w stanie Nowy Jork. Troje z siedmiorga dzieci nikomu wcześniej nieznanego Johna i Margaret Fox – córki Lea, Margareta i Kate – zaczęło doświadczać kontaktów z istotą z zaświatów, które manifestowały się odgłosami kroków i stukaniem w ścianę. Dziewczynki za pomocą specjalnego kodu nauczyły się rozmawiać z duchem. Ten opowiedział im, jak został napadnięty, zabity i pogrzebany w piwnicy ich domu. Duch twierdził, że przybył, aby przekonać o ludzkiej nieśmiertelności. Dzięki zainteresowaniu prasy panny Fox szybko zyskały sławę, a moda na spotkania z duchami błyskawicznie się rozprzestrzeniła.

No i dlaczego się to wszystko skończyło?

– A kto powiedział, że się skończyło? Międzynarodowa Rada Spirytystyczna ma oddziały w 18 krajach, także w Polsce. Seanse spirytystyczne urządziła się, używając zaawansowanej techniki. Popularny jest też *channeling*, kanałowanie. To metoda komunikowania się z „transcendentnym ośrodkiem emisyjnym” wysyłającym przesłanie za pomocą „kanału”, którym jest osoba znajdująca się w transie. *Channeling* rozpowszechnia filozofię New Age.

Jednak dzisiaj spirytyzm jest postrzegany jako dziwactwo...

– Nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań. Nie dał naukowych odpowiedzi. Spirytystom zaszkodził też bardzo komunizm i faszyzm. Komuniści wyznawali materializm i tępił wszelkie przejawy duchowości, faszysty zaś starali się wykorzystywać spirytyzm do własnych celów: poszukiwali mocy, która pozwoliłaby im kierować losami świata. Spirytyści, którzy dostawali się w ich ręce, trafiali często do obozów koncentracyjnych, a ich prace były konfiskowane.

Przy okazji – mało kto wie, że spirytyści i jasnowidze mieli wzięcie w obozach. Próbowano tam urządzać seanse spirytystyczne, by uzyskać odpowiedź na pytanie, kiedy i jak się to wszystko skończy. Píše o tym między innymi Józef Marcinowski, który był jasnowidzem w obozie koncentracyjnym w Dachau. Takie seanse urządzano też poza obozami. Niektóre protokołowano, na przykład seanse z duchem Rampasty – Greka, który żył 2400 lat przed Chrystusem.

A po wojnie?

– Dzisiaj centrum światowego spirytyzmu jest Brazylia. Tam ruch skupia od 15 do 20 milionów osób i to jest potężna, zorganizowana siła społeczna. Spirytyści brazylijscy prowadzą na przykład sieć całkiem niezłych, płatnych szkół. Dochody z nich przeznaczają na edukację dzieci z faweli. Organizują też system służby zdrowia dostępny dla najuboższych. Pracę lekarzy wspomagają tu osoby będące mediami. Jednak nie trzeba szukać tak daleko, by dostrzec spuściznę spirytyzmu. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak wiele spirytystycznych idei wciąż funkcjonuje w ich życiu.

Proszę wymienić choć jedną.

– Wiara w sprawczą siłę pozytywnego myślenia – motyw przewodni wszystkich podręczników samodoskonalenia.

Jak się ma do duchów?

– U jej podstaw leży koncepcja ideoplastii badana między innymi przez Juliana Ochorowicza. Zakłada ona, że nasze myśli są w stanie wpływać na rzeczywistość. Uważano, że myśli to fale elektromagnetyczne, które biegną przez eter, ale które mogą również kształtować eter, na przykład zagęszczać go – dlatego myśli medium o duchu mogły go materializować...

Dlatego moje myślenie o tym, że awansuję, faktycznie przyczynia się do awansu?

– Właśnie.

Czy pani w to wszystko wierzy?

– Pyta mnie pani, czy wierzę w duchy? Jestem socjologiem. Kulturoznawcą.

To żadna odpowiedź.

– Mnie najbardziej interesuje, jak pracuje coś, co sobie na prywatny użytek nazywam społeczną podświadomością. Co sprawia, że grupy społeczne zachowują się w określonym czasie w określony sposób. Chcę zrozumieć to, czego te grupy same o sobie nie wiedzą. Fascynujące jest też, w jaki sposób w naszym bardzo zróżnicowanym świecie zakotwicza się irracjonalizm i jak on się racjonalizuje. To wciąż się dzieje. Nasza potrzeba duchowości i metafizyki nie zniknęła wraz z odkryciem struktury DNA czy z chwilą wylądowania na Księżycu.

A duchy?

– Ja nawet nigdy nie byłam na prawdziwym seansie spirytystycznym. Mnie w ogóle nie interesuje, czy duch Rampasty, Araba czy Raymondona materializował się naprawdę, czy nie. Nie ciekawi mnie, czym była ekto plazma wydzielana przez media ani to, czy Ossowiecki był prawdziwym jasnowidzem. Chcę tylko zrozumieć, jak zmienia to życie i jak wpływa na kulturę. Do czego to wszystko ludziom potrzebne. □

NOWE RADIO



NASTAW SIĘ NA CHILL OUT

Słuchaj na

- Warszawa 106,8 FM • Gdańsk 92,0 FM
- Gdynia 101,1 FM • Katowice 93,6 FM
- Kraków 101,0 FM • Koszalin 106,9 FM
- Łódź 89,6 FM • Olsztyn 91,9 FM
- Poznań 101,6 FM • Rzeszów 96,4 FM
- Szczecin 104,9 FM • Wrocław 106,9 FM
- Zielona Góra 92,9 oraz 98,4 FM

www.chillizet.pl



Amatorzy kradzionych skarbów

PIRACTWO ANNA PIOTROWSKA

Mówią o sobie: archeolodzy. Tak naprawdę to raczej korsarze i rabusie. Odyssey Marine Exploration zapewne będzie musiała oddać Hiszpanom wartość pół miliarda dolarów skarby wydobyte u wybrzeży Portugalii

Mark Pizzo nie należy do najbardziej znanych postaci amerykańskiego systemu sądowego, ale niedawno wydał opinię prawną, która może go sławnym uczynić. W ogłoszonym na początku czerwca dokumencie ten florydzki sędzia zalecił amerykańskiej firmie Odyssey Marine Exploration zwrócenie Hiszpanii 17 ton srebrnych i złotych monet pochodzących z podwodnych wykopaliisk przeprowadzonych dwa lata temu u wybrzeży Portugalii. Ładunek wart dziś 500 milionów dolarów został po cichu wydobyty z dna morza i przewieziony do miejscowości Tampa na Florydzie, gdzie znajduje się siedziba przedsiębiorstwa. Sądowa bitwa o prawo do tego skarbu mocno nadszarpnęła i tak nie najlepszy wizerunek Odyssey Marine Exploration. Dla naukowców ta założona pod koniec lat 90. niby-archeologiczna firma to bowiem spełnienie najgorszych snów o bezwzględnych łowcach skarbów, którzy świadomie niszczą kulturowe dziedzictwo należące do całej ludzkości – zamiast fachowo badać zabytkowe wraki, po prostu rozkradają ich cargo.

W folderach reklamowych zasady jej działania przedstawiają się bez zarzutu – zadaniem pracowników Odyssey Marine Exploration, profesjonalnych nurków i archeologów, jest poszukiwanie pozostałości statków, które zatonęły przed wiekami, wioząc cenny ładunek. Ponieważ prawo morskie stanowi, że wrak znajdujący się na terenie wód międzynarodowych, o ile został porzucony, należy do znalazcy, potencjalnych celów badawczych są tysiące. Pozyskane w ten sposób przedmioty można sprzedać kolekcjonerom.

Odyssey Marine Exploration specjalizuje się w poszukiwaniach pozostałości statków przewożących złoto i srebro, bo takie znaleziska przynoszą najczęściej dochodu. Firma prowadzi równolegle kilka takich projektów.

Prawie w zgodzie z prawem

– Jest ogromna różnica między pracą archeologów a działaniami łowców skarbów – mówi doktor Peter Marsden, brytyjski archeolog i założyciel Shipwreck and Coastal Heritage Centre. – Naprawdę nie mamy pewności, czym się zajmują pracownicy Odyssey, bo wszystkozymane jest w tajemnicy. Zarabiają jednak na sprzedaży historycznych przedmiotów, które powinny znajdować się w muzeach.

Choć od samego początku istnienia firmy podstawy jej działania budziły wiele kontrowersji, Amerykanom zawsze udawało się funkcjonować zgodnie z prawem,

bo interpretowali na swoją korzyść istniejące regulacje. Tak było sześć lat temu, kiedy obwieścili znalezienie parowca SS „Republic”. Statek zatonął u wybrzeży stanu Georgia 25 października 1865 roku w trakcie przewożenia kilkudziesięciu tysięcy srebrnych i złotych monet. Odyssey Marine Exploration mogła bez przeszkód dysponować jego ładunkiem, bo za 1,6 miliona dolarów nabyła do niego prawa od oryginalnego ubezpieczyciela SS „Republic” – nowojorskiego Atlantic Mutual Insurance Company. Wydatek się opłacił – tylko w ciągu pierwszych sześciu miesięcy sprzedaży monet ze statku Odyssey zarobiła na nich 9,5 miliona dolarów.

Innym sposobem pozyskiwania przez amerykańską firmę pieniędzy, teoretycznie także zgodnym z prawem, jest szukanie bogatych w skarby jednostek wojskowych. W tym przypadku kwestie prawne są bardziej skomplikowane. Ustalenia przyjęte przez większość krajów świata stwierdzają, że wraki okrętów (i ich cargo) pozostają własnością danego państwa niezależnie od miejsca zatonienia. Dlatego kiedy Amerykanie znaleźli angielski HMS „Sussex”, zgłosili się do brytyjskiego rządu z propozycją wydobyć jego ładunek. Oczywiście za opłatą. Wrak okrętu, który zatonął na początku roku 1694, spoczywał u wybrzeży Andaluzji. Kryje 10 ton złotych monet, których wartość szacuje się nawet na pół miliarda dolarów. Według zawartej w 2002 roku umowy z dochodów do 45 milionów dolarów Odyssey zatrzyma 80 procent, od sumy 45–500 milionów – 50 procent, zaś powyżej tej sumy – 40 procent.

Nie wiadomo jednak, czy ładunek HMS „Sussex” zostanie kiedykolwiek wydobyty, bo znajduje się nieopodal wybrzeży Hiszpanii, której władze toczą sądowy spór z przedstawicielami amerykańskiej firmy. Cała ta awantura rozpoczęła się na wiosnę 2007



roku, kiedy hiszpańscy archeolodzy nagle stwierdzili, że statek uznawany za HMS „Sussex”, może być niezidentyfikowanym kolonialnym galeonem. Dlatego chcą przeprowadzić z Amerykanami wspólne badania, by potwierdzić jego tożsamość. (Hiszpanie twierdzą, że żadnej ze swych jednostek nigdy celowo nie porzucili, stąd mogą sobie do nich rościć prawo). Jednak w czasie przygotowań do podwodnych wykopaliisk Hiszpanie odkryli, że po drugiej, atlantyckiej stronie Gibraltaru jednostki Odyssey Marine Exploration wyciągają z dna morza tajemniczy ładunek. W ciągu kilku chwil stosunki pomiędzy hiszpańskimi naukowcami a ich amerykańskimi partnerami uległy dramatycznemu ochłodzeniu. Wspólne prace badawcze zostały natychmiast przerwane, istniały bowiem podejrzenia, że Odyssey kradnie.

Miliard w wodzie

Ponieważ amerykańskie jednostki operowały na międzynarodowych wodach, a nie wiadomo było, co wyciągają, Hiszpanie pozwolili im wywieźć tajemniczy ładunek. Wkrótce jednak zaczęli tego żałować. Na podstawie historycznych zapisków oraz badań srebrnej monety, którą chwalił się jeden z pracowników portu na Gibraltarze, ustalono, że eksplorowanym przez Amerykanów wrakiem musiała być „Nuestra Señora de las Mercedes”. To hiszpański statek, który wyleciał w powietrze na skutek brytyjskiego ostrzału u wybrzeży Portugalii 5 października 1804 roku. Wypadek ten był bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny między Hiszpanią a Wielką Brytanią. Kiedy informacje te podały media, w Iberii zawrzało. „Prawie tak, jakbyśmy cofnęli się do czasów korsarzy i rabusiów, piraci znów oblegają nasze galeony mimo faktu, że od stuleci leżą one na dnie mórz zagrożone w wiecznym śnie. Jak Hiszpania może się bronić przed

takim naruszeniem jej historycznego i archeologicznego dziedzictwa?” – lamentowali na pierwszych stronach komentatorzy największego miejscowego dziennika „El País”.

Finał tej niezwyklej awantury mamy właśnie okazji obserwować na wokandzie lokalnego florydzkiego sądu. Toczy się tam proces królestwo Hiszpanii kontra firma Odyssey Marine Exploration. Hiszpanie domagają się zwrotu skarbów pochodzących z (czego są pewni) „Nuestra Señora de las Mercedes”. Amerykanie zaś twierdzą, że tożsamości znalezionego u wybrzeży Portugalii wraku nigdy nie da się ustalić, bo nie znaleziono jego kadłuba ani żadnego artefaktu pozwalającego go zidentyfikować. Jednak opinia prawna opracowana przez Marka Pizzo zajmującego się przygotowywaniem dokumentów tuż przed wydaniem końcowego wyroku nie pozostawia wątpliwości. „Minęło ponad 200 lat od czasu, gdy »Mercedes« eksplodowała. Miejsce jej spoczynku oraz wszystkich tych, którzy zginęli wraz z nią tamtego pamiętnego dnia, pozostały dotąd nienaruszone. Międzynarodowe prawo uznaje świętość ich pamięci oraz prawa Hiszpanów do jej uszanowania” – napisał sędzia Pizzo. Uznał, że królestwo Hiszpanii ma wszelkie prawa do wraku i jego cargo. Dlatego też stwierdził, że mający wydać ostateczny wyrok sędzia Steven Marryday powinien oddalić żądania Odyssey. Terminu rozprawy jeszcze nie wyznaczono.

19 lipca firma ustosunkowała się do opinii prawnej wydanej przez sędziego Pizzo. Po raz pierwszy przyznała, że wrak rzeczywiście mógł być „Nuestra Señora de las Mercedes”. Twierdzi jednak, że nie należy on do hiszpańskiego rządu, bo jego rejs był komercyjny, a większość znajdujących się na pokładzie monet należała do kupców. Nie można więc zastosować prawa dotyczącego jednostek wojennych.

Batalia sądowa ma bardzo uważnego obserwatora – brytyjski rząd Jej Królewskiej Mości. To Odyssey odkryła niedawno najcenniejszy ze znalezionych dotąd wraków świata – brytyjski HMS „Victory”, okręt wojenny, który zatonął u wybrzeży Anglii w 1744 roku. Wartość znajdującego się na jego pokładzie złota szacowana jest na miliard dolarów.

– To Odyssey, a nie podatnicy, zainwestowała pieniądze w badania wraku. Gdy cały jego ładunek zostanie wydobyty, przekażemy go brytyjskiemu rządowi. To on zadecyduje, jakie wypłacić nam wynagrodzenie – mówił Greg Stemm, szef Odyssey Marine Exploration. Takie wypowiedzi wywołały fale ostrych komentarzy w brytyjskich mediach, które zarzucały władzom chęć czerpania korzyści z rabowania skarbów i niszczenia masowego grobu – na HMS utonęło około 1150 marynarzy. Może więc wyrok amerykańskiego sądu zachęci brytyjskie władze do ratyfikowania konwencji UNESCO, która ma chronić światowe podwodne dziedzictwo kulturowe.

Zabrania ona praktycznie całkowicie prowadzenia podwodnych wykopaliisk osobom spoza kręgów naukowych i nakazuje zostawić większość artefaktów *in situ*. Obowiązuje od 2 stycznia tego roku. Jej sygnatariuszami są już między innymi Meksyk, Portugalia, Ukraina, Tunezja czy Chorwacja.

Czy to uchroni zatopione skarby przed rabusiami? Podwodna odyseja wciąż trwa.

Brodaci kapitanowie piratów – w okularach właściciel Odyssey Greg Stemm, obok niego jeden z menedżerów. Za pomocą podwodnych robotów takich jak ZEUS (po lewej) panowie walczą o skarby, takie jak złota 20-dolarówka pochodząca z zatopionego w 1865 roku u wybrzeży Georgii SS „Republic”



Najcenniejszy okręt świata nabral wartości, gdy spoczął na dnie. HMS „Victory”, a dokładniej złoto, które w nim spoczywa, wartość jest dziś miliard dolarów

Ładne, choć raczej nieprzystatne. Przynajmniej z punktu widzenia Odyssey Marine Exploration, która poluje raczej na srebro i złoto



KORZYSTAJ

W tym tygodniu:

WYWLEKAMY Z IPHONA CAŁĄ JEGO ZAWARTOŚĆ, A POTEM BEZWZGLĘDNIE JĄ WYCENIAMY. WYCHODZI NAM CAŁKIEM ZASKAKUJĄCY WYNIK

Plus nie ma iPhona, ale za to ma Muzodajnię. Na Muzodajnia.pl znajdziesz tony legalnej muzyki do ściągnięcia już za osiem groszy za utwór **muzodajnia.pl**

Ile wart jest iPhone?



= 3185 zł

Nareszcie jest! Entuzjazmując się iPhone 3GS, można narazić się na miano maniaka i fanboya, ale spojrzmy prawdzie w oczy – o którym telefonie w dniu jego polskiej premiery można było usłyszeć w radiu i telewizji? Może to cwany marketing, ale działa – ludzie to kręcą.

Za to cena – wręcz skreca. Nowy iPhone 3GS 32GB w sklepie kosztuje 3400 złotych, czyli więcej niż niejeden laptop. W abonamencie jest niewiele lepiej, bo płacąc co miesiąc niebagatelne 150 złotych przez dwa lata, za komórkę zapłacimy chore 1350 złotych. W Erze jest nieco rozsądniej – przy abonamencie 195 złotych telefon kosztuje 700 złotych.

Postanowiliśmy więc pobawić się i sprawdzić, ile kosztowałyby wszystkie funkcje iPhone'a kupowane oddzielnie. Ceny wzięliśmy z życia, czyli z Allegro. Wyszło, że w Polsce okropnie przepłacamy za to, skądinąd świetne, urządzenie.

Czemu świetne? Nowy iPhone jest bardzo szybki. Ma niezły (w tej klasie) aparat. No i ten okropnie niedoceniany kompas! O jego zastosowaniach przeczytasz na naszej stronie.

A tak. Skąd wielbłąd? Staraliśmy się jakoś podnieść cenę naszego zestawienia, by sięgnęła pułapu iPhone'a. Nie udało się.

1. Komórka 200 zł, 2. Kompas 10 zł, 3. Dyktafon 200 zł, 4. Budzik 40 zł, 5. Konsola PSP 500 zł, 6. Notatnik 25 zł, 7. Cyfrowka 100 zł, 8. Odtwarzacz mp3 250 zł, 9. Minutnik 8 zł, 10. Adresownik 30 zł, 11. Stacja pogodowa 230 zł, 12. Kalkulator 12 zł, 13. Zegarek pierwszy 200 zł, 14. Zegarek drugi 150 zł, 15. Netbook 1200 zł, 16. Wielbłąd drewniany 30 zł

Portal WWW komórce

Dostęp do e-maila gdziekolwiek jesteś

mini.wp.pl



Twoja poczta e-mail / prognoza pogody / repertuar kin / najświeższe informacje / kursy walut / wszystko to po kilku kliknięciach na ekranie Twojej komórki / wpisz adres mini.wp.pl w przeglądarce swojej komórki i ciesz się mobilną stroną Wirtualnej Polski / pomoc znajdziesz na stronie: info.mini.wp.pl

• A jeśli nie iPhone, to co? Może na przykład iPo będzie równie drogie twemu sercu? Sprawdź na cywilizacja.przebroj.pl

WAKACJE

z Przekrojem



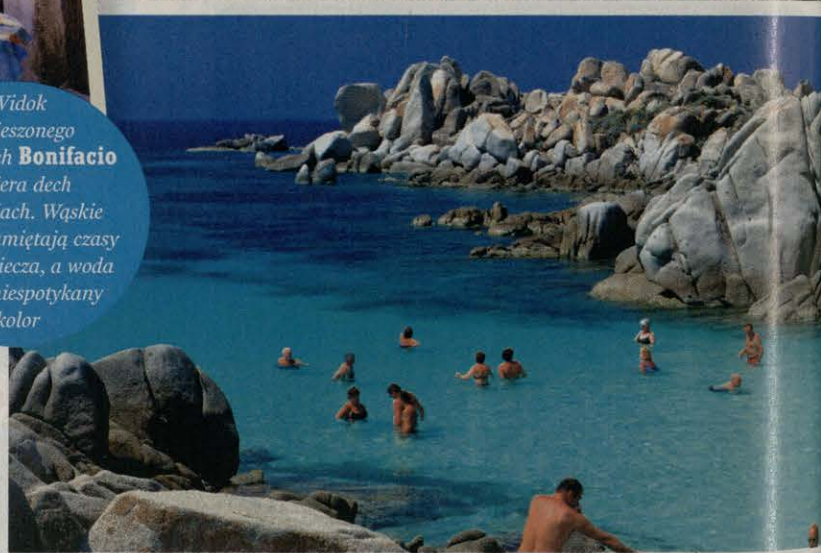
Widok zawieszony na skałach Bonifacio zapiera dech w piersiach. Wąskie uliczki pamiętają czasy średniowiecza, a woda ma tu niespotykany kolor

Zdarzyło wam się kiedyś jechać za samochodem, który na tylnej szybie lub bagażniku miał naklejony symbol czarnej główki przewiązanej chustą? Pewnie nie, bo to w Polsce widok wciąż bardzo rzadki. Posiadacz takiej nalepki należy do elitarnego bractwa tych, którzy samochodem przeprawili się na Korsykę. A owa główka to właśnie symbol dzikiej, niepokornej wyspy i jednocześnie logo linii promowych Corsica Ferries, które łączą korsykańskie porty z kontynentem.

Jadąc na wariata, z **Polski można dojechać w jeden dzień do włoskiego Livorno**, skąd odpływają promy na Korsykę. Ale na własnej skórze sprawdziłem, że nie jest to dobry pomysł. Tanie hoteliki oferujące nocleg podróżnym wjeżdżającym o świcie na prom okazały się mitem, więc przyszło nam spędzić noc na przystani. Zwolennikom mocnych wrażeń i tego wszystkiego, z czym kojarzy się portowa dzielnica – polecamy! Rodzinom z dziećmi niekoniecznie.

Po kilku godzinach rejsu prom wpływa do Bastii, na murach widać wymalowane napisy po korsykańsku, które – mówiąc bardzo ogólnie – wzywają Francuzów, żeby sobie poszli... Do Paryża albo lepiej jeszcze gdzieś dalej.

Wrażenie, że trójkolorowa francuska flaga wisi tu przez pomyłkę, pogłębia się zaraz po zjechaniu na ląd. Do czasu korsykańskiej wycieczki żyłem w przekonaniu, że we Francji bez problemu dogadam się po francusku. Błąd! Dialekt, którym mówią miejscowi, jest zdecydowanie bardziej odległy od francuskiego niż kaszubski czy śląska gwara od polskiego.



KORSYKA PAWEŁ MOSKALEWICZ

Mozna się zabawiać

BOSKIE KURORTY Z NAJLEPSZYM PIASKIEM, ŚREDNIOWIECZNE MIASTECZKA I ZAGUBIONE W GÓRACH WIOSKI. OTO KORSYKA. JEDŹ, ALE UWAŻAJ, BO MOŻESZ WRÓCIĆ UZALEŻNIONY

Bastia to spore portowe miasto, nie ma tu czego szukać. Warto poświęcić godzinę lub dwie na sympatyczną, dobrze zachowaną XV-wieczną starówkę oraz lunch, na który koniecznie trzeba zamówić aziminu – korsykańską wersję słynnej rybnej zupy bouillabaisse. Tutejsi kucharze upierają się jednak, że aziminu to aziminu, a bouillabaisse to bouillabaisse. Na czym polega różnica? Hm... aziminu nigdy nie wychodzi dwa razy taka sama.

Tego samego dnia ruszamy na południe, do uroczego miasteczka Ghisonaccia (co mieszkańcy z uporem wymawiają jako „gizonacz”). Cudo! Małe uliczki, a na niewielkim placu w centrum mienią się

tysiącem kolorów targ. Tak pachnących warzyw i owoców nie ma nigdzie na świecie, ale to i tak nie wobec nieprzeliczonych gatunków świeżych ryb oraz owoców morza, które rybacy codziennie dostarczają ze swych łodzi.

W Ghisonaccia zrewidowałem też swoje wyobrażenie o domku kempingowym. **Przestrzeń, luksus i wygoda.** Do tego wszechobecny oszałamiający zapach sosu (wbrew pozorom jest ich tu dużo więcej niż palm), piasek tak miękki i drobny, że aż trudno uwierzyć, i morze... Morze w takim kolorze, że po raz pierwszy rze-

czywistość pobila na głowę wartość reklamowych folderów.

Fani morza, plaży, basenu i pysznego żarcia mogą w zasadzie przestać czytać w tym miejscu, bo już są w niebie. Zwłaszcza że niestająco dobry humor zapewnią tutejsze wino (polecamy różowe!) sprzedawane w winnicach prosto z beczki w stosunku jeden do jednego. Czyli jeden litr za jedno euro... Ale ruszyć się z miejsca naprawdę warto.

Na samym południowym krańcu wyspy, na wąskim cyplu leży **najpiękniejsze, najbardziej urokliwe miasteczko Korsyki – Bonifacio**. Tak naprawdę to dwa miasteczka. Na dole, nad morzem, położony jest port jachtowy, a wokół niego rozsiane są dziesiątki uroczych knajpek serwujących pyszne jedzenie. Wieczorem to tu schodzą się tubylcy i turyści, by bawić się do białego rana. Górna część miasta, na szczycie klifu, zwana jest cittadella. Tu czas się zatrzymał. Stare miasto to miejsce praktycznie żywcem przeniesione ze średniowiecza, a wąziutkie uliczki spokojnie mogłyby tworzyć scenografię historycznego filmu.

W Bonifacio oprócz leniwego spaceru warto zaliczyć dwie atrakcje: po pierwsze, strome schody, według legendy zbudowane przez Aragończyków podczas oblężenia w 1420 roku. Po 137 stopniach można zejść z cittadella w dół klifu. Uwaga: na schody turyści wpuszczani są wyłącznie przy doskonałej pogodzie – silny wiatr lub duża fala mogą zdmuchnąć nieostrożnego śmialka w mgnieniu oka. **Czytelnikom odpornym na chorobę morską polecamy też rejs do nadmorskich grot** położonych nieopodal miasteczka. Co ciekawe, można się do nich dostać jedynie drogą wodną, od strony morza. Ale uwaga: szyprowie wycieczkowych stateczków bez mrugnięcia powieką zapewnią nas, że taki rejs to kaszka z mlekiem. Tymczasem buja naprawdę (!) ostro, więc decydując się powinni wyłącznie miłośnicy mocnych wrażeń.

Praktycznie całe korsykańskie wybrzeże usiane jest pięknymi miasteczkami, ale skreśmy w kierunku środka wyspy. Już po kilkunastu kilometrach krajobraz zmienia się diametralnie. Znika

Na uroczą starówkę w Bastii warto poświęcić godzinę czy dwie, by spacer zakończyć w jednej z knajpek serwujących aziminu



W TYM TYGODNIU Z URLOPU POZDRAWIA ANNA SZULC

Witajcie!

PEWNA PANI TAK SIĘ W LANCKORONIE ZAKOCHAŁA, ŻE DLA swoich przyjaciół ulepiała aż sto aniołów. Z kolei inna kobieta, z Wirginii, która i w Paryżu, i w Honolulu bywała, zapalała do podkrakowskiej miejscowości uczuciem tak namiętnym, że chciała w niej umrzeć. O Lanckoronę śpiewał Grechuta... Ja śpiewać nie umiem, ale Lanckoronę, zwaną także Miasteczkiem Aniołów, uwielbiam. Za najbardziej stromy rynek na Szlaku Bursztynowym, za kryte gontem drewniane domki z wielkimi podcieniami, za piekarnię z bułkami pachnącymi tak, że przyprawiają o zawrót głowy. Za ceniony przez krakowską śmietankę, a nawet zwykłe krakowskie mleko, pensjonat „Tadeusz”. To jeden z najstarszych i najpiękniejszych w Polsce prywatnych domów gościnnych, którego właścicielem – co w każdej pensjonatowej izbie widać i czuć – jest potomek dzielnego żołnierza Legionów. Lubię ją także za wiejskie Muzeum Aniołów i spacerowe trasami o zachęcających nazwach: Aleją Zakochanych i Aleją Cichych Szeptów. Kocham Lanckoronę za Drogę na Moczary. Przyjdźcie tu!



Redakcja „Przekroju”
ul. Wiejska 19
00-780 Warszawa

Informacje praktyczne:

- Na Korsykę najlepiej wybrać się promem z włoskiego Livorno (rejsy z Francji, na przykład z Nicei, są dłuższe i droższe); najtańszy bilet powrotny dla czteroosobowej rodziny wraz z samochodem kosztuje około 120 euro. Warto go kupić wcześniej przez Internet.
- Nie ma bezpośrednich lotów z Polski na Korsykę, bilet lotniczy w obie strony z przesiadką w Paryżu kosztuje około trzech tysięcy złotych.
- Transport publiczny nie dociera w wiele miejsc i kursuje bardzo rzadko; jeśli nie mamy swojego samochodu, warto go wynająć. Nieduże auto na tydzień dostaniecie za około 350 euro.
- Wynajem domku czy apartamentu dla czteroosobowej rodziny kosztuje około 300 euro za tydzień, standard z reguły jest wysoki.
- Obiad w restauracji czy tawernie to 8–15 euro za osobę, butelka lokalnego wina (w restauracji) kosztuje 5–10 euro, piwo – 3–4 euro.

W tym tygodniu:
MADONNA UMACNIA W WIERZE,
JACEK GŁOMB I WIKTOR JEROFIEJEW
UMACNIAJĄ STEREOTYPY, A SONIC YOUTH
UMACNIA SWOJĄ POZYCJĘ

KONCERTY MARIUSZ HERMA

MUZYCY ZIELENIEJA

Najpierw
zrewolucjonizowali
muzykę, a potem metody
jej dystrybucji. Teraz
Radiohead rzucają
wyzwanie brudnym
koncertom

NAWET TYSIĄC TON DWUTLENKU WĘGLA TRAFIA
DO ATMOSFERY ZA SPRAWĄ DUŻEGO KONCERTU.
DOJAZD FANÓW TO DO PIĘCIU RAZY WIĘCEJ CO₂.
ALE WINOWAJCY NIE SIEDZĄ Z ZAŁOŻONYMI RĘKAMI.
MUZYCZNYM EKOLOGOM PRZODUJE RADIOHEAD,
O CZYM PRZEKONACIE SIĘ 25 SIERPNIA W POZNANIU

– TO ŻADEN PIC, ONI NAPRAWDĘ SĄ TAK PROEKOLOGICZNI. GENERATORY prądu muszą być zasilane ekopaliwem, a jednorazowe naczynia i serwetki biodegradowalne. W żadnym wypadku styropianowe! Nie chcą nawet słyszeć o plastikowych mieszadełkach do kawy. Ostatecznie go-
dzą się na drewniane patyczki – śmieje się Michał Merczyński, szef fundacji Malta. To właśnie dzięki „zielonym” argumentom zdołał prze-
konać Radiohead, by 25 sierpnia byli gwiazdą poznańskiego „Koncer-
tu dla Ziemi”.

– Od dłuższego czasu robią wszystko, by „wyczyścić” swoje koncer-
ty – potwierdza „Przekrojowi” Julie Calland, menedżerka Radiohead.
– Każdy fan może śledzić te starania. Na swojej stronie internetowej
muzycy gromadzą audyty ze wszystkich występów.

Z tych raportów wiemy, że do oświetlenia sceny Brytyjczycy wyko-
rzystują oszczędną technologię LED, a organizatorom koncertów każą
oddzielać odpady kuchenne, które nadają się do kompostowania. Fir-
my cateringowe muszą serwować warzywa z lokalnych upraw – nie tyl-
ko im, coraz częściej ten wymóg dotyczy także publiczności. Segregacja
śmieci to oczywistość.

Náttúra albo śmierć

Muzycy Radiohead już trzy lata temu sygnalizowali, że gdyby przy-
szło im wybierać pomiędzy naturą a fanami, postawią na matkę Zie-
mię. – Trasy koncertowe to nieodczyny element mojej pracy, ale poże-
ra on absurdalne ilości energii. Jeśli sytuacja się nie zmieni, rozważa-
my rezygnację z występów – ostrzegł lider grupy Thom Yorke na ła-
mach „Guardiana”.

A faktycznie jest się czym przejmować. – Za sprawą dużej między-
narodowej trasy do atmosfery trafia około 15 tysięcy ton CO₂ – to tyle,
ile rocznie emituje trzy tysiące samochodów – mówi nam Michael Mar-
tin, szef amerykańskiej agencji MusicMatters, która już od 16 lat oferu-
je muzykom „zielone” usługi doradcze.

Przemieszczając się między kontynentami, Radiohead do niedaw-
na zabierało ze sobą góry sprzętu. – Tradycyjnie woziliśmy samolota-
mi 20 ton aparatury. W końcu narzuciliśmy sobie politykę „bez frach-
tu lotniczego”. Ale transport morski wymuszał trzytygodniowe prze-
stoje pomiędzy koncertami, potrzebowaliśmy więc planu B. Ostatecz-
nie zbudowaliśmy dwa identyczne systemy sceniczno-oświetleniowe
w USA i Europie, a sprzęt nagłośnieniowy wynajmujemy na miejscu.
Nie da się niestety zastąpić unikatowych 12 gitar, ale i tak dzisiaj prze-
rzucamy między kontynentami mniej niż tonę sprzętu! – chwali się ze-
spół na swoim blogu.

– Thom współpracuje też z organizacją Friends of the Earth (Przy-
jaciele Ziemi), która na koncertach Radiohead namawia publiczność
do ekologicznego wolontariatu – dodaje Calland. Piątka z Abingdon
nie ma sobie równych pod względem ekologicznej determinacji, a i tak
największe wyzwanie stoi jeszcze przed nimi, a raczej przed ich fana-
mi: – Wielkie koncerty są niesamowite – przyznaje Yorke – ale te 80 ty-
sięcy ludzi przed i po występie godzinami stoi w korku z włączonymi
silnikami! A to już są niezłe jaja.

Sytuacja nie wygląda lepiej w klubach muzycznych. Każdy z nich
zużywa rocznie około pół miliona plastikowych kubków, 200 tysięcy
serwetek i kilkadziesiąt żarówek. – Szkłane butelki czy plastikowe naczynia
ładują w koszu nawet po kilku minutach. A co z całymi górami uło-
tek i plakatów? – piekło się lider Radiohead. Dlatego coraz modniejsze
stają się takie „zielone” kluby jak nowojorski Greenhouse. Jego szefo-
stwo maniakalnie oszczędza wodę czy prąd, a uniformy pracowników

szyje firma Edun, którą w 2005 roku założył
sam Bono.

W walce o czyste powietrze Thom Yorke
zbrał się ostatnio z Björk. Wsparł ją wokal-
nie w piosence „Náttúra” promującej kampa-
nię o tej samej nazwie. Jej cel to „zapewnie-
nie przyjaznych środowisku metod wykorzy-
stania zasobów Islandii”. „Rozwój technolo-
giczny i względy ekonomiczne dają się pogo-
dzić z dbałością o naturę. Wcale nie trzeba re-
zygnować z któregoś z nich na rzecz reszty”
– przekonywała przed rokiem w napisanym
dla „The Times” artykule wokalistka.

Rewolucja modna, zabawna i seksowna

A jednak Náttúra jednoznacznie postuluje
„wyrwanie zasobów naturalnych i dzikich te-
renów z łapsk wielkiego biznesu”. Utrzyma-
ny w tym duchu artykuł Björk przekonuje:
„Kiedyś Islandczycy utrzymywali się z łowie-
nia ryb. Teraz mamy trzy największe w Eu-
ropie huty aluminium, a wkrótce mają po-
wstać dwie kolejne, a zasilac je będą nowe ta-
my i nowe elektrownie, które zniszczą dzikie
tereny, gorące źródła i pola lawy”. Dalej moż-

Tak powinno być wszędzie:
oddzielnie sztuczne, oddzielnie
biodegradowalne



na było przeczytać bardziej osobiste wynu-
rzenia: „Zwykle nie zwracam uwagi na poli-
tykę. Żyję sobie szczęśliwie w krainie muzyki.
Ale tym razem dałam się wciągnąć, bo polity-
cy uparli się, by pod pretekstem kryzysu eko-
nomicznego zniszczyć środowisko naturalne
Islandii”.

Nie tylko Yorke i Björk odkryli, że z ra-
cji ogromnej władzy nad emocjami muzyka
może być najpotężniejszym narzędziem eko-
logicznego uświadamiania młodych pokoleń.
– Nauka i technologia są już gotowe do glo-
balnej rewolucji ekologicznej. Brakuje nam
jeszcze dojrzałości kultury – mówił na jednej
z konferencji Perry Farrell z Jane's Addiction.
– Środowisko muzyczne jest w stanie zdziałać
tutaj więcej niż ktokolwiek inny. Możemy być
katalizatorem, który uczyni tę zieloną rewolu-
cję modną, zabawną i seksowną!

Największe zasługi na tym polu mają Dave
Matthews Band oraz Jack Johnson, którzy wal-
czyli z negatywnymi skutkami swoich koncer-
tów na długo przed tym, nim stało się to zwy-
czajnie modne. Johnson nagrywa swoje płyty
w studiu zasilanym energią słoneczną, a na je-
go koncertach sprzedaje się wyłącznie →

Nie tylko muzycy przejmują się ekologią. Oto 7 dowodów na to, że Hollywood też zieleńieje:

1. Dywan z przetopionych plastikowych butelek podziwialiście zarówno na ubiegłych Złotych Globach, jak i Oscarach.

2. Wideokonferencje zamiast lotów samolotem – pionierem był tu Peter Jackson, który kręcił wszystkie trzy części „Władcy pierścieni” naraz w różnych częściach Nowej Zelandii, kazał postawić na wszystkich planach kamery i sprzed ekranu komputera dyrygował trzema ekipami. Teraz to standard i w Lukas Film, i w Disney and Bad Robot Productions.

3. Ograniczanie wyjeżdżania na zdjęcia w teren – bo to kosztuje środowisko

najwięcej (gigantyczne benzynowe ciężarówki, przyczepy dla aktorów, oświetlenie nawet w dzień etc.).

4. Wpłacanie watków ekologicznych w filmy i seriale, czyli ekoplacement – istnieje nawet nagroda w tej kategorii! Przyznaje ją EMA – Environmental Media Association. Ekofilmem 2008 ogłoszono „Wszystko za życie” Seana Penna, ekoserialem odcinek „Boston Legal” pod wymownym tytułem „Green Christmas”.

5. EVP – Environmental Vice President, czyli zastępca do spraw środowiska – żadna szanująca się wytwórnia nie obędzie się dziś bez takiego doradcy.

6. Pojazdy hybrydowe – to dziś w Hollywood zarówno na planie, jak i poza nim obowiązująca moda samochodowa.

7. Telewizyjne programy karboneutralne, czyli minimalizujące emisję CO₂ – liderem jest tu Rupert Murdoch, który szczyci się zrobieniem pierwszego takiego programu w historii TV – serialu „24 godziny”. Murdoch nie zakazał ekipie oddychać, nie zrezygnował też z eksplozji na planie (ogień równa się dym równa się emisja CO₂), lecz zadbał po prostu o rekompensatę. Kupił w Indiach plantację produkującą energię wiatrową, by zadośćuczynić emisji CO₂ na planie.

– kp

→ żywność organiczną – podobnie zresztą działa Bob Dylan. Neil Young od lat propaguje biodiesel (stosowanie paliwa ogranicza emisję CO₂ o 25 procent, nadaje się do wszystkich silników diesla), a ostatnio pod maską 50-letniego lincolna zamontował napęd hybrydowy, by potem zadedykować pojazdowi całą płytę!

Will.i.am z Black Eyed Peas jeszcze kilka lat temu nie rozstawał się ze swoim hummerem, a dzisiaj jeździ elektryczną wyścigówką marki Tesla. Angielska grupa The Pigeon Detectives posunęła się do tego, że nie wozi ze sobą żadnego sprzętu i na koncerty dojeżdża pociągami. Coldplay, Pearl Jam i setki innych zespołów rutynowo oddają kilka procent zysku z biletów na dofinansowanie budowy farm wiatrowych, elektrowni wodnych czy też opartych na energii słońca i spalaniu biomasy.

Z jednej studni piją

Zielonych tras koncertowych: 70. Imprez: 1120. Redukcja emisji CO₂: 62 608 ton*. Zasięg: 8 milionów fanów. Czas: pięć lat. Takimi statystykami chwali się Reverb, organizacja non profit z Portland, z której usług korzystały już agencja koncertowa LiveNation, wytwórnia Warner Music, fundacja Live Earth i rzesze muzyków od Avril Lavigne po Phish. Założyciele agencji myśla podobnie jak Farrell: główny cel to wiązanie publiczności w masowy ruch ekologiczny. Dlatego Reverb nie tylko napelnia biodiesla baki autobusów Red Hot Chili Peppers, Linkin Park czy Norah Jones, ale również namawia ich fanów, by po każdym koncercie brali ze sobą worek śmieci i sortowali je w domu.

– Ekologiczną debatę do mainstreamu wprowadził oscarowy dokument „Niewygodna prawda”, w którym Al Gore nagłośnił prawdę o katastrofalnej kondycji naszej planety. Od tego czasu muzyków dużo łatwiej przekonać do naszych argumentów – wyjaśnia „Przekrojowi” Lauren Sullivan, szefowa Reverb. – Teraz to artyści dzwonią do nas, byśmy pomogli im zredukować ekologiczne koszty tras koncertowych. Coraz więcej sal inwestuje we własne programy recyklingowe, firmy cateringowe dobrowolnie przedstawiają się na biodegradowalne talerze i sztućce.

Ten przełom to także zasługa Live Earth, gigantycznej serii ponad 100 koncertów – od Madonny po reaktywowanie na tę okazję Pink Floyd. Miały one wywrzeć presję na polityków, ale przy okazji wypromowały muzyczną ekologię. – Artyści, menedżerowie i organizatorzy tras zrozumieli, że ograniczenie szkód związanych z tym biznesem jest nie tylko obowiązkiem, ale może sprzyjać ich interesom – mówi nam Michael Martin z MusicMatters.

Nic dziwnego, że w ślad za indywidualnymi działaniami artystów przyszła zmiana myślenia organizatorów festiwali. Amerykański SXSW, goszczący w tym roku 1500 wykonawców, rekompensuje całą emisję CO₂ poprzez sadzenie drzew i wspieranie inwestycji środowiskowych. Ruchomy festiwal Vans Warped zasilą sprzęt sceniczny ogniwami słonecznymi, a stosowanie biodiesla czy hasło „kupuj lokalnie” bezwzględnie obowiązuje całą ekipę.

* Odpowiednik szkód wyrządzanych przez około 100 wielkich koncertów

– Jest czyściej i bardziej zielono, to jasne. Ale okazuje się, że czasem można na tym sporo zaoszczędzić – przekonuje Will Moore z Sustainable Touring, kolejnej organizacji wspierającej ekologiczne wysiłki muzyków. – Radiohead odwaliło kupę dobrej roboty, mierząc emisję CO₂ i tak drastycznie ją redukując. Ale większym imprezom najbardziej przysłużyli się Dave Matthews Band – dodaje. Organizowany przez nich festiwal Bonnaroo, oprócz ograniczenia w tym roku o 70 procent pracy generatorów, na całym polu koncertowym zainstalował studnie z wodą pitną. Dzięki temu fani mogli wielokrotnie napełniać jedną i tę samą butelkę, zamiast zaśmiecać teren zwałami plastiku.

Kosmiczna scena, kosmiczna wpadka

Wszystko to brzmi pięknie, ale czy w tym zielonym obłędzie nie chodzi głównie o zieleń dolarów? – Część artystów i firm, które dołączają do „zielonego” ruchu, wyczuwa w tym dobry biznes. Mniej marnotrawstwa oznacza mniejsze koszty – mówi Michael Martin. – Zdajemy sobie z tego sprawę, ale nas nie interesują motywy tych działań. Ważne, że są podejmowane!

– Ten fenomen ma wiele twarzy – potwierdza Lauren Sullivan. – Niektórzy artyści, jak to elokwentnie ujęła Alanis Morissette, są aktywistami w rockowym przebraniu. Oni neutralizują swoje trasy i podnoszą standardy. Inni angażują Reverb dla medialnych pozorów. Nie szkodzi. Nam zależy głównie na kontakcie z fanami. To sytuacja win-win – każdy wygrywa.

Już sama obecność ekologicznego FBI – jak nazywają siebie pracownicy Reverb – zmienia zachowanie organizatorów: – Pod naszym okiem promotorzy wstydzą się używać styropianowych kubków, a ekipa techniczna skrzętnie gromadzi zużyte baterie – śmieje się Sullivan. O ekopresji najlepiej świadczy zamieszanie wokół obecnej trasy U2. I wyjątkowo nie chodzi o jej koszt, czyli rekordowe 100 milionów dolarów. Ekologicznych działaczy rozwścieczyło, że do transportu „kosmicznej” 400-tonowej sceny wynajęła 120 ciężarówek, co przekłada się na emisję 65 tysięcy ton CO₂. Gdy dziennikarze obliczyli, że wystarczyłoby to na wysłanie Bono i jego kolegów na Marsa i z powrotem, reputacja U2 jako kapeli z hasłem „Save Planet!” na ustach mocno ucierpiała.

Pić czy nie pić?

Dla aktywistów (i planety) intencje nie mają więc znaczenia, liczy się efekt. Tylko czy całe ekozamieszanie nie kończy się wraz z koncertem? Wszak już w latach 70. zapowiadano w przemyśle muzycznym zieloną rewolucję. – W 1975 roku ten ruch był nawet silniejszy, ale publiczność rozdrobniona. Teraz mamy prawdziwy przewrót w świadomości – przekonywał Perry Farrell i prorokował, że zielona rewolucja przebiegnie nawet beatlemianę.

– Przemysł muzyczny przeszedł już daleką drogę. Nawet wytwórnie muzyczne przedstawiają się na ekologiczne opakowania płyt, a w wielu kręgach zielony stał się kolorem nieodłącznie wpisanym w model biznesowy – mówi Lauren Sullivan. – Ledwie 10 lat temu zaczęliśmy wprowadzać programy rekompensowania szkód środowiskowych. Teraz są standardem. Cztery lata temu wpadliśmy na pomysł biopaliw: wówczas nazywano je egzotyką, obecnie nikogo nie dziwią. Być może wkrótce busy i generatory będziemy zasilali wodorem wytwarzanym przez alg morskie! – dodaje Martin.

– Idea jest taka: podczas występów Radiohead zredukuję emisję zanieczyszczeń angażujemy dostawców i właścicieli sal koncertowych. Dzięki temu czują związane z tym korzyści, zarówno te finansowe, jak i wizerunkowe. A to powinno ich zachęcić, by sami wdrażali nasze rozwiązania – tłumaczy Julie Calland.

Czy to nie naiwne liczyć, że ktoś dobrowolnie przyjmie wyśrubowane (także pod względem kosztów) standardy Radiohead? Przykład Poznania świadczy o czymś zgoła przeciwnym. – Jeśli w tej chwili przerobimy lekcję Radiohead, to organizując kolejne „Koncerty dla Ziemi”, sami będziemy stosować ich politykę. Część rozwiązań wprowadzimy też na festiwalu Malta – zapowiada Merczyński. – Zresztą okazuje się, że zrobienie „zielonej” imprezy nie jest aż tak skomplikowane. Nie trzeba dorabiać do tego specjalnej ideologii, tylko po prostu robić. □



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

A najbardziej alternatywną postacią w historii muzyki jest...

ULUBIONĄ ROZRYWKĄ, której oddajemy się z żoną w czasie letnich festiwali (poza słuchaniem muzyki), jest gapienie się na ludzi. Open'erową publiczność (z racji nieobecności na samej imprezie) obejrzelśmy wyjątkowo w sesji foto w „Wysokich Obcasach”, na której opisani zostali w sposób dość brutalny: apaszka H&M, bluzka Zary, sukienka Bershki, buty Pumpy i tak dalej. Nic własnego. Na Off Festiwalu – na tyle skoncentrowanym na muzyce, że trudniej tu znaleźć ślady galerii handlowej – zajęliśmy się dla odmiany liczeniem okularów Ray-Ban Wayfarer (klasyk rock and rolla – nosili takie Bob Dylan i Roy Orbison). I po dwóch godzinach musieliśmy skapitulować, bo okazało się, że podróbki można było kupić na miejscu po 15 złotych. Za to artyści wzięli nas na oryginalny styl. Top 3 wyglądał tak:

3. Sukienka Ani Brachaczek z grupy BiFF (z tyłu Wersal, z przodu Moulin Rouge);
2. Spodnie frontmana Fucked Up – spadały przez cały koncert, chociaż z racji postury ww. miały się czego trzymać;
1. Slipki lidera Monotonix. Bo skoro wyszedł w slipach, a potem próbował zdjąć z siebie



Louis Thomas Hardin, trochę bardziej znany jako Moondog

bie ciuchy, to wiadomo, czym to pachnie. Wracając z tej jakże udanej imprezy, zdałem sobie sprawę, że do najbardziej alternatywnie ubranych muzyków w historii było i tak daleko. Niedostępnym numerem jeden w tej kategorii musiałby bowiem zostać Moondog. Legenda Nowego Jorku. Pojawia się przez mgnienie oka w niedawnym filmie o Bobie Dylanie „I’m Not There” – stoi jak zwykle na rogu 54. Ulicy i 6. Alei, nazywanym w związku z tym Rogiem Moondoga. Rogi ma również na głowie – w postaci helmu wikinga. Do tego powłóczył szatę i włócznię w rękę. Swoją alternatywną stosunek do muzyki (w zasadzie pisał muzykę klasyczną, choć wzmieszał w nią elementy jazzu, rytmy indiańskiej, a nawet popu) Moondog przekładał także na alternatywny stosunek do odzieży. Nie chciał nosić ubrań ze sklepu, uważał bowiem, że koncerny manipulują ludźmi za pomocą zwodniczego systemu, który dla niepoznaki nazywają modą. Ubranie i buty szył sobie sam. Wikingów i ich bogów czcił jako alternatywę dla chrześcijaństwa. Niestety, dziś nie znamy go tak, jak na to zasłużył – między innymi dlatego, że ludzie patrzyli nań jak na wariata, i dlatego, że utwory zapisywał w alfabecie Braille’a (był niewidomy od 16. roku życia), a ich transkrypcja na zapis nutowy wymagała czasu i kosztów. Dlatego w zbiorowej świadomości nie żyje tak mocno jak Dylan. Prawdę mówiąc, właściwie nie żyje w ogóle – szczególnie odłkąd umarł, niemal dokładnie 10 lat temu. Na początku września rocznica, więc zapraszam wszystkich alternatywnie patrzących do nadrobienia zaległości. Marzy mi się, że kiedy za rok przyjedziemy z małżonką na festiwal, zobaczymy dla odmiany helmy. Las helmów. □

RYS. MARCIN MACIEJOWSKI



* ELIZA PAREŃSKA

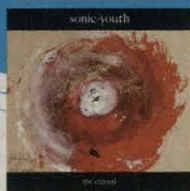
Niemłoda młodzież

Jak Sonic Youth stali się wiecznym wzorem elegancji i solidności

++++ BARTEK CHACIŃSKI

Jak bardzo zmienił się świat? Nie wyobrażam sobie dziś MTV nadającej nowe klipy Sonic Youth. Ale zarazem nie wyobrażam sobie, żeby ktoś zainteresowany nową płytą zespołu nie mógł do niej dotrzeć. Singel nie ma znaczenia, tele-dyski się nie liczą (ten do piosenki „Sacred Trickster” promującej płytę „The Eternal” wygląda zresztą dość mizernie). Ba, w ogóle mogliby przestać je produkować. Zespół regularnie dostarcza za to płyty wypełnione rozpoznawalnymi w lot gitarowymi riffami, lekko dysonansowymi melodiami i krótkimi erupcjami skondensowanego hałasu w solówkach. Bardziej

Czy oni wyglądają na dinozaury? Założyciele **Sonic Youth** – Lee Ranaldo (pierwszy z lewej), Thurston Moore (trzeci) i Kim Gordon (czwarta) – **przekroczyli już pięćdziesiątkę**. Pomagają im Steve Shelley (drugi z lewej) i – od niedawna – basista Mark Ibold (pierwszy z prawej) z Pavement



Sonic Youth „The Eternal”, Matador



powściąganego niż kiedyś, choć przecież cały szereg utworów z tej płyty, z „Antenną” czy „Anti-Orgasm” na czele, spokojnie mógłby trafić na jedną z młodzieżowych płyt z okresu, gdy MTV ich grało. Nowojorczycy zawsze imponowali mi eleganckim sposobem komponowania. Dziś ujmuje mnie w nich przede wszystkim solidność – każda pły-

ta to nie trzy, jak u nowej alternatywnej młodzieży, ale przynajmniej sześć, siedem porywających piosenek. Minęło 20 lat i Sonic Youth wracają do punktu wyjścia. Do niezależnej wytwórni, do najbardziej charakterystycznego dla siebie stylu z końca lat 80., do form piosenkowych tyleż krótkich, ile wyrafinowanych. Wreszcie do wysokiej formy – chciałoby się dodać. Ale prawda jest taka, że z tej ostatniej nigdy nie wyszli.

Jednym uchem

JAREK SŁUBRYCHT

Jej święte prawo

Koncert Madonny umacnia w wierze

Czym różni się rozrywka od sztuki? Najłatwiejsze i niezawodne jest kryterium funkcjonalne: rozrywka ma nam pomóc zapomnieć, zaś sztuka o czymś nam przypomina. Rozrywka ma nas odprężyć, dać poczucie bezpieczeństwa, ma nam zrobić dobrze. Sztuka wręcz przeciwnie. Nie musi się do nas wdziękować i uśmieszać. Może brzydzić i przerażać, może obrażać i niepokoić. Ma nas zmusić do myślenia lub, co nieporównanie trudniejsze, do pocucia czegośkolwiek. Ma nas wykopać z miękkich, filisterskich foteli i zmusić do zajęcia jakiejś innej, czasem niewygodnej – bo rewidującej nasze dotychczasowe przyzwyczajenia, przekonania, nawet wierzenia – pozy-

cji. Przez sztukę i wobec sztuki musimy się zdefiniować na nowo.

Na domiar złego sztuka ma to do siebie, że nie bierze się z powietrza. Tworzą ją ludzie. Artyści. Wielu z nich nie sposób lubić. Niektórych trudno nawet tolerować. Taki Villon na przykład. Może i zdolny wierszokleta, ale rzeźmieszek. Wpuścilibyście go państwo do domu? A ten pijaczyna i awanturnik Hłasko? Zaprośilibyście go na niedzielny obiad? Zostawilibyście dziecko pod opieką świra Norwida, bluźniercy i pornografa Rabelais'go czy tego półgłównika Nikifora? Nie wspomnę nawet o dziwnym i sekciarzu Mickiewicz... Nie dziwię się Marianowi Brudzyńskiemu, że mu się Madonna nie podoba. Ma prawo protestować. Choć te wszystkie zarzuty o propagowanie homoseksualizmu czy pornografii są mało poważne. Pomysł, że wzięła sobie kochanka imieniem Jesus, by zakpić z katolików – śmiechu warty. Zarzut, że przyjęła pseudonim Madonna, by szydzić z Matki Boskiej – wyssany z palca. Ale to prawda, Madonna obraża (jeśli nie katolików, to przynajmniej dobre obyczaje), kwestionuje wartości i zadaje trudne pytania. Bo takie jest z kolei artysty święte – nomen omen – prawo.

Gdyby Brudzyńskiemu udało się odwołać koncert Madonny, byłaby to jego wiel-



Przed koncertem Madonny (15 sierpnia, Warszawa) wiele osób demonstrowało niechęć do artystki. Ona sama też **chętnie demonstruje** swój stosunek do ludzi, którzy jej nie lubią

ka klęska. Bo w Polskę i świat poszłaby wiadomość, że sacrum, którego broni, potrzebuje administracyjnego wsparcia. Jeśli zaś koncert 15 sierpnia się odbędzie, Brudzyński wygra – bo dzięki jego akcji co najmniej 13 488 osób (stan licznika protestujących z 5 sierpnia) umocniło się w wierze. I za to powinien Madonnie podziękować. Tej z Ameryki również.

Gra gitara CZYLI DLACZEGO WCIAŻ WARTO WIERZYĆ W ROCKA

Dinosaur Jr „Farm”

ZGRABNE, MELANCHOLIJNE piosenki, a gitara J Mascisa zgrzyta i buczy, jakby dla niego czas się zatrzymał gdzieś na początku poprzedniej dekady. Dobrze, pewne rzeczy nie powinny się zmieniać. Zanim zaczniecie podniecać się nową płytą Pearl Jam – nie przegapcie tego.



The Dead Weather „Horehound”

JACK WHITE (THE WHITE STRIPES) bębni, Dean Fertita (Queens Of The Stone Age) gra na gitarze, Alison Mosshart (The Kills) śpiewa. Gwiazdorski skład, ale bawia się jak dzieciaki. Miejski, garażowy punk przegryza się z bluesem amerykańskiego Południa. Prosta rzecz, a cieszy.



Manic Street Preachers „Journal For Plague Lovers”

MELODYJNE, WPADAJĄCE W UCHO kompozycje i surowe, chropowate brzmienie spod ręki Steve'a Albiniego. Do tego mroczne, niepokojące teksty – artystyczny testament zaginionego przed laty Richeya Edwardsa. Karkołomne zestawienie, ale jeśli to nie będzie najlepsza rockowa płyta tego roku, to co?

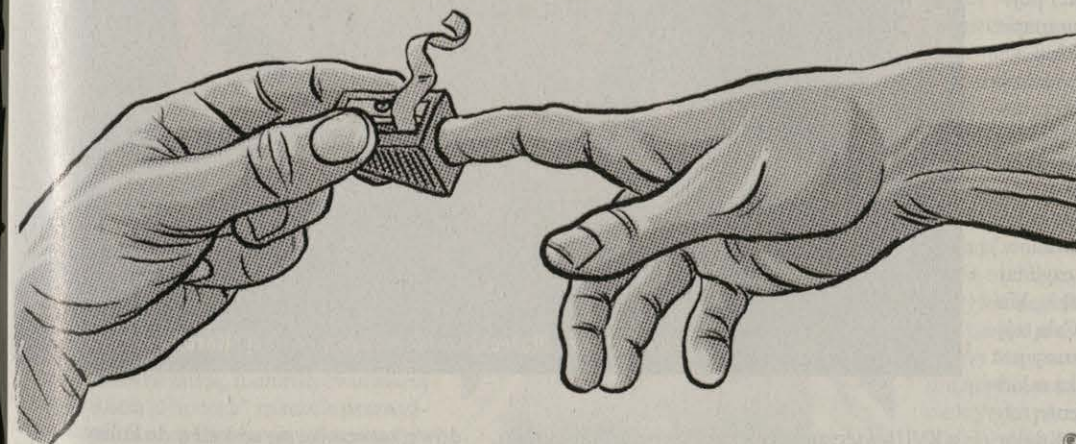


Kasabian „West Ryder Pauper Lunatic Asylum”

JEŚLI ROCK MA PRZYSZŁOŚĆ, MOŻE ona mieć twarz Kasabian. Ortodoksom to się nie spodoba – tańeczne rytmy, elektroniczne wtręty, psychodeliczne bulgotanie. Ale dopóki piszą tak dobre numery, tych pilnych uczniów Primal Scream nie sposób nie lubić.

REKLAMA

W sąsiednich kadrach. Polacy i Czesi o sobie w komiksie



KONKURS

reportaż komiksowy o Polsce i Czechach

- 1. miejsce: 1 500 zł
- 2. miejsce: 1 000 zł
- 3. miejsce: 500 zł

+
* publikacja
* wystawa
* zaproszenia na praski **KOMIKSFEST!**

przy wsparciu
Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP



więcej o projekcie i regulamin konkursu na:

www.centrala.org.pl



www.zeszytykomiksowe.org

TRÓJPOŁÓWKA

czyli sceniczny areał 2008/2009

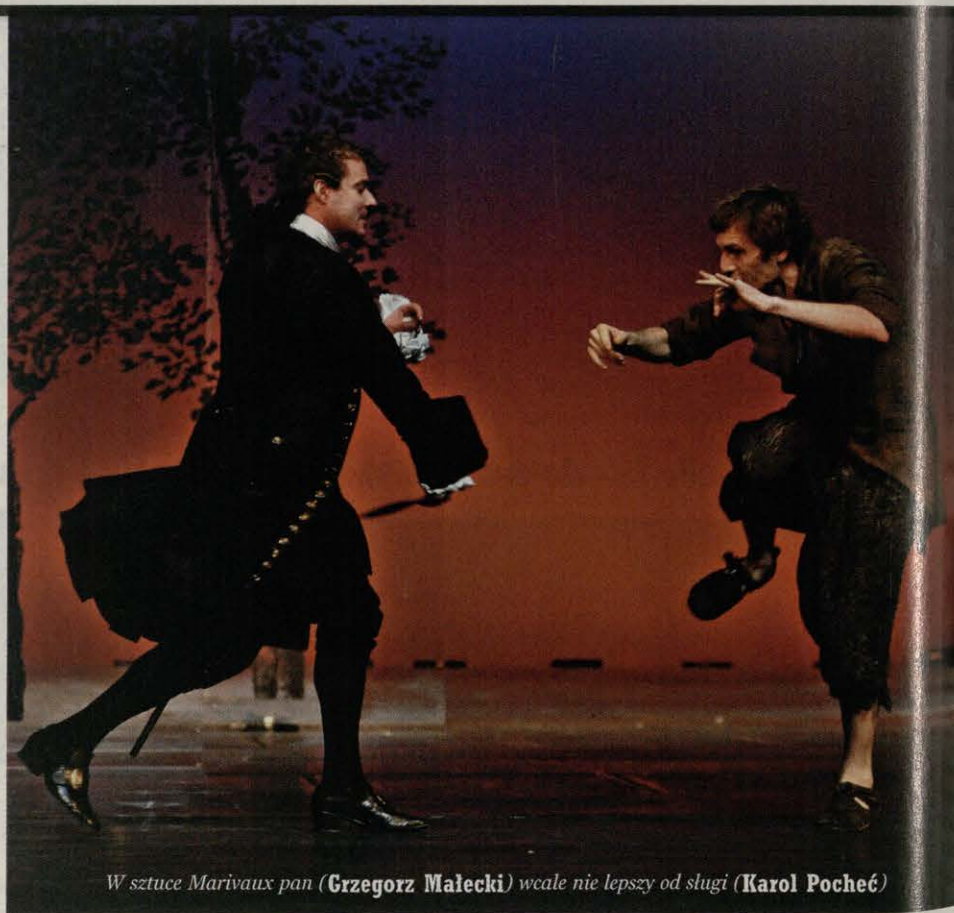
JEDEN Z NAS ZAJĄŁ SIĘ SCENĄ NARODOWĄ. DRUGI ZABRAŁ SIĘ ZA AWANGARDE. TRZECIEMU PRZYPADA KAWALEK, KTÓRY Z BRAKU LEPSZEGO OKREŚLENIA NALEŻY ZWAĆ TEATREM POPULARNYM. TAK DZIELĄC SCENICZNY AREAŁ, PRÓBUJEMY OPOWIEDZIEĆ O MINIONYM SEZONIE NA POLSKICH SCENACH

Scena narodowa: tu rządzi triada

Minęły już czasy, gdy wyróżnikami narodowości były martyrologiczne dramy romantyczne czy współczesne

Różne dobre albo i doskonale przedstawienia w minionym sezonie widziałem, ale pojedynczo, rozproszone po mapie teatralnej. Trudno też na ich podstawie wyciągnąć jakikolwiek spójny wniosek – ideowy czy estetyczny. Spróbujmy inaczej: zbiorowego zwycięzcę, jeśli taki termin w ogóle ma sens, upatruję w działalności jednego teatru – Narodowego. A tu w szczególności spektaklową triadę „Iwanów” (reż. Jan Englert) – „Umowa, czyli łajdak ukarany” (Jacques Lassalle) – „Marat/Sade” (Maja Kleczewska). Cała trójka dosyć jest różna, bo najstarszy jest nadto Francuzem, a Kleczewska młodsza od obu panów o całe pokolenie, może o półtora. I jeśli Lassalle’a z Englertem jeszcze łączą jakieś estetyczne pokrewieństwa teatralne, głównie poszanowanie dla klasycznej tradycji, to Maja K. jest typowym dzieckiem naszych czasów, przeciw tej tradycji ostro zbuntowanym. A przecież ta dziwna triada jakoś układa mi się w spójną całość jako pospólna wypowiedź duchowo-artystyczna ekipy zarządzającej gmachem przy warszawskim placu Teatralnym.

Ktoś mógłby z przekonaniem powiedzieć, że co to za scena narodowa, skoro czołowa trójka sezonu składa się



W sztuce Marivaux pan (Grzegorz Małecki) wcale nie lepszy od sługi (Karol Pocheć)

z XVIII-wiecznej cynicznej komedii francuskiej, XIX-wiecznej tragikomedii rosyjskiej i XX-wiecznej niemieckiej groteski politycznej. Pomijając drobniaczki, że inne premiery Narodowego akurat na polskiej dramaturgii bazują, minęły już czasy, gdy wyróżnikami narodowości były martyrologiczne dramy romantyczne czy współczesne. Narodowy ma przede wszystkim dbać o pryncypia intelektualne i jakość estetyczną, umiejętnie wiążąc wszystko, co żywe z tradycją, z tym, co najbardziej twórcze dziś. Same banały, nie przeczę, ale niech ktoś spróbuje wykonać to zadanie w praktyce; wystarczy popatrzeć na ślady, jakie od dziesiątków lat zostawia po sobie Naro-

dowy, zataczając się od kulisy do kulisy. Tymczasem wspomniana wyżej triada doskonale, myśle, realizuje te podstawowe zadania. Dwa tradycyjne, ale bynajmniej nie staroświeckie spektakle; wręcz przeciwnie, błyskotliwe i perfekcyjne w swoim gatunku. Obok – równie błyskotliwe, nowatorskie dzieło Kleczewskiej, najlepsze jak dotąd w jej dorobku. W każdym z trzech przypadków świetne aktorstwo, wyborna reżyseria, scenografia... czego chcieć więcej? Owszem, i wtedy by się znalazły, ale teraz nie o wytykanie chodzi, ale o ogólny obraz. Janie Englercie, Teatrze Narodowy: idźcie tą drogą!

Tadeusz Nijczek



Chorea – i „Po ptakach”

Dla wielu artystów odejście z grupy teatralnej, która ich uformowała, to pretekst do traumy. Dla innych – nowy początek. Tak zwany „nurt pogardzienicki” tworzą w polskim teatrze uciekinierzy albo wygnańcy od Staniewskiego. Aktorzy Grzegorz Bral i Anna Zubrzycka, Tomasz Rodowicz i Dorota Porowska. Z młodszych – Paweł Passini, asystent Staniewskiego z czasów pracy nad „Elektrą”. Wszyscy pracują już od lat na własny rachunek, ale nie ma w nich pragnienia manifestacyjnego odcinania się od korzeni. Niby od razu widać, co ich ukształtowało, jednak równie jawne jest pragnienie szukania nowych przestrzeni. Może nie na gruzach Gardzienic, tylko obok nich.

Kiedy Passini we „Wszystkich rodzajach śmierci” patrzy na Indie, czujemy, że równie dobrze mógłby tam spojrzeć Staniewski po zakończeniu penetracji antycznej Grecji. Passini idzie w tę stronę zamiast niego, jak niechciany uczeń, który wyprzedził mistrza. Rzecz jednak w tym, że jego kuszą nie światy archaiczne, ale Indie nowe i uniwersalne, co najwyżej

Scena awangardowa: ucieczka z Gardzienic

Ludzie ptaki śpiewają strzępy greckich pieśni w londyńskim metrze, które na koniec rozerwie na strzępy bomba

opakowane fałszywym europejskim mitem.

W Stowarzyszeniu Chorea Tomasz Rodowicz wspólnie z Dorotą Porowską przyciągnęli do siebie głównie młodych ludzi, uczą ich i zarazem z nich czerpią. W przygotowanym wspólnie z angielskim Earthfallem spektaklu „Po ptakach” przymierzają Chmurokułczyn, idealne miasto z komedii Arystofanesa, do naszych wyobrażeń o Raju. Chór cudaków w pilotkach marzy o lataniu uwięziony za murem nowoczesnego Babilonu. Ludzie ptaki śpiewają strzępy greckich pieśni w londyńskim metrze, które na koniec rozerwie na strzępy bomba.

Grzegorz Bral, lider Teatru Pieśń Kozła, ostatnio prowadzi swój teatr w dwóch równoległych stylistykach. W pierwszej poszerza postgardzienicką estetykę o nowych autorów, nowe obszary kulturowe. Był „Gilgamesz”, teraz jest Szekspir. Czyta „Macbetha” nie jak tragedię, ale epos. Pisze go tań-

cem i muzyką, rozpina na stylizowanej walcie, mgnieniach obrazów. Drugie oblicze Biała zaskakuje, bo jego „Pożądanie w cieniu wiatrów” to teatr minimalistyczny, dramat przeczytany po literkach, z pasją oddający racje bohaterom, wyciszony. Jakby Bral obdarł siebie samego z gardzienickiej skóry. I został tylko niemy krzyk nowo narodzonego artysty.

Gardzienicki stempel to nie tyle metoda pracy, co rodzaj wrażliwości, którą się w sobie odkrywa po latach terminowania u Staniewskiego. To dar słuchania całym ciałem i bezkompromisowego patrzenia na tekst i kulturę. Artyści, którzy przeszli przez tę szkołę, potrafią pozornie bez wysiłku dotrzeć do samego jądra opowieści, rozbić ją na kawałki, by potem obudować nowymi, jeszcze bardziej frapującymi skorupami.

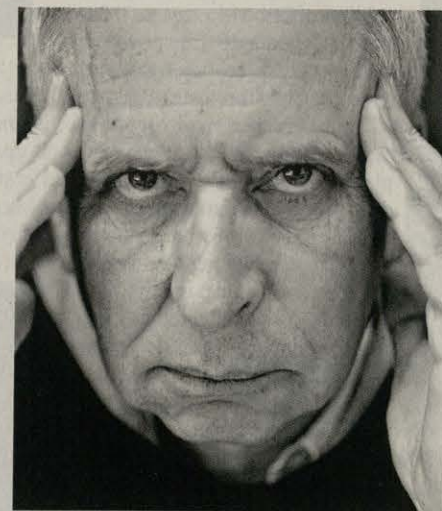
Lukasz Drewniak

Scena popularna: pogrzeb własnych zwłok

Kiedyś cenione teatry od czasu do czasu sięgały po lepszy repertuar. Gdzie to się podziało?

Rozrywka dobrej klasy to towar w wielkiej cenie. Przykład najnowszy: „Krzysztof M. Hipnoza”. Cykl granych przez wakacje trzydziestu seansów wymyślonych przez Krzysztofa Materne w warszawskiej Polonii wykupiono na pniu, a teatr jest obłożony jak Zbierał u Sienkiewicza. Przede wszystkim z uwagi na atrakcyjność pomysłu. Oto inteligentny żartowniś zaprasza znanych aktorów – nigdy nie wiadomo, kogo dziś – i dając nieoczekiwane zadania, przez godzinę sprawdza ich poczucie humoru, celność obserwacji, umiejętność śmiania się z samych siebie. Niektóre koncepcje troszkę za nisko latają, niemniej świeżością i błyskotliwością „Hipnoza” znacznie przewyższa prężność fars na komercyjnych scenach.

Kiedyś deficyt mądrego śmiechu nie był tak bolesny. Także dlatego, że cenione teatry brały się od czasu do czasu – dla higieny!!! – do repertuaru lżejszego. Teatr Telewizji nie tylko pokazywał wrywanie paznokci patriotom, ale i Holoubka w krotchwili Wilde’a, Zapasiewicza w farsach francuskich, Eichlerównę jako fantastyczną „wdowę po pułkowniku”. O uwiad poczuć humoru można skądinąd podejrzewać *en bloc* wszystkie nowe generacje; wyjątkiem Jan Klata, chętnie sięgający po chwytby buffo. Jego „Szajbę” według Sikorskiej-Miszczyk, brawurową burleskę à la Benny Hill z po-



Hipnotyzer Materna uwodzi ostatnio w teatrze

lityką w tle (Teatr Polski, Wrocław), przyjeżdżając entuzjastycznie – ale całości obrazka to nie zmienia. Jeśli ktoś niebacznie kupi bilet na zdekonstruowanego Szekspira, Moliera czy Gogola, złudzony podtytułem „komedia”, będzie wyglądał po wyjściu, wedle nieśmiertelnej frazy Jeremiego Przybory, jak jednostka, co przed kinem spotkał pogrzeb własnych zwłok.

Skoro ani mainstream, ani awangarda nie zniżają się do czegoś tak niskiego jak radość żartu, to między nimi a zagonem inteligentnej rozrywki pogłębia się rów, którego prawie nikt nie zasypuje (wyjątki: warszawska Polonia, łódzki Powszechny, może jeszcze parę scen mających mądrych szefów). Napomowna krytyka patrzy na komików z pogardą; kto widział dziś recenzję z farsy? A przecież nie wstydziła się ich Boy ze Słonimskim. Rozrywkowe budy zresztą gryziopiórków nie zapraszają – po co tracić fotel, który i tak ktoś wykupi? Jak w tej sytuacji mówić o szansach kontynuacji wielkiej tradycji polskiej sceny komediowej, tej od Kwiatkowskiej, Kobuszewskiego, Michnikowskiego, Kowalewskiego, Gołasa, żeby zostać przy ostatnim półwieczu?

Każde z poletek trzeba porządnie i lojalnie uprawiać. Założenie, że jedno można mieć za gorsze – niech rośnie, co chce – jest zabójcze nie tylko dla tej grządk. Dla całej uprawy.

Jacek Sieradzki



Nie ulega kwestii, że Wiktor Jerofiejew miał okazję nacieszyć i nadziwić się całym bożym światem. Gdybyż jeszcze potrafił to naprawdę porównać i opisać

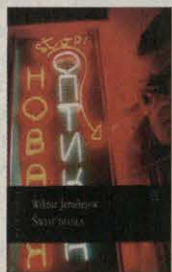
+++ MARCIN SENDECKI

Z celebrytą naokoło świata ...czyli dlaczego Wiktor Jerofiejew jest fajny aż strach

Być pisarzem imiennikiem wielkiego Wieniedikta Jerofiejewa nie jest łatwo, a jednak Wiktor Jerofiejew zrobił karierę, jak się patrzy. Wstał się najpierw – jeszcze w latach 70. – działalnością w samizdacie (co sporo kosztowało i jego samego, i rodziców – zламаł karierę ojcu, sowieckiemu dyplomacie), potem trochę jako dyżurny literacki skandalista podbił zagraniczne rynki. Dziś w Rosji jest znanym z telewizji i książek celebrytą, a poza tym kręci się po całym świecie, wykładając, promując, bywając i czesząc kasiorę. Jest przykładowie zokcydentalizowany, stosownie oświecony, sympatyczny, dowcipny, kiedy trzeba – prowokacyjnie wulgarny. Ot, wzorzec z Sèvres rosyjskiego pisarza – zwłaszcza dla zlaknionych cudzoziemców.

Do jego książek nigdy specjalnego nabożeństwa nie miałem, ale skoro pojawił się tom Jerofiejewa „tekstów podróży”, postanowiłem ucieszyć się jego globalnymi przygodami i obserwacjami. Przymknąłem więc oczy na nieco pom-

patyczny tytuł (i podtytuł „Geografia sensu życia”) oraz diabelsko straszliwą okładkę i wyprawilem się w drogę z pisarzem. Czas płynął wartko, bo autor pióro ma lekkie, a poza tym gdzieś on nie był, czego nie jadł i nie pił, z kim nie spał! Zuch. I niekiedy jest naprawdę ciekawie – na przykład na wyspach w Cieśninie Beringa – najczęściej jednak przeciera się oczy ze zdumienia. Z tego głównie powodu, że reportażyki Jerofiejewa (są też małe wtręty fabularne) roją się od syntetycznych mądrości obliczonych zapewne na czytelników pism typu glamour, którzy z zadumą pokiwiają nad nimi głowami. Dowody? „Im więcej podróży, tym bardziej zagadkowe staje się wyobrażenie p i e k n a”. No i pięknie. Albo: „Skandal – to bóg współczesnego życia”. No i oczywiście: „Każdy człowiek rosyjski to gotowa książka”. A dla spragnionych ostrzejszych wrażeń – ostrzeżenie i rada: „Wysyłając żonę samą na wypoczynek na Krymie, można być stuprocentowo pewnym, że ktoś ją wyjebie”. Świat diabła, kumotry, nie inaczej. □



Wiktor Jerofiejew „Świat diabła”, przeł. Michał B. Jagiełło, Czytelnik, Warszawa 2009, s. 316, 30 zł

+++

Nieludzka sprawiedliwość

„Strategia antylop” pokazuje krajobraz po rwandyjskiej zbrodni

HISTORIA TEGO LUDOBÓJSTWA JEST MOJĄ OBSESIĄ – przyznaje francuski dziennikarz i korespondent wojenny Jean Hatzfeld. I rzeczywiście, o zbrodni dokonanej przez Hutu na Tutsi napisał już trzy książki. Dał głos zarówno ocalałym, jak i mordercom, ale „Strategia antylop” to więcej niż zbiór kolejnych świadectw – nie dotyczy bowiem samej rzezi z 1994 roku (choć nie brak tu oczywiście wstrząsających relacji), lecz pracy pamięci. Czy można żyć bez strachu i poczucia winy? Czy można zapomnieć i uwierzyć w przyszłość? Czy możliwe jest zadośćuczynienie? Jak zbrodnia odkłada się w ludziach, którzy z maczetami polowali na sąsiadów? Czy skala morderstwa może stłumić poczucie odpowiedzialności? Książka stawia



Jean Hatzfeld „Strategia antylop”, przeł. Jacek Giszczak, Czarne, Wołowiec 2009, s. 248, 37 zł

niewygodne pytania dotyczące przecież nie tylko tego ludobójstwa. Hatzfeld udowadnia też, że narzucony społeczeństwu rwandyjskiemu przez rząd i zachodnie organizacje proces pojednania, który sprawił, że wszyscy dawno uznaliśmy ten mord za „załatwiony”, nie załatwia w gruncie rzeczy niczego. „Zabić ich czy ukarać, jak na to zasługują – to niemożliwe; przebaczyć im – to nie do pomyślenia. Bycie sprawiedliwym jest nieludzkie” – mówi o Hutu jedna z ocalałych. Ostrym jak brzytwa słowom Hatzfelda i jego bohaterów towarzyszą fotografie genialnego francuskiego dokumentalisty Raymonda Depardona (powstały podczas wspólnej podróży). Na twarzach ocalałych Tutsi maluje się gniew, bezradność, smutek. Nie odwracajcie od nich oczu. – mas

Wzór na opis dworu

DZIEŁKO Z GATUNKU CIEKAWOSTEK, A JAKŻE przyjemne. Piotra Gryglaszewskiego „Dwór w Jeżowie” to starannie wydana, napisana z pasją i świetnie zilustrowana monografia szlacheckiego gniazda na Sudecczyźnie, pokazująca historię budowy, losy związanych z nią ludzi, wydobywająca z archiwów liczne materiały źródłowe. Niechby każdy polski dwór doczekał się takiego pomnika. – ms



+++ MICHAŁ BURSZA, FILMWEB.PL

Jaja w rozmiarze XXL Jacek Głomb nakręcił pryzwoitą komedię o tym, że lepiej pić piwo, niż upajać się własnym męczeństwem

Komedia o inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 roku? Brzmi dziwnie, prawda? Debiutujący w filmie teatralny reżyser Jacek Głomb to dość niechlubne wydarzenie w naszej historii postanowił uczynić punktem wyjścia jejcarskiej opowieści o założeniu polskiego czołgu, który podczas niesienia „bratniej pomocy” zgubił się gdzieś na czeskiej prowincji. A tam, jak to w Czechach, dziewczyny piękne, knedliczki puszyste (albo na odwrót), a lo-

kalni mędrcy toczą nad kuflem piwa obowiązkowe debaty o zaletach stoickiego trybu życia. Nasi chłopcy nie wiedzą, po co właściwie jadą na Pragę, ale mają głęboką świadomość, że Polacy gdziekolwiek się pojawią, „robią burdel”, i że smutek jest naszą cechą narodową. „Operację Dunaj” łatwo wyśmiać za równie łatwe szafowanie narodowymi stereotypami, ale będzie to dla filmu krzywdzące. Głomb wspólnie z Jiřim Menzlem (wystąpił w roli opiekuna artystycznego) sklejają swoją historię z klisz, by pokazać, że nie

ma przed nimi ucieczki. Postrzegamy się przez stereotypy i skoro nie możemy tego zmienić, przynajmniej się z tego śmiejmy. A że jest to śmiech inżyniera Mamonnia, a więc zawsze z tego samego – coś poradzić. Lubimy jak Zamachowski gra pierdołę, Maciej Stuhr wrażliwego studenta, kochamy seks na sianie i ludowe mądrości. Jacek Głomb serwuje nam to wszystko plus garść cytatów z PRL-owskiej popkultury od „Czterech pancernych...” po „CK dezerterów” w zestawie XXL. Smacznego. □

Siedź i patrz

JAK PIĘKNIE RABUJĄ

Zbrodnie i wykroczenia

Czyli wrogowie publiczni po angielsku i po francusku

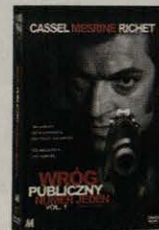
wrócił do formy, jaką znamy z „Porachunków” i „Przekrętu”. Jego nowy film jest też do tamtych podobny: szybkie tempo, specyficzny humor, płatanina wątków i postaci. Wśród nich spotkacie złodziejaszka, który próbuje wykiwać lokalną oraz zagraniczną mafie, skorumpowaną księgową, nieudolnych muzyków (jakieś aluzje do byłej żony, Madonny?). Przeciwnieństwem „Rock’n’Rolla” jest filmowa biografia Jacques’a Mesrine’a, w której nie ma miejsca na żarty. Mesrine był najsłynniejszym kryminalistą w dziejach Francji, w latach 60. i 70. rabował banki, okradał jubilerów, uciekał z więzienia i jeszcze zdążył napisać autobiografię. Ten gangster z pasją pnie się po szczeblach

bandyckiej kariery. Nawet japiszony mogą mu pozazdrościć determinacji i charyzmy, którą na ekranie fantastycznie wyczarowuje Vincent Cassel. Ech, chyba dziś wyniosę z biura kilka spinaczy w torebce. – sol

DVD „Wróg publiczny numer jeden”, reż. Jean-François Rivet, Monolith Video, 35,99 zł



DVD „Rock’n’Rolla”, reż. Guy Ritchie, Galapagos, 42,99 zł



W stronę słońca

Nowa fantastyczna kolekcja DVD

NIEPOWTARZALNA SZANSA na wzbogacenie prywatnych bibliotek i filmotek jednocześnie. Od 10 sierpnia szukajcie w kioskach „Kolekcji s.f.”: książek o najgłośniejszych filmach gatunku – oczywiście z dołączonymi do nich DVD. Pierwszy tom pojawi się na rynku 20 sierpnia i będzie poświęcony nagrodzonemu dwoma Oscarami filmowi „Obcy: decydujące starcie” w reżyserii Jamesa Camerona. W drugiej części film legenda: „Planeta Mała”. Fanów Charltona Hestona (to jego



W kolekcji znajdzie się także „W stronę Słońca” z młodym gwiazdorem Cillianem Murphym

zobaczycie w głównej roli) zapraszamy do kiosków już 24 sierpnia. Trzeci tom ukaże się 3 września, a będzie to wyreżyserowany przez Paula W.S. Andersona „Obcy kontra Predator”. Kolejne części kolekcji będą pojawiały się w kioskach regularnie co dwa tygodnie. Wśród tytułów znajdą się między innymi takie perełki jak legendarna „Mucha” Davida Cronenberga z Jeffem Goldblumem i Geeną Davis w rolach głównych, wyreżyserowany przez Danny’ego Boyle’a, widowiskowy „W stronę słońca” czy słynący z gwiazdorskiej obsady (w rolach głównych Ethan Hawke, Uma Thurman, Jude Law), pięknej muzyki Michaela Nymana i świetnych zdjęć Sławomira Idziaka film „Gattaca”. Kolekcja liczy w sumie 25 tytułów. – aj

NOWA KOLEKCJA!

SCIENCE FICTION

THE
BEST
OF

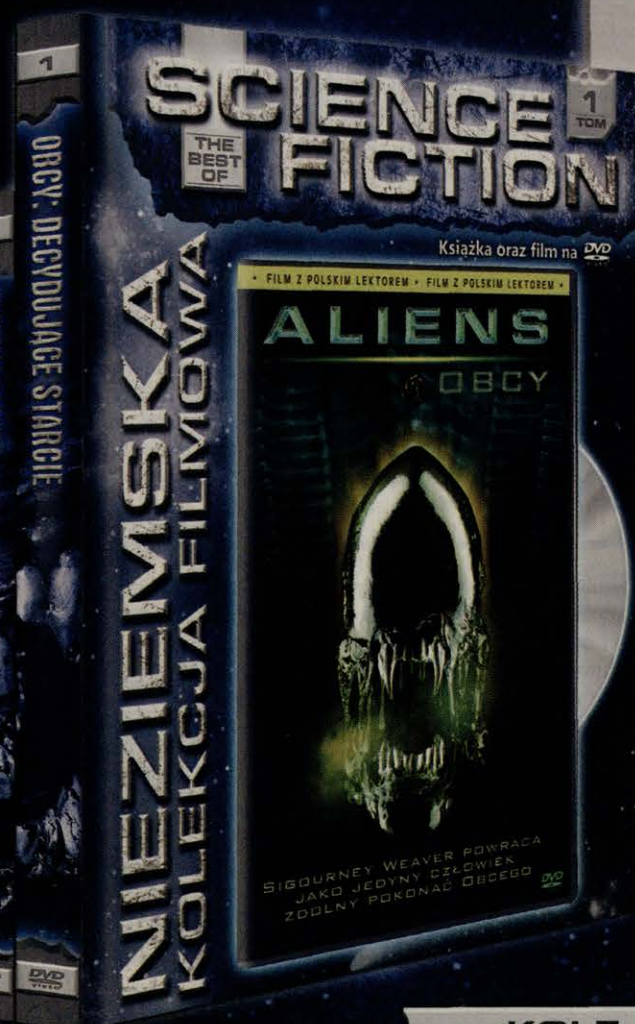
25 KSIĄŻEK

Z KULTOWYMI FILMAMI NA DVD

OBECY
DECYDUJĄCE STARCIE

1. TOM
JUŻ OD
20 SIERPNI
W KIOSKACH

cena tylko
9,98



2. TOM
PLANETA MAŁP

W KIOSKACH
JUŻ 24 SIERPNI

KOLEJNE TOMY KOLEKCJI
W SPRZEDAŻY CO 2 TYGODNIE

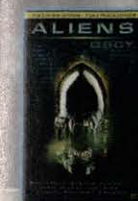
NOWA KOLEKCJA!

SCIENCE FICTION

THE
BEST
OF

Zamów całą kolekcję już teraz!

Oszczędzisz ponad **180 zł!** To aż **25%** taniej!
Bez opłat za przesyłkę i z dostawą do domu



Obcy:
Decydujące starcie
20.08.2009



Planeta małp
24.08.2009



Obcy kontra Predator
03.09.2009



Obcy 4:
Przebudzenie
17.09.2009



28 dni później
01.10.2009



Gattaca
15.10.2009



Obcy kontra
Predator 2: Requiem
29.10.2009



Obcy 3
12.11.2009



Faceci
w czerni 2
26.11.2009



W stronę
słońca
10.12.2009



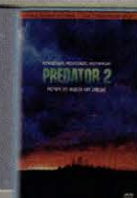
Pogromcy
duchów 2
23.12.2009



28 tygodni później
07.01.2010



Z Archiwum X:
Chcę wierzyć
21.01.2010



Predator 2
04.02.2010



Gwiezdne Wrota:
Continuum
18.02.2010



Szósty dzień
04.03.2010



Supernova
18.03.2010



Obcy: Ósmy
pasażer Nostromo
01.04.2010



Raport
mniejszości
15.04.2010



Predator
29.04.2010



Ja, Robot
13.05.2010



Głębia
27.05.2010



Gatunek
10.06.2010



Robocop
24.06.2010



Mucha
08.07.2010

SZCZEGÓŁY I PRENUMERATA:

WWW.KOLEKCJAFILMOWA.PL/SF

PATRON MEDIALNY: Radio 26T



W społecznościach matriarchalnych kobieta weale nie jest na szczycie, tylko w centrum. Na zdjęciu: tradycyjny taniec wokół matki rodu, kultura Mosuo, południowe Chiny

M JAK MATRIARCHAT

SPOŁECZEŃSTWA MATRIARCHALNE ISTNIEJĄ DZIŚ NA WSZYSTKICH KONTYNETACH POZA EUROPA. **W CENTRUM WSPÓLNOT ZNAJDUJE SIĘ M JAK MATKA**, A SPOIWE M JAK MIŁOŚĆ. UTOPIA? WEDŁUG ANTROPOLOŻEK – RAJ UTRACONY. POZNAJCIE MIEJSCA, GDZIE SIĘ ZACHOWAŁ

SYSTEMY SPOŁECZNE JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

FACETOM ŻYJE SIĘ LEPIEJ, TAM GDZIE RZĄDZĄ KOBIETY – STWIERDZIŁ argentyński pisarz Ricardo Coler po dwóch miesiącach w społeczności Mosuo w południowych Chinach. Dlaczego lepiej? To proste. Jako facet wśród Mosuo nie masz stresu, bo nie odpowiadasz za nic. Nie pracujesz, bo robotę odwalają kobiety. Nie musisz utrzymywać dzieci, bo zajmują się tym matki. Z każdą możesz uprawiać seks bez zobowiązań, a w razie porażki wracasz do klanu.

Dla kogoś takiego jak Coler, wychowanego w kulturze macho, pobyt w matriarchacie okazał się wakacjami w raju. Jednak po zapoznaniu się z jego wrażeniami (podzielił się nimi na łamach tygodnika „Der Spiegel”) bojowniczeki o prawa kobiet mogłyby załamać ręce. Społeczństwo, w którym ONE biorą na siebie stres, obowiązek wychowania potomstwa i zarabiania na życie, a wypoczęty ON odpowiada je sobie w alkwie, kiedy ma na to ochotę? Toż to bardziej przypomina niewolnictwo kobiet niż ich rządy!

Nie do końca. 50-tysięczna społeczność Mosuo zamieszkująca prowincje Syczuan i Yunnan jest matriarchatem – tylko że według

badających go specjalistów to określenie zupełnie nie oznacza systemu, w którym władzę mają kobiety.

(Raje utracone)

– Czy ten artykuł będzie obiektywny? – pyta na wstępie doktor Heide Göttner-Abendroth, niemiecka filozofka i antropolożka. – Postaram się. Siłą rzeczy pani słowa będą przefiltrowane przeze mnie – zaczynam się płatać, ale ona władczo ucina: – Nie o to pytam. Czy twój szef go nie ocenzuruje? Bo oczywiście jest mężczyzną?

Dla badaczek matriarchatu świat to krajobraz po bitwie. Dawno temu w neolicie kult matki ziemi był wszechobecny. Jego ślady zachowane do dziś to nie tylko obfite w kształtach figurki różnych wcieleń bogini płodności, ale także najstarsze wierzenia. – Moja pasja zaczęła się od zgłębiania mitologii egipskiej, słowiańskiej i indiańskiej – mówi Göttner-Abendroth. – Zauważyłam, że w każdej można wyróżnić warstwy historyczne, od najstarszych →

→ do najmłodszych. I wszędzie najstarsze podania mówiły o kulcie bogini matki. Takich mitów nie zrodziłby patriarchat. Zaczęłam szukać kobiecej przeszłości – ciągnie.

Tezę o tym, że prahistoria świata była matriarchalna, jako pierwszy postawił w 1861 roku Johann Jakob Bachofen. Niecały wiek później rozwinęła ją amerykańsko-litewska archeolożka Marija Gimbutas i od tego czasu powstały dziesiątki opisów dziejów podboju matriarchatu przez system patriarchalny (i równie dużo prac naukowych obalających tę teorię). Niezależnie od tego, która wersja zdarzeń jest bliższa prawdy, jedno jest pewne: na wszystkich kontynentach poza Europą zachowały się społeczności, w których centrum znajdują się kobiety. Matriarchalna Azja Wschodnia to Mosuo w Chinach, Minangkabau w Indonezji, Ajnowie w Japonii i opisani przez Bronisława Malinowskiego Trobriandczycy w Melanezji i na Pacyfiku. Azja Południowa to indyjskie ludy Khasi i Garo (stan Meghalaya) oraz Nayar (Kerala). Afryka – niektóre ludy z grup Bantu i Ashanti plus niektóre wspólnoty Berberów i Tuaregów. Ameryka Łacińska to plemię Kuna i mieszkańcy Juchitanu w Meksyku. Wreszcie Ameryka Północna: Indianie Pueblo, Hopi oraz Irokezi.

Każda grupa ma swoją specyfikę, lecz łączą je podobieństwa. I to na tyle silne, że można na ich podstawie stworzyć definicję matriarchatu. – Przebadanie wszystkich społeczności zajęło mi 30 lat – mówi doktor Göttner-Abendroth, która stała się pionierką matriarcholo-

GDY MĘŻCZYZNA I KOBIETA SIĘ POKOCHAJĄ, ON PRZYCHODZI DO JEJ KLANU. MOŻE ZOSTAĆ JEDNĄ NOC ALBO 20 LAT I DŁUŻEJ. ZWIĄZEK POZOSTAJE JEDNAK RELACJĄ BEZ ZOBOWIĄZAŃ, A SPOIWEM JEST MIŁOŚĆ

gii. Przekopala historię kultur i przeprowadziła dziesiątki badań. Organizowała kongresy, na które lokalni badacze (badaczki) zjeżdżali prosto z wymienionych regionów. Wzięła pod lupę dzieje religii. Oto wnioski.

(Miłość wolna, ojciec zbędny)

Kto uważa, że matriarchat jest po prostu lustrzanym odbiciem patriarchatu – systemem działającym według analogicznych zasad, w którym jednak stery zamiast mężczyzn dzierżą kobiety – jest w błędzie. Rzeczy kobiet w naszym znaczeniu tego słowa to ginekokracja, która na szeroką skalę nie istniała nigdy.

Tymczasem matriarchat – ten, który zachwylił Colera wśród Mosuo i który niegdyś miał ogarniać świat – nie zna pojęć dominacji i władzy. Opiera się na strukturze klanowej, w której matka rodu nie pełni funkcji patriarchy w spódnicy. Znaczący temat tłumaczy, że jest ona raczej w centrum niż na szczycie.

Ale po kolei. Przynależność do klanu oraz dziedziczenie majątku i nazwiska określa się tu według linii żeńskiej. Klan tworzą więc babka, jej dzieci, dzieci jej córek i wnuczek. Rody są

często kilkunastoosobowe, a najbliższe więzi łączą rodzeństwo. To bracia pomagają wychować dzieci swoich sióstr, a rolę ojca (w naszym rozumieniu) odgrywa wujek. Nie istnieje też klasyczne małżeństwo. Gdy mężczyzna i kobieta się pokochają, on po prostu przychodzi do jej klanu. Może wpaść na noc, może zostać na kilka tygodni. Ba, gościna może trwać 20 lat i dłużej, jak w związkach, które znamy z naszego świata. Pozostaje jednak relacją bez zobowiązań, której spoiwem jest miłość.

– Gdy chłopak przestaje kochać dziewczynę, wraca do klanu matki. Gdy dziewczyna przestanie kochać chłopaka, odsyła go. To czysty układ, który nie pozwala związkowi przetrwać w patologię – tłumaczy doktor Göttner-Abendroth. I dodaje, że ponieważ dzieci i tak zostają przy matce, życie seksualne jest wyzwolone, a kobieta nawet nie musi wiedzieć, kto spłodził jej potomstwo. Nie dziwny się, że jedna z kobiet Mosuo zaproponowała pisarzowi Colerowi, aby zrobił jej dziecko. Argument, że on zaraz wraca do Argentyny, zupełnie do niej nie trafiał. – Niegrzeczne dzieci straszy się słowami: „Uważaj, bo cię wydamy za męża!” – opowiada Coler niemieckiej gazecie.

Związki kobiet z mężczyznami z innych rodów są jednak ważne, bo dzięki nim między klanami tworzą się więzi. W ten sposób w wiosce, w której żyje kilka lub kilkanaście rodzin, wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Matriarchalne miejscowości zaczynają funkcjonować jak jedna wielka rodzina – społeczności powiązane są niemi relacjami, w których nie ma jednak miejsca na monogamię. – Tworzy się sieć, ale bez hierarchii. To jedna z najważniejszych różnic między matriarchatem a patriarchatem – wyjaśnia doktor Göttner-Abendroth.

Tu dochodzimy do zapowiedzianego centrum. W każdym klanie decyzje podejmuje się na zasadzie konsensu. Seniorka rodu może doradzać, ale głos mają wszyscy i rozmawiają dopóty, dopóki nie wypracują zgody. Dlatego nie ma pojęcia „władzy” w naszym rozumieniu tego słowa, a najważniejsza osoba w klanie nie znajduje się „na szczycie”. Jest po prostu darzoną największym szacunkiem.

Ten sam proces dokonuje się na poziomie decydowania o wiosce. Zbierają się przedstawiciele klanów i wypracowują konsens dla większej wspólnoty. Entuzjaści (entuzjastki) matriarchatów twierdzą, że to najpełniejszy model demokracji: jedyny, w którym nie ignoruje się przegłosowanej mniejszości.

– To jakaś utopia – nie wytrzymuję. – Przecież nie zawsze daje się wypracować konsens.

– Tak myślisz? – pyta doktor Göttner-Abendroth z wysokości swoich 30 lat obcowania z tajemnicą matriarchatów. – Trudno to zrozumieć, bo jesteśmy ukształtowani przez społeczeństwa patriarchalne. Nie zapominaj, że wioski są jak rodziny. Ludzie często trudnią się podobnym zajęciem, mają wspólne interesy. W tych wspólnotach cały czas się rozmawia, bardzo ważne są umiejętności komunikacyjne. To działa – przekonuje.

I pokazuje nam miejsce, gdzie „to działa” na skalę większą niż kilkun rodzinna osada. Znacznie większą, bo obejmującą sześć milionów osób. W Indonezji.

(Miasto kobiet)

Peggy Sanday wygląda jak facet. Sprężyste ramię, krótka czupryna, niski głos. Gdy latem jak co roku wjeżdża wynajętym autem do wioski Belubus na Sumatrze Zachodniej, znikają w tłumie barwnych kobiet. Peggy przyjeżdża tu od 1981 roku i wrosła w wioskę tak mocno, że na jej cześć jedną z dziewczynek nazwano Eggy. Ta właśnie urodziła synka i na jej prośbę Peggy nada mu imię. Jeszcze nie zdradzi, jakie będzie. W Belubus i tak imię musi być zatwierdzone – drogą konsensu.

Profesor Peggy Sanday to badaczka największej i najlepiej radzącej sobie z wyzwaniem współczesności wspólnoty matriarchalnej na świecie: Minangkabau. Jest czwartą co do wielkości grupą etniczną Indonezji i elitą kraju. A stolica regionu Pandang (uniwersytet, port i dwa lotniska) jest największym matriarchalnym miastem na świecie.



Matriarchat nie jest prostym odwróceniem patriarchatu. Wśród Mosuo – tak jak w naszej kulturze – dzieci częściowo są pod opieką kobiet i to ONE, nie ONI, są piękną

W Minangkabau konsens przez wieki sprawdzał się na poziomie regionalnym. – Klany wspólnie podejmowały decyzje dotyczące wioski, te z kolei zrzeszały się w konfederacje. A ich przedstawiciele przekazywali decyzje dalej – tłumaczy Sanday. – Systemu zakazali kolonizatorzy, Holendrzy. Potem nastąpiły dyktatury Sukarno i Suharto, a wraz z nimi próby centralizacji kraju. Jednak gdy skończyły się ich rządy i Sumatra Zachodnia uzyskała autonomię, tradycja odżyła. Dziś w każdej miejscowości działa rada przedstawicieli klanów – dodaje.

Delegat rodziny czy wioski w świetle prawa Indonezji sprawuje ważne administracyjne urzędy, ale według logiki matriarchatu jest po prostu nośnikiem zdania wypracowanego przez rodzinę. – Najczęściej to zadanie powierza się mężczyznom – mówi doktor Göttner-Abendroth. – Konkretnie tym, którzy są najbardziej ugodowi, komunikatywni i sprawdzają się w wypracowywaniu kompromisów. Zupełne przeciwieństwo przywódców patriarchalnych – dodaje.

Nie ma władzy, nie ma też bogactwa. Typowe matriarchaty to komuny. U ich podstaw leży przekonanie, że matki ziemi nie można posiadać, a jedynie ją dzierżawić. To dlatego nie ma mowy o podbojach czy wojnach, dlatego też własność jest kwestią drugorzewną. – W tych społecznościach nie kumuluje się dóbr. Wypracowany zysk i żywność trafiają do kobiety, która jest w centrum klanu. Ona zaś rozdziela każdemu według potrzeb, jak matka – zachwyca się niemiecka badaczka. I zastrzega, że gdyby jednak komuś przyszło do głowy odkładać dobra, mógłby być wykluczony ze wspólnoty. Społeczności kobiet nie znają większej kary.

Jak to wygląda w praktyce? Gdy Eggy zapragnęła iść na studia, zrzucił się na to cały klan. Wioski Minangkabau utrzymują młodych ludzi, którzy zaczynają kariery w mieście. Składają się na przykład na mieszkanie, które →



Yang Erche Namu (po lewej) opuściła społeczność Mosuo i zrobiła karierę, pisząc książki o ich seksualnych zwyczajach. Przykłady czerpała z własnego życia. Na zdjęciu: z matką



Faceci w matriaracie
mają się dobrze. Mniej
władzy to mniej
obowiązków i więcej
wolnej chwili

→ automatycznie staje się przyczółkiem rodziny. Gdy delikwent zaczyna już sobie radzić, odsyła zarobki klanowi. Pełna harmonia.

(Maryja kontra matriarchat)

Skoro żeński świat jest taki idylliczny, to dlaczego nie ma go w Europie? Odpowiedzi szukamy u Joan Marler, założycielki Instytutu Archeomitologii i wieloletniej współpracownicy Marii Gimbutas. – Europejczycy epoki neolitu rozwinęli kulturę opartą na wartościach i strukturze społecznej podobnej do tych z Mosuo czy Minangkabau – mówi Marler. – Ich cywilizacje trwały wiekami. Osada w Catalhoyuk w Turcji rozwijała się przez 1400 lat. Osada Karanovo w Bułgarii – prawie dwa i pół milenium. To nie wyjątki, to prawdziwy fundament Europy – tłumaczy.

Poznanie Minangkabau żyjących po drugiej stronie globu pozwala zatem zrozumieć własną przeszłość. Co ją pogrzebało? Jedną z teorii wiąże początek końca matriarchatu z odkryciem, że seks ma coś wspólnego z narodzinami dziecka. Faceci zorientowali się, że ich rola w przedłużaniu gatunku jest znaczna, i upomnieli się o swoje*. Teoria ewolucyjna głosi z kolei, że matriarchalne społeczności stały na niższym poziomie kulturowym. Zgodnie z logiką dziejów zostały wyparte przez reprezentujące wyższy poziom cywilizacyjny patriarchy. – To nieprawda – twierdzi Marler. I tu-

maczy, że w Europie dokonał się podbój. Między 4000 a 1000 rokiem przed naszą erą ze Wschodu dotarli tu ludy praindoeuropejskie. Ich przedstawiciele zostawili po sobie kurhany – grobowce, w których grzebano mężczyzn wraz z orężem. Stąd nazwa teorii Gimbutas – kurhanowa. I wniosek, że usypywały je plemiona wojownicze i patriarchalne. Zdobyły kobietą Europę siłą? Sanday: – W ekstremalnych sytuacjach, jak migracje, kobiety mogły godzić się na męską dominację, aby zapewnić społeczności przetrwanie.

Catherine Hakim, socjolożka z London School of Economics: – Kluczem do zrozumienia zwycięstwa patriarchy jest kontrola reprodukcji. Kobieta wie, że jest matką, mężczyzna nie ma pewności, że jest ojcem. Faceci zaczęli ograniczać swobodę kobiet, aby mieć dowód ojcostwa. One zyskiwały opiekę.

Gdy migracje i zawieruchy wprowadziły do matriarchalnego raju element rywalizacji i walki o przetrwanie, mężczyźni dzięki warunkom fizycznym nadawali się do tych nowych ról najlepiej. Ich funkcja przerodziła się w system władzy oparty na hierarchii i rywalizacji właśnie. Historia zaś pokazała, że jest on najskuteczniejszy. Zakorzenił się na wszystkich kontynentach.

Kult bogini matki przetrwał zaś w Europie do średniowiecza, a kres położyła mu... Maryja. – Imperium Rzymskie i Kościół katolicki to dwa silne nośniki systemu patriarchalnego – twier-

dzi Göttner-Abendroth. – Koło X–XII wieku po Chrystusie większość władców Europy była już ochrzczona, ale poddani ciągle hołdowali lokalnym kultom, w tym kultowi matki ziemi. Wtedy zaczęto wykorzystywać Maryję. Jej postać nie była eksponowaną w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Mariologia rozwinęła się w XII wieku, bo postać Matki Boga zastąpiła kultu bogiń matek – dodaje.

Na ziemiach polskich kult Matki Boskiej Częstochowskiej rozwinął się dopiero po przeniesieniu jej ikony z Bełzu na Jasną Górę w 1384 roku. Czy byłibymy etnograficzną ciekawostką jak Mosuo, gdyby matriarchat cudem u nas przetrwał? Czy może społeczność kobiet wypracowałaby inny dobry model rozwoju? Tego się nie dowiemy. Ale w obu przypadkach pisarz Richard Coler miałby się u nas dobrze.

Kobiety Mosuo
u wiosel – gładko
płyną przez
XXI wiek



LATO

WSZĘDZIE

ul. SŁONECZNA

Zalotny uśmiech, gofry z dżemem, impreza na plaży, drink z palemką, święty spokój, gorący piasek, czereśnie prosto z drzewa, chatka w lesie, oscypki od gaździny, noce na molo, opalone dziewczyny...

Takie lato tylko w RMF FM!

RMF fm

MUZYKA NAJLEPSZA
POD SŁOŃCEM

ROZMAITOŚCI



LEWO
MYŚLNIE

W łeb ją, w mordę go!
Pomyślałem, że pomyślę
o obecności przemocy fizycznej
w polskiej świadomości. I ją zbadałem

ROMAN KURKIEWICZ

WYOBRAŻMY SOBIE, ŻE JAKIŚ ktoś prowadzi program w radiu. Zdarza mu się bez pardonowo, bez ogródek, radykalnie, bez litości i przebaczenia łajać słownie uczestników debaty publicznej, w której niejednokrotnie uczestniczą parę minut wcześniej na antenie tego samego radia jako goście innych programów. To ewidentne naruszenie dobrych obyczajów, całego tego gładzenia: „Gość w eter, bóg w eter”. No, chamstwo po prostu, komentować, obrażać, wyszydząć tych, którzy przyszli właśnie komentować, obrażać, wyszydząć, lekceważyć i mądralić się. Na chamstwo nasi komentatorzy są wyczuleni. Zwłaszcza na chamstwo, które niespodzianie w nich uderza, na chamstwo nie z ich rozdania. I wyobrażamy sobie dalej: jeden z naruszonych dzwoni w świętym oburzeniu do radia. I zapowiada, że przyniesie kanister z benzyną do radia, wyleje na tego autora i go podpali. Obrażony do żywego jest tuzem polskiej, katolicko-prawicowej publicystyki, od lat pracuje

w głównych, he, he, opinio-
twórczych mediach. Inna osoba, kobieta, ważna postać z mediów publicznych, z piękną biograficzną, opo-
zycyjną kartą. Mówi autorowi, że może on oczywiście wyglądać swoje chamskie filipiki, ale do czasu, aż „ktoś mu w mordę nie da”.
Badania zleciłem. I co? Zrozumiałem, że autor programiku ma chyba jak dotąd więcej szczęścia niż rozumu... „Co czwarty Polak/Polka aprobuje bicie innych osób, które ich zdaniem na to »zasłużyły«”. Co piąty Polak/Polka uważa zresztą, że kłótnie i rękoczynny zdarzają się wszędzie i inni Polacy oraz Polki – podobnie jak oni sami – biją Polaków i Polki. Co piąta Polka i Polak uważa, że pogróżki i zastraszanie innych to nie jest żadna przemoc. Co dziesiąty Polak i Polka uważa, że zjawisko seksualnej przemocy w ogóle w Polsce nie występuje. W wyrażeniu powyższych sądów dominują mężczyźni, osoby słabo wykształcone i starsze. Oraz takie, które doświadczyły przemocy

W tym tygodniu:
KRZYŻÓWKA O BAŁAGANIE (SŁUŻY DO SPRZĄTANIA), ŁADNE RZECZY O SZAFIE, W KTÓREJ LISTOWIU UPRAŹNIENIE CIUCHY, A JOLKA O NIEPORZĄDKU W NATURZE (SKAŁKA W KAWALKACH – RUMOSZ)

KONKURS

Uwaga, konkurs!!! Czytaj „Przekrój” i wygraj! Kto był zahipnotyzowany rosnącymi cenami mieszkań? Osoba, która jako pierwsza wybrała prawidłową odpowiedź na adres: rozrywka@przekroj.pl, otrzyma książkę Haliny Pawłowskiej „Dziękuję za każdy nowy rano”. Odpowiedź z zeszłego tygodnia: cała rodzina warto się wyprawić na LAF.

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Idźcie i śmiecie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Koźia 11

w dzieciństwie. Polacy i Polki uważają, że tym gorzej jest ze sprawą przemocy wobec innych, im dalej od miejsca, w którym oni sami żyją. Co dwudziesty/-a zauważa zjawisko przemocy w ogóle, ale tylko co setna/-y w najbliższej okolicy. Ze taka przemoc jest częsta – uważa 28 procent ankietowanych, ale w ich okolicy tylko 6 procent. Ponad dwie piąte Polaków i Polek zna takie rodziny, gdzie dochodzi do prze-

mocy fizycznej. Jedna trzecia zna co najmniej jedną, gdzie dochodzi do przemocy psychicznej. 17 procent zna przypadki przemocy ekonomicznej. Prawie pięć – seksualnej. Jedna piąta przyznaje się do używania przemocy (w jednej z form do wyboru). Spośród osób, które doświadczyły przemocy, 27 procent stosuje ją wobec innych. Co dziesiąty badany/-a chociaż raz w życiu dopuścił się przemocy fizycznej. Tak naprawdę powyższe wyniki są prawdziwe, tyle że dotyczą przemocy wobec dzieci. Pochodzą z raportu na temat przemocy i krzywdzenia dzieci w Polsce zrealizowanego na zlecenie Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej. Autora programiku znam dobrze. Nazwiska bohaterów „hipotetycznej” reakcji – także. Może oni też są prawdziwi? Nie byłoby znowu takimi wyjątkami... Ani dziwadłami. Polak. Polka. Polska.

MYŚLNIK

Rozkład ciała zaczyna się od podziału pierwszej komórki.

Krzysztof Bilica

ŁADNE RZECZY!



Przy tej szafie wyrażenie powiesić się na gałęzi staje się całkiem niewinne



Nic tak nie wiąże ludzi jak śluby? Wolne żarty! Dopiero wspólne siedzisko wyklucza zdrady

OLA SALWA

Alicja w krainie mebli Życie to nie bajka, ale nowoczesne wnętrzarnstwo – jak najbardziej!

PRZEKONUJĄ NAS DO TEGO HOLENDERSCY PROJEKTANCI, KTÓRYCH PRACE trafiły na wystawę „Telling Tales” w londyńskim Victoria and Albert Museum. Inspiracji nie dostarczyły im konkretne baśnie i mity, lecz ogólne skojarzenie z magią. Choć może szkoda, bo osobiście chętnie bym zobaczyła „Alicję w krainie czarów” zinterpretowaną w postaci regału lub „Kopciuszka” zamienionego w szafkę na buty. Tymczasem w brytyjskim muzeum wyobraźnię pobudzają na przykład ciżemki* z kreciej skóry czy też kolorowa, czarująca szafa Figowy liść, za której drzwiami kryje się... Narnia projektowania.

Takie kapcie oburzają nie tylko ekologów, ale i fanów czeskiego „Krecika”



* Gdy wychodzisz z domu, lepiej zamień ciżemki na coś bardziej wyjściowego. Tu na podeszwie wytłoczono nazwę zespołu AC/DC, więc jeśli położysz nogi na biurku, każdy ją zobaczy. Niezbyt to eleganckie, ale usprawiedliwione przez fanowską miłość.

NAGRODA GŁÓWNA
2x PEUGEOT 107

Wyślij SMS o treści
AUTO na 73013



ZBIERZ 3 SZCZĘŚLIWE SIÓDEMKI

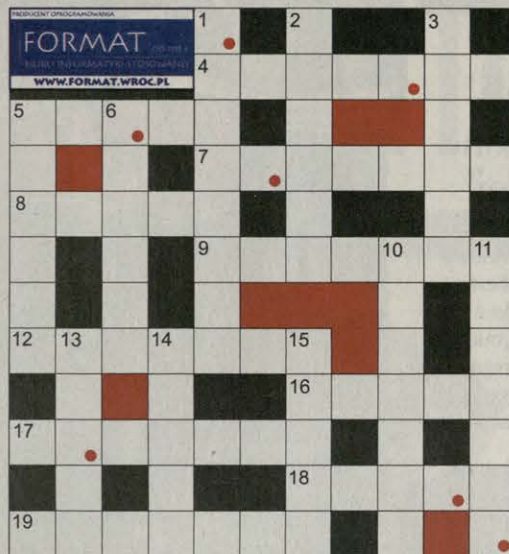
NAGRODY TYGODNIOWE 15x laptop Acer 15,4"

Nagrody dzienne:



Już pierwsze pytanie to **SZCZĘŚLIWA 7**

Koszt SMS 3,66 zł z VAT Regulamin dostępny: wap.przekroj.pl



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

4. KŁUJE W BOKU
5. ROŚNIE U STÓP
7. KONIEC PAŃSTWA
8. OD ŚLEDZIKA
9. SŁUŻY DO SPRZĄTANIA
12. CZTERY LIDERY
16. PRZYCIŚK TELEFONU
17. STOPNIE W STRAŻY
18. KAWA CZY HERBATA
19. WYCHODZI Z BURAKA

PIONOWO:

1. SAMO SIĘ PRZELEWA
2. PUDŁO
3. GRUPA POD WYZWIANIEM
5. POŚMIĘSISKO
6. NIE Z SZEREGA
10. OBSZAR BADANIA
11. KOKA-KOZA
13. GRZECZHU
14. AUTOBUS POWROTNY
15. ŁATAJĄCY DYWAN

Sponsorem nagród jest FORMAT — producent nowoczesnego oprogramowania edukacyjnego www.akademia-umyslu.edu.pl



JOLKA NR 32/33

AUTOR: JERZY BUCZEK

WYRAZY 11-LITEROWE:

- PRZEŻYWA CIĘŻKIE CHWILE Z TEATREM WIELKIM W MOSKWIE
- SPRAWKA PRZEINACZACZA

WYRAZY 9-LITEROWE:

- WPRAWI MONTERA W GWIAZDKOWY NASTRÓJ
- SKOŃCZYLI SIĘ FECHTY, ZACZNĄ SIĘ SKIBY

WYRAZY 8-LITEROWE:

- BARDZIEJ ROZRYWKOWA OD AUTOMATYCZNEJ SEKRETARKI • ZIEMSKA JASIA

WYRAZY 6-LITEROWE:

- GADŻETY ATLETY
- SKAŁKA W KAWAŁKACH

WYRAZY 5-LITEROWE:

- W SZAFIE BIAŁEGO MISIA
- ZA GNIAZDO • DOTRZYMUJE KOŚCI TOWARZYSTWA
- BALEARKA NA KÓŁKACH
- OBCY RĄCZO SPOLSZCZY
- MAŁY Z WIELKIM IMIENNIKIEM • LINKOLN TUŻ PO WYKOCIE • PRZYPIĘLI JĄ DALMATYŃCZYKOWI
- OD DESKI DO MASKI
- DO GNIEŹNIENIEŚKIEGO LASU

WYRAZY 4-LITEROWE:

- Z NOGAMI DO OBRONY
- LEŚNA SKARBONA • UJĘCIE PSA FAFIKA • SKŁAD BEZ ŁADU • WYBRZEŻE MARINY
- NA STRAŻY TWARZY
- PIERWSZY DO ZACZEPKI
- MOBILIZUJE INTELIGENCJĘ



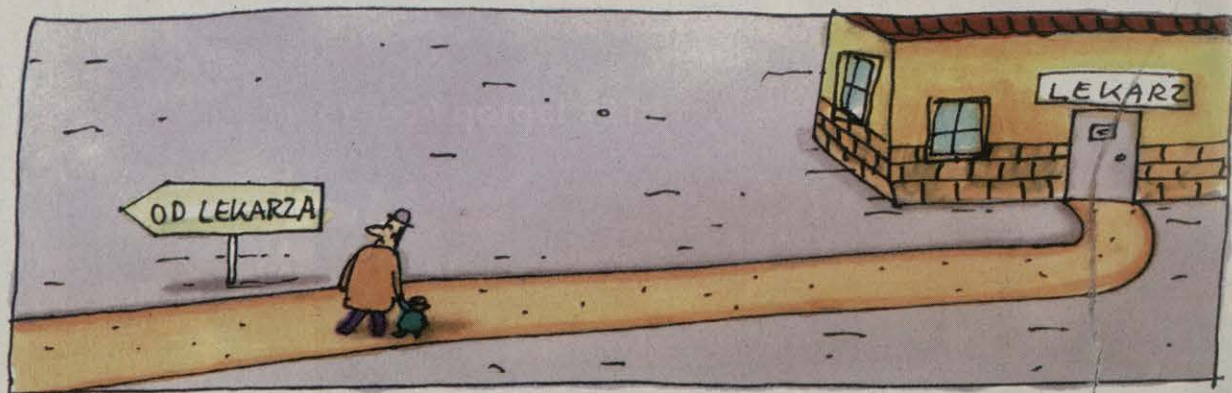
Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

A6_K1_J6_H7_C2_G4_A2_J8_C3_C9_E3_H5_F12_/A4_B1_I11_B12_K11_F5_J3_/

C8_B7_H10_A3_E9_G10_J7_A9_H12_D1_G2_K4_J1_D8_E5_F1_I10_C4_K10_

Uwaga! Jolkę nr 32/33 i krzyżówkę nr 32/33 możesz też wydrukować ze strony WWW.PRZEKROJ.PL

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



Idźcie i śmiejcie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Kozia 11

Zaprasza Canon

NA KONIEC STOPKŁATKA

Wygraj jeden z 10 NOWOCZESNYCH PROGRAMÓW EDUKACYJNYCH „Pamięć” (Biuro Informatyki Stosowanej FORMAT). Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i przekaż do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRKK.HASŁO JOLKI lub PRKK.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 72606. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem: „Jolka 32/33” lub „krzyżówka 32/33”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 30 sierpnia 2009 roku. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edipresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wiejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego ewentualnego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy pełną zgodność z danymi osobowymi oraz ich poprawność, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

ROZWIĄZANIA Z NR 30

KRZYŻÓWKA: KONTUSZ

Poziomo: 4. SKRZYŃKA Z AMERYKI — AUTOMAT 5. GRANAT. — TENIS 7. PIPA W SAMOCHODZIE — KLAKSON 8. WYSTĘPUJE W TEATRZE — TRAMA 9. NARZECZE BUGU — DIALEKT 12. Z MŁODEJ PIERSI SE WYRWAŁO — ZEBERKO 16. RUDY Z ŻELAZA — CZOŁG 17. NABUJA W BUTELKĘ — WINIARZ 18. POCIĄGAJĄCY KRAJ — KATAR 19. OT, POD KUKULCZYM GNIAZDEM — WAHADŁO

Pionowo: 1. KAZALI MU SPADAĆ — KASKADER 2. SZKODA CZASU — STRATA 3. NIE MIAŁ DZIWIONKA — SAMOUK 5. PUP-ART — TATUAŻ 6. W MEDZIE — NIERÓB 10. PREZYDENTA FORDA — ESKORTA 11. WIELE ZNISZCZE — TRAGARZ 13. OZDOBA SALONU — ELITA 14. NAGŁAŚNIA SPRAWĘ — EKIPA 15. PUSZCZA SIĘ I LEDO — OCZKO

JOLKA: FOTORADARY W KSZTAŁCIE AUTOSTOPOWICZÓW

Rzędami: CENTRA, PACZKI, STEMPLE, SKURCZ, ŚWIATŁOWÓD, OFICEROWIE, RANCZO, LINCOLN, ALIANS, DEFECT

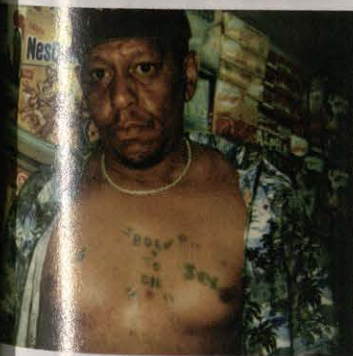
Kolumnami: KOALE, JACK, UŚPIENIE, CZERW, CICERONE, CISZA, ORNAT, NIESŁAWA, INDIE, RAPOWEŁ, ZONA, ŚLADY

LAUREACI Z NR. 27/28

KRZYŻÓWKA: Jan Gąsiorek, Bielsko-Biała; Włodzimierz Kosicki, Gdynia; Armen Morina, Łańcut; Lidia Podczewińska, Zakopane; Katarzyna Todryk, Wrocław

JOLKA:

Wiesława Kaniak, Kłodzko; Barbara Książek, Tuczno; Leszek Marchewicz, Ruciane-Nida; Janina Ozdowa, Łódź; Krystyna Szadkowska, Międzyrzecz



Dla większości z nas taki świat to atrakcyjny mit. Dla Dasha to było prawdziwe życie

RYAN MCGINLEY



KUBA DĄBROWSKI

Samo zło

Po krótkim i burzliwym życiu odszedł Dash Snow

DASH SNOW JEST DZIECKIEM Z WYJĄTKOWO ZAMOŻNEJ I ZANURZONEJ W ŚWIECIE SZTUKI NOWOJORSKIEJ rodziny De Menilów. Dojrzeć wśród obrazów, na prośzone obiady do jego babci przychodzi „wujkowie” Rauschenberg i Warhol. Jako nastolatek Dash zaczyna się buntować. W wieku 15 lat rzuca szkołę, zrywa kontakty z rodzicami i rzuca się w wir ulicznego stylu życia. Ukrywając się pod tagiem SACE, zostaje jednym z bardziej poważanych nowojorskich graffitiarzy. Chłopak z dobrego domu uwielbia otaczać się wszystkim, co brudne. Prostyutki, krwawe bójkę, pijani Meksykanie, seks grupowy, ścieżka kokainy wciągana z penisa w erekcji. Dash Snow cały czas fotografuje.

Fama Snowa dociera do redakcji modnych magazynów. Amerykański „Vice” i francuski „Purple” kreują go na pokoleniową gwiazdę. Po nich przychodzą galerie sztuki. Od przeznaczenia nie da się uciec, wnuk De Menilów zostaje sławnym artystą. O ile większość jego przebijających się na rynek rówieśników zaczyna iść na komercyjne kompromisy, o tyle Dash cały czas kontestuje. Spóźnia się, psuje, odwołuje w ostatniej chwili. Nie odbiera telefonów. Jest nadwrażliwym artystą naiwnym. Dla noszących grube okulary intelektualistów bardziej niż sztuka pociągający jest jego zepsuty styl życia. W pożądanym skandali, ale w gruncie rzeczy nudnym świecie sztuki Snow staje się powiewem czegoś prawdziwie niebezpiecznego. Wszyscy go lubią, wszyscy chcą go znać. Ktoś mówi o nim „Paris Hilton art worldu”.

13 lipca babcia Dasha, jedyna osoba z rodziny, z którą utrzymywał kontakt, informuje media, że wnuk przedawkował heroinę. Rodzi się nowa legenda fotografii. □

Jimi Hendrix, Jean-Michel Basquiat, Jim Morrison, Janis Joplin, Kurt Cobain... Dash Snow dołączył do grona zmarłych w wieku 27 lat sław kultury



DIGITAL IXUS



IXUS 100 IS

Kreuj zdjęcia. Twórz historie.

CZY JEST COŚ WAŻNIEJSZEGO OD EKOLOGICZNYCH SAMOCHODÓW PRZYSZŁOŚCI? TAK, BARDZIEJ EKOLOGICZNE SAMOCHODY JUŻ DZIŚ.

Dzięki silnikom benzynowym TCe i silnikom Diesla dCi Renault oferuje jeszcze czystsze jednostki napędowe, zachowując przy tym ich wysokie osiągi.

Najlepszym tego przykładem jest

wprowadzony dwa lata temu silnik TCe 100, który był pionierskim rozwiązaniem w kategorii małych silników. Wyposażone w ten silnik Renault Clio może się pochwalić

jedną z najniższych emisji CO₂ wśród samochodów ze 100-konnym silnikiem

benzynowym (w cyklu mieszanym 137 g CO₂/km, przy spalaniu 5,8 l/100 km).

Z kolei Mégane z silnikiem dCi 105 emituje jedynie 120 g CO₂/km (spalając w cyklu

mieszanym 4,5 l/100 km). Renault nie poprzestaje jednak na ograniczaniu emisji CO₂. Samochody ze znakiem eco²

są produkowane z wykorzystaniem 17% tworzyw z recyklingu i powstają w zakładach z certyfikatem ISO 14001, gwarantującym stałą redukcję negatywnego wpływu naszych fabryk na środowisko. **Czas na zmiany.**

www.renault.pl

Renault
eco²

Renault zaleca elf

